

TOM CLANCY
prezentuje

GHOST RECON

DAVID MICHAELS

Przekład
JUSTYNA ZAWĘJSKA
PAWEŁ MARTIN



AMBER

Tytuł oryginału
Tom Clancy's Ghost Recon®
Napisał: David Michaels

Copyright © 2008 by Ubisoft Entertainment S.A.
Tom Clancy's Ghost Recon copyright © 2008 by Ubisoft Entertainment S.A.

For the Polish edition:
© 2009 by Ubisoft Entertainment S.A.

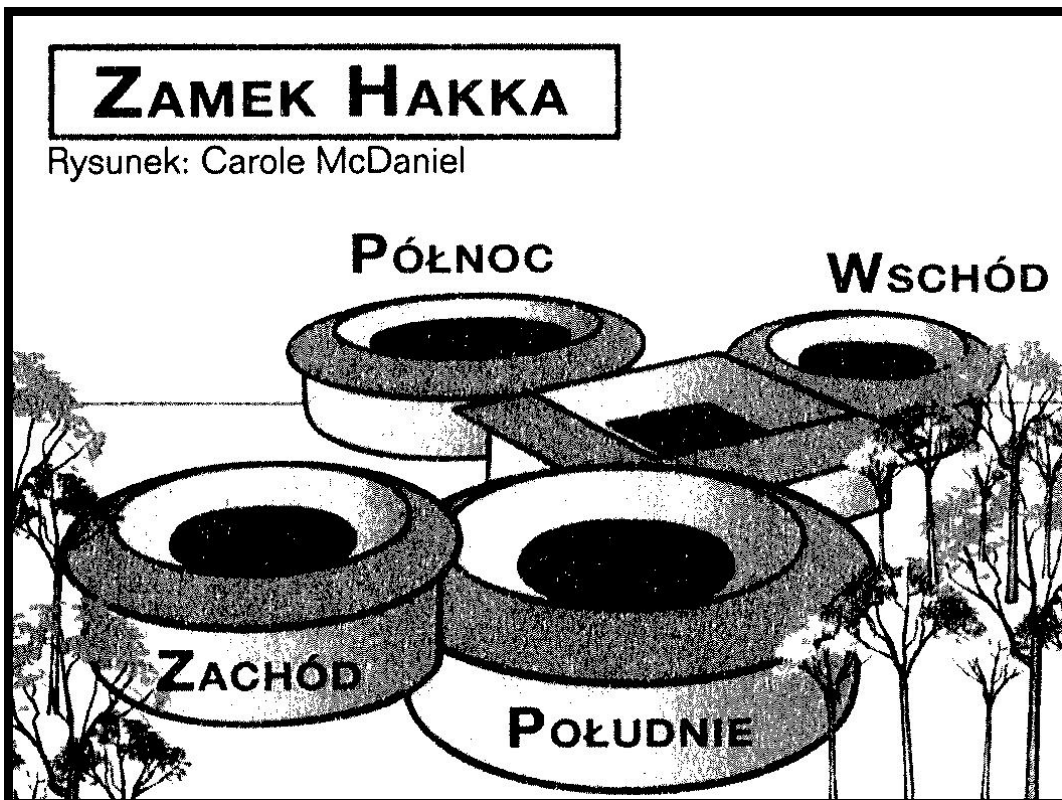
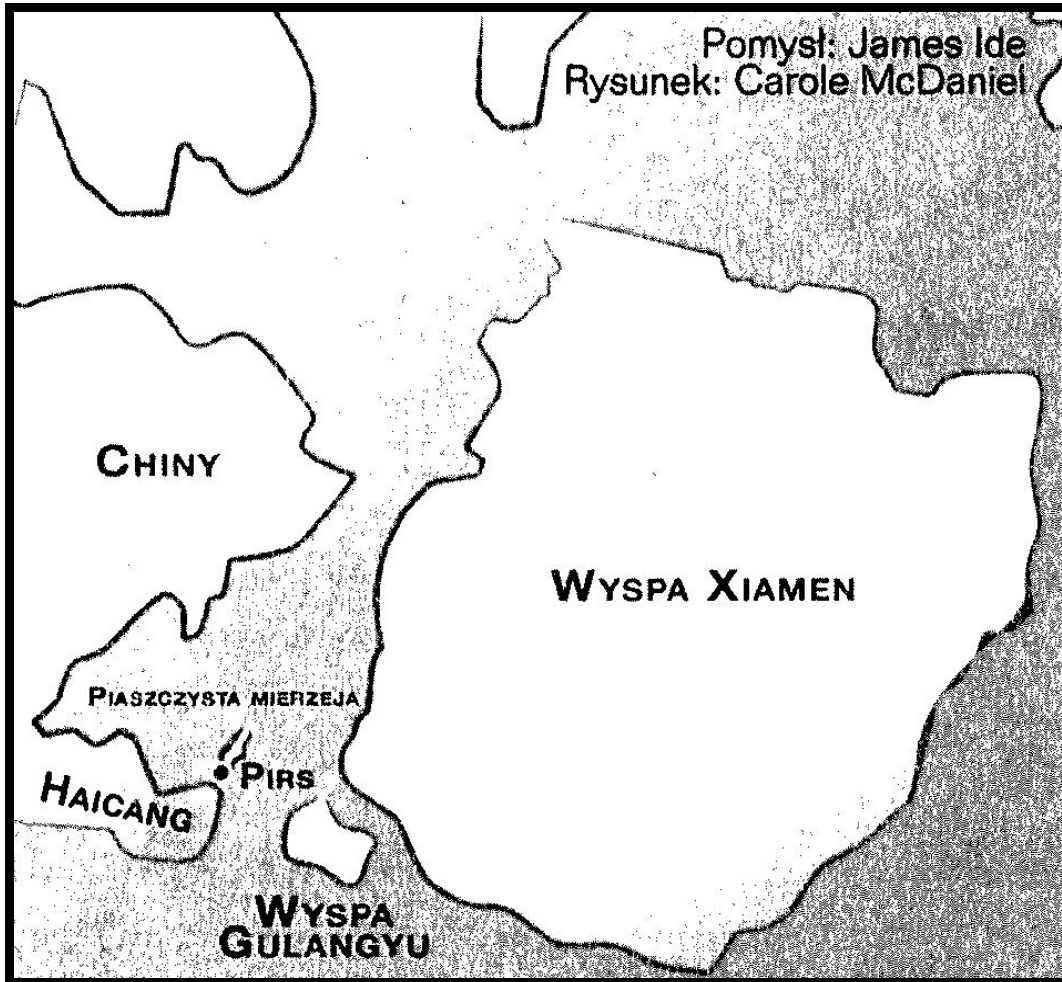
Projekt i ilustracja na okładce:
© by Ubisoft Entertainment S.A.

Skład:
Wydawnictwo Amber
Jacek Grzechulski

ISBN 978-83-241-3544-8

Warszawa 2009
Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa,
ul. Królewska 27
tel. 620 40 13,620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl



*Wolę zwykłego kapitana w brunatnym płaszczu, który wie,
o co walczy i jest temu oddany całym sercem, niżli dżentelmena,
który niczego sobą nie reprezentuje.*

Oliver Cromwell

*Bądź nadzwyczaj drobiazgowym, nawet bezdusznym formalistą.
Bądź niezwykle tajemniczy, aż staniesz się niezgłębiony.
W taki sposób możesz stać się panem losu swego przeciwnika.*

Sun Tzu

*Minimalne zużycie zasobów – wykorzystać jak najmniej
środków bojowych do osiągnięcia wyznaczonego celu.*

Pułkownicy Qiao Liang i Wang Xiangsui *Wojna bez granic*

DRAMATIS PERSONE

Ghost Recon

Operacja „Widmo Wojny”

Sekcja Alpha

Kapitan Scott Mitchell

Starszy sierżant Jose „Joe” Ramirez

Sierżant Paul Smith

Sierżant Alex Nolan

Sekcja Bravo

Starszy sierżant Matt Beasley

Sierżant Bo Jenkins

Starszy plutonowy John Hume

Plutonowy Marcus Brown

Sekcja Charlie

Plutonowy Alicia Diaz

Dowództwo Ghost Recon

Podpułkownik Harold „Buzz” Gordon

Major Susan Grey, Kompania D, 1. Batalion, 5. Grupa Sił Specjalnych

Generał Joshua Keating, dowódca USSOCOM*

Doktor Gail Gorbatova, DIA *

Wiosenne Tygrysy

Operacja „Atak Smoka”

Generał dywizji Chen Yi (cel Alpha)

Pułkownik Xu Dingfa (cel Bravo)

Wiceadmirał Cai Ming (cel Charlie)

Generał dywizji Wu Hui (cel Delta)

* ang. United States Special Operations Command – Dowództwo Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych.

* ang. Defence Intelligence Agency – Agencja Kontrwywiadu.

Zastępca dyrektora Wang Ya, Wydział Polityczny CKW*
Kapitan Fang Zhi

Centrum dowodzenia USS „Montana”

Komandor Kenneth Gummerson, kapitan jednostki

Komandor podporucznik Sands, pierwszy oficer

Bosman sztabowy Suallo, bosman

Bosman SEAL Tanner

Bosman SEAL Phillips

Porucznik Jeff Moch, obsługa predatora

Porucznik Justin Schumaker, obsługa predatora

* Centralna Komisja Wojskowa, nazwa dwóch organów sprawujących w ChRL zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi (państwowa Centralna Komisja Wojskowa oraz Centralna Komisja Wojskowa KC Komunistycznej Partii Chin).

ROZDZIAŁ 1

Wyspa Basilan archipelag Sulu, południowe Filipiny sierpień 2002

Starszy sierżant Scott Mitchell zamrugał, kiedy pot spłynął mu do oczu. Komandos przedzierał się pomiędzy kauczukowcami. Ich skórzaste liście ocierały się o jego wojskowy kapelusz i policzki. Przed nim w gęstej, pogrążonej w mroku dżungli, ukazała się niewielka polanka. Mitchell kucnął i lufą M4A1 uniósł cienką gałąź.

Kapitan Victor Foyte, dowódca jego pododdziału, szedł wzdłuż nierównej ściany zwiędłych palm. Po burzy, która przeszła kilka godzin wcześniej, kapłała z nich jeszcze woda.

– Ricochet, tu Road Warrior 06 – wyszeptał kapitan do mikrofonu. – Chyba coś widzę. Słyszę też jakieś buczenie, jakby muchy. Sprawdźmy to, odbiór.

– Prowadź, szefie – odpowiedział Mitchell.

Mimo że Foyte miał wyższą rangę, to Mitchell odpowiadał w czasie walki za dwunastu członków ODA* 574. Kapitan i sierżant odpowiadali za koordynację z dwunastoosobowymi sekcjami złożonymi z Filipińczyków i Tajwańczyków, z którymi trenowali przez ostatnie dwa tygodnie.

Mitchell ruszył przed siebie. Po prawej stronie dostrzegł wijącego się na gałęzi węża. Komandosi sił specjalnych jadali wrogów na śniadanie, a węże na kolację, nie czuli więc strachu ani przed jednymi, ani przed drugimi. Jednak na widok węża Mitchell skrzywił się i zawrócił w stronę kapitana.

Zdążył zrobić zaledwie trzy kroki. Nagły podmuch zatęchłego powietrza, szelest liści i trzask liny sprawiły, że stanął jak wryty.

Kapitan szedł w kierunku drewnianego pala wbitego w ziemię. Na jego szczycie znajdowała się ludzka głowa z długim, brązowymi włosami. Dwudziestoletnia amerykańska misjonarka została niedawno pojmana przez Abu Sayyaf, lokalną islamistyczną grupę sympatyzującą z Al-Kaidą. Wojsko i policja przeczesaly wyspę w poszukiwaniu dziewczyny i siedziby Abu Sayyaf, ukrytej gdzieś głęboko w górach.

* ang. Operational Detachment Alpha – Grupa Operacyjna Alfa, dwunastoosobowy pododdział żołnierzy sił specjalnych.

Wyglądało na to, iż kapitan znalazł zaginioną kobietę... ale w tym samym momencie lina zacisnęła się na jego kostce i poderwała go trzy metry w górę.

– Zasadzka! – wykrzyknął.

Mitchell już miał użyć radia, kiedy kapitan poleciał do przodu i wpadł na drzewo naszpikowane ostrymi jak brzytwa *pundzi*, osłoniętymi liśćmi palm. Wszystko to składało się na przemyślnie skonstruowaną pułapkę.

Kapitan Victor Foyte nadział się na *pundzi*, trzydziestocentymetrowe drewniane kolce wbiły się w jego ramiona, szyję i klatkę piersiową.

W czterdziestostopniowym upale i deszczu cała sekcja zrezygnowała z kamizelek kuloodpornych. Foyte krzyknął i wydał z siebie bulgoczący dźwięk, kiedy po kolcach zaczęła ściekać jego krew.

Chorąży James Alvarado, który znajdował się jakieś dwanaście metrów za nimi, rzucił się do przodu.

– Kapitanie! – krzyknął i wystrzelił kilka pocisków w kierunku drzewa, na którym wykrawiał się nabity na kolce Foyte.

Mitchell chwycił mikrofon. Zamierzał wydać rozkaz, kiedy przerwała mu seria z karabinu Alvarada.

To była pierwsza prawdziwa akcja Mitchella jako komandosa sił specjalnych. Był doświadczonym żołnierzem piechoty i dowódcą sekcji zwiadu OPFOR* w Fort Irwin. Miał już całkiem niezły życiorys i liczył na to, że awansuje w siłach specjalnych – a tu nagle stracił swojego dowódcę.

Alvarado przestał strzelać i ruszył w kierunku polany. Rozległ się dziwny świst. Chorąży złapał się za szyję. Spomiędzy jego palców wystawała strzałka. Krzyknął i wyrwał ją z ciała.

Mitchell padł na ziemię, słysząc za plecami ten sam odgłos. Alvarado zadygotał i otruty padł na ziemię. Chyba już nie żył.

Najprawdopodobniej zaatakowali ich prymitywni tubylcy, których pułapki i dmuchawki okazały się skuteczniejsze od broni palnej.

– Mitchell – wykrztusił słabnącym głosem kapitan. Po jego twarzy spływała krew. – Mitch... ell...

Mitchell nie mógł patrzeć na umierającego Foyte'a. Złapał radio.

– Tu Ricochet! Zasadzka! Kapitan i chorąży załatwieni!

Nim zdążył wypowiedzieć kolejne słowo, kryjący się gdzieś pod mokrym listowiem terroryści dali o sobie znać. Dopiero teraz Mitchell przekonał się, że nie byli to tubylcy, jak wcześniej sądził, lecz bezlitośni, całkiem współcześni mordercy.

Przesiekę przecięły liczne serie z broni automatycznej, jakby tysiąc mężczyzn z

* ang. Opposing Force – jednostka symulująca siły przeciwnika podczas manewrów.

maczetami przedzierało się przez dżunglę. Pociski z kałasznikowów świszczwały i terkotały, z drzew sypały się drzazgi, ptaki, skrzecząc, poderwały się do lotu. Mitchell uniósł się na łokciach i zobaczył rozbłyski z luf karabinów.

W tym samym momencie odezwało się radio.

– Ricochet, tu Rumblefish – wywołał go sierżant Jim Idaho, zbrojmistrz ODA. – Atakują nas na obu skrzydłach. Nie możemy otworzyć ognia! Prosimy o rozkazy!

– Ricochet, mam dwóch rannych – meldował Lance Munson, starszy sanitariusz grupy. – Trzeba ich natychmiast ewakuować!

– Ricochet, to chyba pocisk z...

Ostatnie zdanie wypowiedział Rapper, jeden z saperów ODA. Zamilkł, kiedy w północno-wschodniej części dżungli Mitchell zauważył rozbłysk. Chwilę później potężna eksplozja wstrząsnęła ziemią, obrzucając ich gradem odłamków.

Terrorysty, z którymi mieli do czynienia, byli głupi albo szaleni. Ostrzeliwali z moździerza własną pozycję. Nie dbali o to, ilu swoich zabijają, byleby wykończyć Amerykanów.

Mitchell wiedział, że nie może ulec panice. Przypomnił sobie, kim jest, ile godzin spędził na manewrach. Objął dowodzenie nad grupą ODA.

– Tu Ricochet! Słuchać moich rozkazów! Rumblefish, ty i reszta sekcji Bravo znajdźcie rannych i ruszajcie na południe do naszego pierwszego punktu orientacyjnego. Rutang, Rockstar i Rino, dołączcie do mnie. Ruszać się!

Grupa składała się dwóch sześciuosobowych jednostek: Alpha i Bravo. Kryptonim każdego z jej członków zaczynał się na literę R. Mitchell zamierzał wykorzystać ten podział, aby zapewnić ochronę rannym.

Kolejny świst rozległ się w ciemnościach, tym razem nieco bliżej. Chwilę później eksplodował kolejny pocisk z moździerza. Szary dym i jeszcze więcej odłamków przedarło się przez listowie.

– Ricochet, tu Rutang! – wywołał go drugi sanitariusz, Thomas „Rutang” McDaniel. – Rockstar i ja jesteśmy gotowi do wymarszu. Rino nie żyje. Trafił go ostatni pocisk. Brak pulsu!

Nie było czasu na liczenie martwych. Mitchell wiedział, że nic nie uda im się zrobić bez wsparcia z ziemi i powietrza. Przyjął meldunek Rutanga, po czym zmienił częstotliwość i wywołał Fanga Zhi, kapitana sekcji tajwańskiej. Znajdowali się znacznie bliżej niż Filipińczycy i poruszali się zgodnie z mapą po drugiej stronie rozlewiska.

– Wushu 06, tu Ricochet, odbiór.

Czekał, wsłuchując się w swój oddech. Przerazliwie zaświszczał kolejny pocisk z moździerza – coraz bliżej i bliżej...

– Wushu 06, tu Ricochet, odbiór.

Mitchell jeszcze raz zmienił częstotliwość, by wywołać sekcję filipińską.

– Black Tiger 06, tu Ricochet, odbiór.

Bum! W oddali wybuchł pocisk z moździerza.

– Ricochet, tu Black Tiger 06. Słyszałem, co się u was stało. Zmierzamy w waszym kierunku, ale jesteśmy jeszcze dość daleko. Orientacyjny czas przybycia za jakieś dwadzieścia minut, odbiór.

– Zrozumiałem, Black Tiger. Straciłem wielu ludzi. Potrzebuję cię jak najszybciej. – Podał kapitanowi współrzędne GPS. – Nie spóźnijcie się – dodał.

– Biegniemy co sił w nogach, sierżancie.

– Dobrze! Ricochet bez odbioru.

Kapitan Gilberto Yano, kryptonim Black Tiger 06, był członkiem wchodzącego w skład armii filipińskiej elitarnego batalionu LRB*, odpowiednika amerykańskiej Delta Force. Szkolono ich w zakresie zwalczania terroryzmu. Yano był lubiany zarówno przez swoich podwładnych, jak i przez resztę ludzi z sekcji Mitchella. Wiadomość o zbliżającej się sekcji Yana działała pokrzepiająco, jednak miało to być najdłuższe dwadzieścia minut w życiu Mitchella.

Gdzie, do diabła, jest kapitan Fang Zhi? Mitchell wywołał go po raz kolejny. Bez odpowiedzi. Może wrócił do jednej z tych bambusowych chatek i popala cygaro, kiedy jego ludzie giną w dżungli?

Rutang i Rockstar podbiegli do Mitchella i przykucnęli tuż obok niego.

Rutang był sanitariuszem o dziecięcej twarzy. Uwielbiał gry komputerowe. Wziął nawet udział w kilku turniejach, odnosząc zwycięstwa. Rzadko się tym chwalił. Co dziwne, nie wierzył w swoje umiejętności.

Starszy plutonowy Bennet „Rockstar” Williams, Murzyn o grubo ciosanej twarzy, był saperem i nienawidził rocka. Wkurzył nawet dowódcę kompanii, psiocząc na jego kolekcję AC/DC. Dzięki temu zyskał swój pseudonim.

Mitchell spojrział na nich. Podobnie jak on byli spoceni. Mieli wytrzeszczone oczy, oddychali pośpiesznie.

– Musimy ich odciąć, zyskać trochę czasu na ewakuację. Widziałem rozbłyśki wystrzałów na flankach – poinformował ich.

– Ja też – odezwał się Rutang. – Nie wiadomo, ilu ich tam jeszcze jest, cholera.

– Nie martw się – pocieszył go pewniejszym głosem Mitchell. – Zawróćmy, podejźmy od zachodu i skopimy im dupy. Banalne. Gotowi?

– Sierżancie, jesteś tego pewny? – zapytał Rockstar.

– Oczywiście, że jest pewny – wtrącił się Rutang. – Zamknij dziób!

– Chciałem tylko powiedzieć...

– Rock, jestem pewny tego, co robię – rzucił ostro Mitchell. – Ruszamy!

Mitchell objął prowadzenie i cała trójka zaczęła przedzierać się przez dżunglę. Sierżant

* ang. Light Reaction Battalion – Lekki Batalion Reagowania.

mocno ścisnął w dłoniach swoją broń. Pasek od kapelusza wpiął mu się w brodę. Skręcił ostro za dwiema palmami. Odgłosy wystrzałów i szum potoku stawały się coraz głośniejsze tuż za drzewami.

Przy następnej kępie palm zatrzymał się i zdjął z głowy kapelusz. Następnie wyciągnął lornetkę i rozejrzał się po okolicy.

Pomimo gęstniejących ciemności, Mitchell dostrzegł kilku mężczyzn z chustami na głowach, ubranych w trudne do określenia mundury. Kierowali się na południe, zbliżając do sekcji Bravo.

Gestem dał znać Rutangowi i Rockstarowi: macie trzech do zdjęcia!

Ruszyli. Mitchell znów jako szpica, Rutang za nim, Rockstar osłaniał tyły.

Błoto głośno zasysało ich buty, kiedy przedzierali się przez gęstwinę. Minęli kilka kolejnych drzew i kęp ciemnych krzewów, wpadając wprost na rój komarów, które krążyły wokół ich spoconych twarzy. Należało mieć nadzieję, że sprej i szczepionka uchronią ich przed malarią.

Kiedy komary odleciały, Mitchell zobaczył tych samych trzech mężczyzn dziesięć, może piętnaście metrów przed nimi. Szli, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że są śledzeni.

Mitchell kucnął i oparł się o pień drzewa, po którego rudobrazowej korze maszerowała cała armia mrówek. Nakazał reszcie paść i przygotować się do otwarcia ognia.

– Mam jednego na muszce – odezwał się Rutang.

– Ja też – dodał Rockstar.

– Ognia! – zawołał Mitchell, przerywając wieczorną ciszę. Nie miało to już jednak znaczenia. Salwa z karabinków szturmowych M4 rozbrzmiała echem, jakby ktoś walił w bębny. Kule zaświszczały w powietrzu.

– Pif-paf i już nie żyją – mruknął Rutang.

Miał rację. Skutecznie powalili całą trójkę.

– Jazda! – zawołał Mitchell. Wiedział, że lada chwila mogą zostać ostrzelani.

Trzy sekundy później, kiedy uciekali pomiędzy ciałami powalonych wrogów, eksplozja wstrząsnęła ziemią i drzewami. Mitchell, a tuż za nim Rutang zbiegli ze wzgórza.

Właśnie wtedy rozległy się trzy strzały. Rockstar westchnął i zadygotał, gdy kule przeszły jego piersi. Chwilę później padł na Mitchella.

– Bennet! – krzyknął Rutang, ściągając ciało Murzyna ze Scotta, który wylądował na plecach. W słuchawce włożonej do ucha usłyszał głos:

– Ricochet, nie mamy możliwości odwrotu. Powtarzam, nie mamy możliwości odwrotu. Osaczyli nas. Naliczyłem przynajmniej ośmiu wrogów i dwa stanowiska DP*. Wygląda na to, że nie brakuje im amunicji. Zbyt długo tu nie wytrzymamy. Potrzebujemy wsparcia!

– Bennet, chłopie, nie rób mi tego – westchnął Rutang. Mitchell obrócił się, spojrzął na Rockstara i już wiedział, skąd pochodzi ciepła substancja spływająca po jego szyi. To była

* Radziecki ręczny karabin maszynowy Diegtiarowa z lat 20. XX wieku.

krwew Benneta.

Rutang sięgnął po broń. Jego twarz wyrażała żądzę zemsty.

– Stój, nie strzelaj – rozkazał Mitchell i włączył mikrofon. – Black Tiger 06, tu Ricochet, odbiór.

Bez odpowiedzi. Powtórzył wywołanie.

W końcu kapitan Yano odpowiedział, chociaż jego głos był zagłuszany hukami wystrzałów – tym samym, który Mitchell słyszał w oddali.

– Ricochet, tu Black Tiger 06. Zostaliśmy zaatakowani przez nieprzyjaciela. Mamy tu przynajmniej dwudziestu wrogów. Jesteśmy odcięci. Nie dotrzemy do ciebie na czas, odbiór.

– Zrozumiałem. Oczyście tę strefę i ruszajcie w naszym kierunku, odbiór.

– Postaramy się, ale bardzo na nas naciskają! Mam jednego zabitego i dwóch rannych, odbiór.

– Nie chcę słyszeć, że wam się nie uda, kapitanie. Ricochet bez odbioru. – Mitchell zaklął pod nosem i przełączył częstotliwość. – Wushu 06, tu Ricochet, słyszycie mnie?

Czekał. Powtórzył wywołanie. Zaklął po raz drugi.

– Jazda! – rozkazał Rutangowi.

Wybiegli z ukrycia i zaczęli uciekać. Tuż za nimi kule cięły gałęzie i liście.

– Ricochet, tu Red Cross. Straciliśmy dwóch następnych. Jestem ranny, sierżancie. Krwawię. Nie mogę zatrzymać krwotoku. Musicie...

Połączenie urwało się, kiedy Mitchell i Rutang znaleźli się kilka metrów od szatkującego drzewa ręcznego karabinu maszynowego DR. Padli w błoto.

Po raz pierwszy w życiu Scott Mitchell zwątpił, czy jego odwaga i umiejętności wystarczą, by wyjść z tej sytuacji. Poczł, jak pieką go oczy, gdy w radiu usłyszał łamiący się głos sanitariusza:

– Sierżancie, umieram. Proszę...

ROZDZIAŁ 2

Wyspa Basilan archipelag Sulu, południowe Filipiny sierpień 2002

Kapitan Fang Zhi, dowódca sekcji tajwańskiej, oparty na łokciach, przez noktowizor obserwował znajdującą się poniżej dolinę. Zabrał swoich ludzi znad jeziora w góry, gdy padły pierwsze strzały.

Mimo że nie podobały im się jego rozkazy, wykonywali je bez wahania. Tylko trzydziestotrzyletni plutonowy Sze Ma, najstarszy i najbardziej doświadczony żołnierz, wyraził swoje obawy.

– Nie wątpię w pana umiejętności, panie kapitanie. Czegoś jednak nie rozumiem. Dlaczego nie odpowiedzieliśmy na ich wołania o pomoc? Po co przenieśliśmy się tutaj, jeśli nie mamy zamiaru rozstawić snajperów?

Fang oderwał oczy od noktowizora i spojrzał w głęboko osadzone oczy plutonowego.

– Uczestniczyłeś w odprawie.

– Tak, panie kapitanie, ale...

– Słyszałeś, co powiedziałem majorowi Liangowi, Amerykanom i Filipińczykom.

– Oczywiście. Mówili, że nie mogą zapewnić panu rekonesansu powietrznego, o który pan prosił.

– Bo wychodzi im taniej, jeśli użyją nas jako przynęty.

– Ale...

– Morale wśród naszych żołnierzy już teraz jest bardzo niskie. Pobór spada. Nie będę tracił dobrych ludzi w tak nieprzemyślanej akcji. Amerykanie chcieli nas poświęcić, żeby zaoszczędzić tych parę dolarów.

– Będą uważać nas za tchórzy.

– Nie jesteśmy tchórzami! – podniósł głos Fang. – Ale nie pójdziemy jak barany na rzeź! Myślisz, że przejmują się tym, ilu z nas zginie?

– Ale...

Fang zacisnął zęby. Odwrócił się i wstał. Sięgnął przez ramię do plecaka. Dłonią w rękawiczce chwycił swoją laskę. Była to broń jedyna w swoim rodzaju – rodzinna pamiętka,

którą odziedziczył po zmarłym w zeszłym roku ojcu.

W drewnianej rękojeści laski ukryty był sztylet. Laskę ozdobiono ręcznie rzeźbionym wzorem przypominającym pręgi tygrysa. A sztylet wykuto tak, że jego przekrój poprzeczny przypominał chiński symbol oznaczający kwadrat, bok, część lub plan, a także – co ważniejsze – nazwisko Fanga.

方

Mimo że kształt sztyletu uniemożliwiał tradycyjne cięcia, uderzenia pozostawiały widoczne ślady. Kolejne razy odciskały na ciele ofiary wzór tygrysiich pasów. Ostateczny cios wielopunktowego ostrza pozostawiał ranę kłutą. Pradziadek Fanga Zhi, który zaprojektował laskę, chciał, żeby przeciwnicy nigdy nie zapomnieli jego nazwiska. Początki rodu sięgały założycieli dynastii Tang.

Wspinając się na kolejne szczeble wojskowej kariery, Fang używał laski, by wymusić posłuszeństwo wśród swoich podwładnych. Bił ich drewnianą rękojeścią nawet za najmniejsze wykroczenia. Za większe karał ich ostrzem, pozostawiając na ciałach tygrysie pręgi. Pchnięcie pozostawiał dla tych, którym chciał dać ostateczną lekcję. Odkąd był w wojsku, nikt jeszcze na to nie zasłużył.

W tej jednak chwili nie potrafił zapanować nad swoim gniewem. Ostrze płynnie wysunęło się z drewnianej laski. Chwycił za rączkę. Stalową gałkę zdobił ten sam znak, oznaczający nazwisko Fanga. Mógł nią skatować człowieka na śmierć. Teraz jednak machnął ostrzem nad głową Sze Ma.

Plutonowy zerwał się na równe nogi i podniósł ręce do góry.

– Panie kapitanie, proszę!

– Jak śmiesz kwestionować moje rozkazy! – Fang cofnął się i uderzył plutonowego z boku w kark, mimo że Sze Ma wykonał unik. Następnie wymierzył mu dwa kolejne mocne ciosy w głowę, powalając podwładnego na ziemię.

Zdyszany, wściekły Fang stanął nad skamłającym z bólu plutonowym.

– Wstawaj! – krzyknął – Ale już!

Plutonowy spojrzał załzawionymi oczami na kapitana i skinął głową.

– Tak jest – mówiąc to, wstał, by w chwilę potem znowu paść na ziemię.

Fang wstrzymał oddech. Przyklęknął obok plutonowego. Dotknął ręką jego szyi. Brak pulsu. A przecież nie chciał go zabić!

Nagle wyczuł słabe, lecz równomierne tętno. Zamknął oczy i westchnął z ulgą.

– Panie kapitanie – usłyszał głos plutonowego Gao – czy Sze Ma jest ranny?

Fang otworzył oczy. Powoli zwrócił głowę w kierunku Gao, który z trwogą wpatrywał się w laskę w dłoni Fanga.

– Tak. Zawołaj natychmiast plutonowego Donga.

Starszy sierżant Scott Mitchell wierzchem dłoni otarł błoto z oczu i skinął głową na Rutanga.

– Musisz wrócić do rannych. Zajmę się karabinem maszynowym. Czekaj na mój znak!

– A jeśli mi go nie dasz?

Mitchell spojrzał na niego.

– Dam.

– Sierzancie, jeśli nas odetną, nie uda nam się. Co z tymi Tajwańczykami? Byli po drugiej stronie rozlewiska.

– Nie mam pojęcia. Może oberwali pierwsi, wpadli w pułapkę, jak nasz kapitan. Nie wiem. Po prostu zaczekaj na mój znak.

Mówiąc to, popęzł w kierunku karabinu maszynowego.

Dżungla stała się jeszcze ciemniejsza. Widać było zaledwie zarysy liści, pni i gałęzi. Jedynie rozbłyśki salw z karabinu maszynowego oświetlały mu drogę.

– To wszystko na co was stać? – zawołał Rutang. – Jestem tutaj! – Rzucił kilkoma przekleństwami, próbując wkurzyć celowniczego, który jednak mógł nie znać angielskiego.

– Rutang, tu Ricochet – powiedział Mitchell przez radio. – Co ty wyrabiasz?

– Ściągam na siebie jego ogień! Biegnij tam i go zdejmij.

Pokręcony dureń, pomyślał Mitchell, biegnąc przez grzęzawisko.

Gdy znalazł się za stanowiskiem celowniczego karabinu maszynowego, wy dobył granat odłamkowy M67.

Wyrwał zawleczkę, ocenił odległość i cisnął go.

Przez chwile obserwował tor jego lotu i powolny upadek, jakby granat tonął w wodzie. Gwiazdy migotały za potarganą kurtyną drzew.

Przez ułamek sekundy ten obraz wydał mu się tak piękny, jakby żywcem wzięty z jakiegoś snu.

Mitchell wrócił do rzeczywistości w chwili, gdy granat upadł na ziemię tuż obok nieprzyjaciela.

Mógł on teraz złapać granat, który spadł mu wprost pod nogi i odrzucić go w stronę Scotta. Miał na to dwie sekundy.

Ale, dzięki Bogu, niczego nie zauważył. Mitchell odetchnął z ulgą. Chwilę później eksplozja wyrzuciła w górę rozświetloną ogniem chmurę błota i rozgrzanych do białości odłamków.

– Rutang, teraz! – wrzasnął Mitchell do mikrofonu, mimo że wybuch był wystarczająco wymownym sygnałem dla sanitariusza.

Terkot drugiego karabinu maszynowego postawił sierżanta z powrotem na nogi. Ruszył w kierunku wąskiego przejścia pomiędzy drzewami. Nagle potknął się i runął na ziemię, wypuszczając z dłoni karabin.

Uniósł się na łokciach i kolanach. Spojrzał za siebie, zastanawiając się, o co zahaczył

stopą. Pewnie był to jakiś korzeń.

Zamiast korzenia zobaczył jednego z terrorystów. Z kałasznikowem wycelowanym w jego twarz.

– No, strzelaj – wykrztusił zaskoczony Mitchell.

– Nie.

Napastnik był ciemnoskórym mężczyzną o pociągłej twarzy z gęstą brodą. Na szyi miał zawiązaną czarną chustę. Uśmiechnął się złowrogo, ukazując braki w uzębieniu.

– Nie ruszaj się.

Mężczyzna nie wyglądał na zwykłego członka Abu Sayyaf. Jego akcent sugerował, że był Arabem, członkiem Al-Kaidy. Najprawdopodobniej przybył na wyspę, aby szkolić Abu Sayyaf, podobnie jak Amerykanie pomagali w szkoleniach Filipińczyków i Tajwańczyków.

W jednej chwili Mitchell wyobraził sobie swoją głowę nabitą na pał, na podobieństwo głowy misjonarki. Użyją go jako kolejnego ostrzeżenia.

Mieszkający w Ohio ojciec Scotta, jego dwóch braci i siostra zobaczą wszystko na CNN. Złamię im to serce.

A jego matka zapłacze nad nim w niebie, za dzieckiem, które opuściła, kiedy miało zaledwie czternaście lat.

– A teraz wstawaj – odezwał się Arab.

– Kazałeś mi się nie ruszać.

– Wstawaj.

Mitchell zmrużył oczy i zacisnął zęby.

– Nie.

Arab zaśmiał się pod nosem.

– Odważny jesteś, co? Wielki Amerykanin. Kiedy tylko dotrzemy do obozu...

Mitchell przekręcił się i chwycił swój karabin. Wiedział, że zabraknie mu sekundy. Ale nie wezmą go żywego. Nie podda się bez walki. Wystrzelił pół sekundy po Arabie.

Tyle tylko, że kiedy on wystrzelił, Mitchell wciąż jeszcze się poruszał. Zaledwie jedna z trzech kul sięgnęła celu.

Pocisk trafił w lewy biceps Scotta, kiedy unosił swoją broń. Wycelował ją w przeciwnika, wpakowując w drania kilka kul.

Arab padł na ziemię. Jęknął. Uciszył go kolejny pocisk.

Mitchell nie ruszał się z miejsca, ciężko łapiąc oddech. Bezwiednie przesunął dłonią po rannym ramieniu. Kula przeszła na wylot i rana nie krwawiła zbyt mocno. Zaczynała go jednak boleć – i to bardzo.

Wstał z jękiem. Ruszył w kierunku ciągle strzelającego drugiego karabinu maszynowego.

Biegając, z trudem oddychał ciężkim od wilgoci powietrzem. Był cały mokry. Zbliżył się do długiego rowu, który utworzyły spływające ze wzgórza deszcze. To właśnie z wierzchołka tego wzgórza niósł się terkot karabinu maszynowego.

– Ricochet, tu Rutang, odbiór.

Mitchell kucnął i włączył mikrofon.

– Mów.

– Jesteś cały?

– Tak, a ty nie ruszyłeś się z miejsca?

– Scott – głos Rutanga zaczął się łamać – chłopie, zaraz tu zwariuję. Chyba tylko my dwaj stoimy o własnych siłach. Nie mogę nikogo złapać przez radio. Billy i Carlos są ze mną, obaj ciężko ranni. Nie mogę nic więcej dla nich zrobić. Wygląda na to, że terroryści idą wprost na nas. Nie możemy tu zostać. Piętnaście metrów za nami jest wzgórze, ale nie dam rady przy takim ostrzale przenieść tam rannych.

– Tang, uspokój się. Zajmę się drugim karabinem maszynowym. Kiedy usłyszysz huk, łap Billy'ego albo Carlosa i ruszaj w kierunku wzgórza. Ja pomogę drugiemu.

– Scott, nie umiem...

– Tang, umiesz wszystko to, czego ci tu teraz potrzeba.

– Masz rację. Odbiór.

– Poczekaj... – Mitchell sięgnął po kolejny granat odłamkowy i pobiegł pod górę, kiedy karabin maszynowy znów zaczął strzelać. Jego terkot przypominał odgłos młota pneumatycznego.

W oddali rozległ się huk i chwilę później dwa pociski moździerzowe uderzyły w ziemię. Prawdopodobnie w rejonie, w którym znajdowała się sekcja filipińska. Mitchell chciał wywołać Yana, jednak nie miał na to czasu.

Kiedy ucichł huk spowodowany eksplozją drugiego pocisku, usłyszał zbliżające się krzyki. Mitchell rozpoznał język tagalski, arabski i kilka słów wypowiedzianych łamanym angielskim.

– Żadnych więźniów! Tylko trupy!

Większość członków grupy Abu Sayyaf stanowili filipińscy chłopcy, zwabieni przez Arabów obietnicą pieniędzy, kobiet, broni i dobrej zabawy. Jaki mieli wybór? Biedę, choroby i obłudne uśmiešky obcokrajowców, obiecujących pomoc? Nie zastanawiali się długo nad podjęciem decyzji.

Mitchell starał się nie mieć żadnych poglądów politycznych. Uważał, że to najlepsze wyjście, pozwalające zachować trzeźwość umysłu.

Jeśli te dzieciaki chciały przystąpić do grupy terrorystycznej, to poniosą tego konsekwencje.

Mitchell pochylił się, kiedy schodził ze wzgórza. Błoto głośno chlupotało pod jego butami. Zaklął, zdenerwowany hałasem. Zwolnienie kroku nie pomogło.

W związku z tym porzucił plan zajścia celowniczego od tyłu. Postawił zaatakować z zaskoczenia. Wepchnął granat do ładownicy i wolnym krokiem ruszył przed siebie. Ból świdrował jego ranne ramię. Wyteżył wzrok, spoglądając w ciemność, w kierunku

poruszających się kilka metrów dalej cieni w pobliżu dwóch drzew.

Oto i on. Celowniczy karabinu maszynowego leżał na brzuchu, znowu strzelając.

Gdy Mitchell podbiegł do niego, odwrócił głowę. Zdążył dostrzec pokrytą błotem zjawę, która za chwilę miała zakończyć jego krótki żywot.

Mitchell wystrzelił kilkakrotnie, posyłając celowniczego w zimną, moką otchłań.

Przypomniał sobie, że Rutang czeka na wybuch granatu.

Sięgnął więc po granat, wyrwał zawleczkę i rzucił go w kierunku nierównej, zielonej linii drzew na wschodzie, skąd dobiegały strzały.

Kiedy granat eksplodował, Mitchell złapał radio.

– Ruszaj, Rutang!

– Robi się!

Mitchell padł na brzuch i założył gogle noktowizyjne.

Poniżej, wśród palm, kauczukowców i pnączy, oplatających drzewa niczym pajęcza sieć, dostrzegł Rutanga. Komandos niósł na plecach jednego z ich kumpli, kołysząc się ciężko z boku na bok.

Kiedy Rutang minął kępę krzewów, otworzyło do niego ogień co najmniej czterech strzelców ulokowanych wśród gęsto rosnących drzew w odległości jakichś dwudziestu metrów.

Mitchell podbiegł do karabinu maszynowego zabitego terrorysty i wystrzelił serię osłaniającą Rutanga.

Już po chwili lufa rozgrzała się do czerwoności. Zaczęła dymić, jakby miała się zaraz stopić. Wyglądało na to, że terrorysta strzelał zbyt długimi seriami, nie czekając, aż lufa ostygnie. Teraz karabin nie nadawał się do użytku.

Mitchell porzucił DP i wstrzymując oddech, przycisnął gogle do oczu.

Rutang chwiejnym krokiem szedł do przodu. Z trudem utrzymywał zarzuconego na ramiona mężczyznę.

Nagle został trafiony w łydkę. Padł wraz ze swoim rannym towarzyszem prosto w błoto.

Terrorysty wstrzymali ogień i ruszyli z miejsca, żeby dokończyć robotę.

Mitchell zbiegł ze wzgórza niczym barbarzyńca z czasów antycznego Rzymu. W dłoni zamiast topora trzymał karabin, ale jego okrzyk bojowy był równie groźny, jak ryk szarżującego członka germańskiego plemienia.

Chciał, żeby cały ogień skierowano przeciwko niemu, a nie Rutangowi. Zamierzał zlikwidować ich wszystkich po kolei. Nie potrafił przegrywać.

Spojrzał w lewo i dostrzegł pierwszego z mężczyzn, wychodzącego zza drzew. Powalił go krótką serią, nim głupek zorientował się, co się stało.

Pozostali trzej terrorysty krzyknęli coś do siebie porozumiewawczo i w następnej sekundzie Mitchell znalazł się pod gradem pocisków.

– Scott! – krzyknął Rutang do mikrofonu. – Uciekaj stamtąd!

ROZDZIAŁ 3

**Wyspa Basilan
archipelag Sulu, południowe Filipiny
sierpień 2002**

Krzyk Rutanga ciągle jeszcze rozbrzmiewał w jego słuchawce, gdy Mitchell padł w kałużę u podnóża wzniesienia. Woda chlusnęła mu w oczy, oślepiając go na chwilę. Nim wstał, obrócił się na prawy bok i skierował ogień w kierunku wyłaniających się zza drzew mężczyzn.

Powalił jednego, wycelował w kolejnego i zdziwił się, kiedy mężczyzna zachwiał się, a jego klatkę piersiową rozerwały pociski.

Po prawej stronie Mitchella leżał na brzuchu Rutang i opróżniał magazynek, strzelając w terrorystę.

Mitchell wstał w chwili, gdy trzeci i ostatni przeciwnik ruszył w kierunku pozycji Rutanga, wiedząc, że skończyły mu się naboje. Mitchell podbiegł do najbliższego drzewa, zamarł bez ruchu, wymierzył w mężczyznę i strzelił. Pierwsza kula trafiła go w nogę. Terrorysta zaczął utykać, obrócił się w kierunku Mitchella, otworzył usta. Kolejna seria trafiła go w twarz.

– Rutang, wygląda na to, że jest czysto. Zostań na pozycji, odbiór.

– Zrozumiałem.

Mitchell wziął głęboki oddech, odepchnął się od drzewa i pobiegł w kierunku Rutanga, znajdującego się po drugiej stronie wąskiej doliny. Poruszał się wężykiem, żeby uniknąć ewentualnego ostrzału. Po chwili na wzgórzu znów zaterkotały kałasznikowy, a drzewa i błoto poruszały się, ożywione przez siekące w nie pociski.

– Black Tiger 06, tu Ricochet, odbiór!

– Nadawaj, Ricochet – odezwał się kapitan Yano. Jego głos był ledwo słyszalny, a z oddali dobiegały odgłosy wystrzałów.

– Oczekuj na mój nowy namiar GPS, odbiór.

– Chwilę, Ricochet! Nadal jesteście silnie ostrzeliwani!

– Przyjąłem. Odezwę się za kilka minut.

Mitchell przedarł się przez zwisające pnącza i zaszedł Rutanga od tyłu.

– Rutang, to ja! – krzyknął.

– Dobra, Scott.

Sanitariusz leżał na boku tuż za dwiema małymi palmami. Użył drugiego ostrza swojego wojskowego noża Blackhawk Mark 1, aby rozciąć nogawkę. W drugiej dłoni trzymał bandaż uciskowy, który właśnie przykładał sobie do rany. Robiąc to, jęknął, po czym zaklął.

– Naprawdę bolało – odezwał się.

– Wiem, chłopie. – Mitchell spojrział przed siebie. – Jak się trzymasz, Billy?

Billy Bermudez, sierżant zbrojmistrz, leżał na plecach z odsłoniętą klatką piersiową. Jego młodą twarz wykrzywiał ból. W dłoni trzymał swoją berettę M9. Pomiędzy żebrami wykonano niewielkie nacięcie i włożono tam rurkę, aby krew nie zalała mu płuc.

– Scott – odparł Billy, ciężko dysząc. – Źle ze mną.

– Ma przebitą opłucną. Rurka na razie pomaga – odezwał się Rutang.

Billy poruszył ręką.

– Nie przenoście mnie więcej. To strasznie boli.

– Wiem – odparł Mitchell. – Ale musisz wytrzymać.

Billy zawahał się, po czym skinął głową.

– No to dawaj.

Scott uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

– Idź pierwszy, zanim się zbliżą – odezwał się do Rutanga.

Mitchell pomógł mu wstać. Rutang wstrzymał oddech i spróbował przenieść ciężar ciała na ranną nogę. Zaklął.

– Spokojnie, chłopie. – Mitchell nie dał po sobie poznać, że cierpi z powodu własnej rany.

– Scott, nie mogę na niej stanąć. – Oczy Rutanga podeszły krwią. Wykrzywił twarz. – Chłopie, ja nie żartuję. Naprawdę.

– Dobra. No to idziemy. – Mitchell wziął go na plecy i ruszył przed siebie. Kolana ugięły się pod nim, kiedy wchodził pod górę. Pochylił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, by odciążyć nogi. Skupił uwagę na rytmicznym oddechu.

Gdy zaświszczały kule z broni automatycznej, skręcił w kierunku dużej formacji skalnej, wyglądającej jak grot strzały. W ciemnościach nabrała ciemnobrązowej barwy.

Mitchell nasłuchiwał, skąd dobiegają odgłosy wystrzałów.

Wszystkie zmysły miał wyostrzone do granic możliwości. Skrzywił się, czując intensywny zapach dżungli i własny pot. Ziemia zapadała się pod jego ciężkimi butami.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – odezwał się do Rutanga. Pomiędzy skałami znajdowała się szeroka szczelina. Świetne miejsce zajęcia pozycji obronnej. Będą teraz wyżej od przeciwników.

Ale jak przenieść tutaj wszystkich ludzi?

Mitchell powoli zgiął kolana i pozwolił Rutangowi zsunąć się z pleców.

- Siedzę! – zawołał Rutang
- W porządku. Przenieś się trochę wyżej i osłaniaj mnie.
- Dobra, Scott.

Kiedy Rutang usadowił się we właściwym miejscu, Mitchell wziął głęboki długi oddech, przetarł oczy i złapał swój karabin. Pośpiesznie wywołał Black Tigera 06 i podał mu nowe koordynaty GPS.

Chwilę stał, patrząc w gwiazdy.

Nie był religijnym człowiekiem, pomyślał jednak, że nie zaszkodzi poprosić Stwórcę o trochę wyrozumiałości.

W tej samej sekundzie poczuł ogromną ulgę i spokój.

Znajdzie Billy'ego i Carlosa i przyprowadzi ich do kryjówki. Uda mu się.

- Scott, jestem gotowy.
- Dobra. Raz kozie śmierć.

Mitchell wyszedł z za skał i ruszył sprintem w dół. Powtarzał sobie w duchu, że nie dosięgnie go żadna kula.

Zignorował krew płynącą z rannej ręki. Biegł coraz większymi zakosami, kiedy pokryty błotem stok bulgotał od trafiających weń pocisków.

Świst kul, brzęk łusek i krzyki w języku arabskim i tagalskim zlały się w jeden nieprzerwany szum, który już mu nie przeszkadzał. Hałas sprawiał, że jeszcze bardziej zależało mu na dotarciu do pozostałych komandosów.

Mitchell pośliznął się na błocie, padł na pośladki i zaczął zjeżdżać w dół wraz ze spływającą wodą. Wylądował z łomotem na gołoborzu. Przeczłogał się i spojrzał przed siebie. Był kilka metrów od niewielkiego rowu.

W oddali dostrzegł trzy sylwetki. Po chwili zobaczył je wyraźnie i zrozumiał, że znalazł właśnie swoich ludzi, którzy zajęli pozycję jakieś dwadzieścia metrów na zachód od miejsca, z którego zabrał Rutanga.

Starszy sanitariusz Red Cross leżał w kałuży krwi, która przesiąkła przez bandaż. Rumblefish dostał kilka kul w klatkę piersiową. Siedział oparty o drzewo. Jego oczy były nieobecne. Kiedy Rapper oberwał pociskiem z mózdzierza, prawdopodobnie przeciągnięto go do kryjówki. Z obu jego nóg wystawały gołe kości. Wykrwawił się szybko. W półmroku jego twarz przybrała szary odcień.

Mitchell chciał przymknąć oczy, przypomnieć sobie ostatnie wspólnie spędzone z nimi chwile, jednak nie miał czasu do stracenia. Pokonał dławiące go wzruszenie i popędził pomiędzy drzewami w kierunku Billy'ego i Carlosa. W pośpiechu zapomniał dać Billy'emu znać, że nadchodzi i kiedy minął ostatnie krzewy, kula wbiła się w drzewo tuż obok niego.

- Billy! – zawołał.
- Jezu, Scott!

Dotarł do rannego i przykląkł na jedno kolano.

– Przepraszam, moja wina. Dzięki, że mnie nie ukatrupiłeś!

– Sprawdź, co z Carlosem. Wołałem go. Nie odpowiada. Jest zaraz za tymi palmami.

Carlos Alejandro, podoficer łączności, był najbardziej elokwentnym i wykształconym członkiem sekcji. Wypowiadał się fachowo na temat polityki światowej, religii i filozofii. Potrafił pogawędzić z każdym sierżantem sztabowym, pułkownikiem, a nawet generałem lepiej niż jakikolwiek inny oficer. Dlatego nigdy nie można go było uciszyć.

Mitchell znalazł go leżącego na wznak. Głowę miał obróconą w prawo, jakby wsłuchiwał się w głos ziemi. Oczy otworzył szeroko.

– Carlos?

Sierżant obrócił głowę i spojrzał w górę rozbieganym wzrokiem.

– Przemieszczają się.

– Skąd wiesz?

– Słyszałem właśnie, jak krzyczą.

– A nie usłyszałeś Billy’ego?

– Pomyślałem, że jeśli się nie odezwę, to w końcu się zamknie.

Mitchell pokręcił głową i się uśmiechnął.

– Gotowy? Wezmę cię na rękę.

– Nigdy w życiu.

Carlos dostał przynajmniej dwa razy w nogę i całą serię w bark. Wszystkie jego bandaże były przesiąknięte krwią.

– Nie piernicz bzdur. Idziesz.

Mitchell pomógł Carlosowi wstać. Komandos, próbując utrzymać równowagę na jednej nodze, jęknął cicho.

Za nimi Rutang otworzył ogień do przeciwników po drugiej stronie doliny. Lufy pluły ogniem po obu stronach dżungli.

W momencie, kiedy Mitchell wziął Carlosa na plecy, pojawił się na niebie pocisk z granatnika, pozostawiający smugę niczym spadająca gwiazda. Lecąc w kierunku pozycji Rutanga, roztaczał ostre, białe światło.

Mitchell krzyknął do mikrofonu. Chciał ostrzec sanitariusza, jednak jego słowa zostały zagłuszone eksplozją.

Zobaczyli kłęby dymu i osuwające się skały.

– Trafili go – odezwał się drżącym głosem Carlos.

– Nie! – wykrzyknął Scott.

Ruszył z Carlosem na plecach w kierunku rozbłysku.

– Trafili Rutanga – powtórzył Carlos.

– Niemożliwe.

Mitchell jednak powoli zaczynał tracić wiarę. Czy wszystko miało pójść na marne: ta akcja, jego kariera w wojsku, całe to cholerne życie? Czy zabrał swoich ludzi w miejsce, w

którym zginą marnie?

Gdzie się podział Scott Mitchell, którego znał? Facet, który wybrał dla siebie życie komandosa sił specjalnych, bo nie był mu pisany żywot przeciętnego człowieka?

Gdzie był ten Scott Mitchell, który bezustannie parł do przodu, nigdy nie uciekał?

Kapitan Fang Zhi dostrzegł rozbłysk wysoko na niebie. Korzystając z noktowizora, zrobił zbliżenie, aby móc obserwować jednego z Amerykanów, niosącego na plecach swojego kolegę i biegnącego w kierunku buchającego dymu i płonących drzew.

Bez wątplenia był to akt wielkiej odwagi i Fang po raz pierwszy docenił tę sekcję. Winy za wszystko nie ponosili przecież żołnierze, ale ich dowódcy. Podkomendni nie mogli sprzeciwić się rozkazom. Byli jedynymi ofiarami, szkoda, że tracą życie za błędy rządzących.

To był bardzo odważny człowiek. Fang nie widział wyraźnie jego twarzy, sądził jednak, że mógł to być starszy sierżant ODA Mitchell, którego uważał za jednego z najbardziej doświadczonych komandosów pośród Amerykanów.

Kilka okrzyków niosących się ze zbocza przyciągnęło uwagę Fanga. Zobaczył tam terrorystę, który wystrzelił przed chwilą pocisk z granatnika. Szykował się do kolejnego strzału, mierząc w Amerykanów.

Nie wiadomo czemu, może z szacunku dla odwagi amerykańskich żołnierzy, Fang odłożył noktowizor i wziął do ręki fabrycznie nowy karabin szturmowy T91 z przytwierdzoną lunetą snajperską. Taka broń będzie dostępna dla zwykłych żołnierzy dopiero w przyszłym roku. Jednak tajwańska armia zamówiła kilka prototypów dla swoich najlepszych strzelców, takich jak Fang. Co oznaczało, że jeśli Zhi zechce tylko zabić terrorystę z RPG, wystarczy mu jeden nabój.

Fang uniósł broń i wstrzymał oddech.

Terrorysta szykował się już do strzału.

Zhi wiedział, że jeśli go zabije, zdradzi swoją pozycję.

Pomyślał o Amerykaninie, który próbował ocalić życie swojego ранego kolegi. O własnej sekcji i aroganckiej dumie amerykańskich i filipińskich dowódców.

Ciągle jeszcze nie mógł podjąć decyzji. Jego cel przesunął się w lewo, a potem na prawo.

Fang zamrugał, wziął głęboki oddech i zdecydował.

ROZDZIAŁ 4

**Wyspa Basilan
archipelag Sulu, południowe Filipiny
sierpień 2002**

Nawałnica pocisków wokół Mitchella zaczęła słabnąć. Wkrótce słyszał już tylko własny oddech, tupot swoich stóp i ciche jęli Carlosa, którego zarzucił sobie na plecy.

Ruszył w górę wzgórza, w kierunku skał, wciąż przysłoniętych chmurą pyłu.

Pojedynczy strzał odbił się echem w dolinie. Chwilę później dał się słyszeć charakterystyczny świst kolejnego RPG.

Mitchell odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał dźwięk. No to koniec. Po raz ostatni zaczerpnął tchu.

Jednak pocisk przeleciał szerokim łukiem na tle nieba, przemknął nad drzewami i zniknął mu z oczu.

Mitchell zmarszczył brwi, obrócił się na pięcie i podjął marsz. Dotarł wreszcie do potrzaskanej skały. Przeszedł na jej drugą stronę, gdzie znalazł Rutanga. Żołnierz kulił się w głębi rozpadliny i przy świetle latarki oglądał ranę od szrapnela na ramieniu.

– O rety! – jęknął sanitariusz.

– Wciąż jeszcze żyjesz. Nie marudź – ofuknął go Mitchell. – I wyłącz tę latarkę.

– Chciałem tylko sprawdzić, jak poważna jest rana.

– Nie jest poważna.

– Bardzo boli.

Mitchell ostrożnie położył Carlosa na ziemi.

– Trzymaj się, bracie.

Carlos skrzywił się i pokiwał głową.

– Ktoś musi wrócić po Billy’ego – przypomniał.

– No tak... pomyślmy... chyba wypadło na mnie – podsumował z krzywym uśmiechem Mitchell. – I tym razem bez ognia osłaniającego. A, do diabła z tym wszystkim... – mówiąc to, wyciągnął prawie pusty magazynek ze swojego M4A1 i założył nowy.

– Ricochet, tu Black Tiger 06, odbiór – zabrzmiał nagle w słuchawce głos kapitana Yana. Dało się w nim słyszeć strach, wielkie napięcie.

Mitchell przełknął ślinę.

– Słucham cię, Black Tiger.

– Utknęliśmy tu po uszy. Co najmniej dziesięciu wrogów przemieszcza się w kierunku waszej pozycji. Może nawet więcej. Stąd nie możemy im przeszkodzić. Wzywaliśmy wsparcie z powietrza, ale mówią, że strefa jest nadal zbyt gorąca. Musicie się stamtąd wydostać. Odbiór.

– Dzięki za informacje. Ricochet bez odbioru.

Do tej pory Mitchell nawet nie zadał sobie trudu wzywania wsparcia powietrznego. Wiedział, że nadejdzie tylko wtedy, gdy dowódca batalionu uzna, iż można zaryzykować niski przelot nad dżunglą. Dowódca zaś bez wątpienia monitorował całą łączność i dobrze wiedział, jak się sprawy mają.

Niemniej jednak Mitchell postanowił podjąć tę jedną, ostatnią próbę. Ku jego całkowitemu zaskoczeniu major Vic Zacowsky, dowódca kompanii, oznajmił, iż przekonał dowódcę batalionu do wysłania na pole bitwy trzech śmigłowców ewakuacyjnych. Black hawkki były już w drodze. Szacowany czas przybycia: dziesięć minut.

Rutang i Carlos nie zdjęli jeszcze słuchawek, mogli więc przysłuchiwać się całej rozmowie.

– Spóźnią się – uznał Rutang. – Jak nic się spóźnią.

Mitchell pokiwał głową. Włączył mikrofon.

– Billy? Idę po ciebie, odbiór.

– Słyszę cię. Lepiej się pośpiesz. Widzę, jak coś się rusza między drzewami, to pewnie ci goście, o których mówił Black Tiger.

– Już zasuwam – mówiąc to, Mitchell przelazł przez skałę i pobiegł w dół wzgórza. Poczł wzbierającą falę adrenaliny.

Znów ześlizgnął się do błotnisteo koryta strumienia, minął ciała kolegów i znalazł Billy'ego tam, gdzie go zostawił. W dłoni dzierzył M9, z klatki piersiowej zwisała rurka. Oddychał ciężko, a z rurki sączyła się krew.

– No, czas się zbierać – powiedział Mitchell, ciężko dysząc.

– Dobra – wydusił z siebie Billy.

– Pora na coś, czego nigdy...

Mitchell urwał, słysząc coraz głośniejszy dźwięk nadlatującego pocisku z granatnika.

Opadł na Billy'ego, osłaniając mu głowę i twarz. Pocisk wybuchł na wzgórzu za ich plecami. Odgłos eksplozji przeszył bólem uszy Mitchella.

Drzewa za ich plecami poszatkowały kolejne pociski. Mitchell mocniej przycisnął do ziemi Billy'ego. Wiedział, że jeśli odpowie ogniem, namierzą ich, mimo tłumika płomieni zamontowanego na jego karabinie. Jeśli arabusy dobrze wyszkoliły te dzieciaki, to nauczyły ich również określać pozycję nieprzyjaciela w oparciu o charakterystyczne odgłosy strzałów.

Na szczęście Mitchellowi zostało jeszcze kilka granatów odłamkowych. Wydobył jeden z

nich, wyrwał zawleczkę, po czym odwrócił się i cisnął granat w kierunku rozbłysków z luf, zdobiących gęstwę drzew niczym światełka choinkowe.

– No dobra, Billy, ruszamy – oznajmił. Sekundę potem granat eksplodował.

Mitchell zarzucił sobie sierżanta na plecy i ruszył przed siebie. Za plecami słyszał okrzyki pozostałych przy życiu terrorystów i serie z kałasznikowów.

– Ricochet, tu Rutang. Widzę cię. Wiem, że nie możesz rozmawiać. Nadlatują na szóstą. Słyszę śmigłowce. Wypuszczę czerwoną świecę dymną. Biegnij, Scott. Nie zatrzymuj się!

Pierwszy pocisk z moździerza zrobił w ziemi krater otoczony dziesiątkami błotnistych bajorek. Drogę przed Mitchellem zasłaly kamienie i połamane gałęzie. Wirujący w powietrzu pył utrudniał dojrzenie czegokolwiek. Zabolęła go prawa noga. Poczul, jak coś ciepłego spływa mu wzdłuż łydki.

Nie można się zatrzymać. Za żadne skarby. Bez względu na to, co się czuje. Bez względu na to, co się słyszy czy widzi.

Tyle że jego nogi odmawiały już posłuszeństwa. Każdy mięsień płonął. Stawy biodrowe nie wytrzymały ciężaru. Kiedy zaś stanął na twardym gruncie, mało nie zwicznął nogi w kostce. Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. W samą porę, by uniknąć przeszywającego bólu. Potykając się, ruszył dalej. Omal nie upadł, ale odzyskał równowagę.

– Scott, zostaw mnie.

Kolejny pocisk z moździerza eksplodował po prawej stronie, nie dalej niż czterdzieści metrów od nich. Potem zaczął się ostrzał z karabinów.

– Trzymaj się mocno – rozkazał Mitchell Billy’emu, koncentrując wszystkie pozostałe siły. Skokami ruszył pod górę. Buty zapadały się głęboko w błoto. Łapiąc oddech, stękał przez zaciśnięte zęby.

Ogień płonący w nogach przeskoczył na kręgosłup, doszedł do ramion. Mitchell zgarbił się jeszcze bardziej. Billy zsuwał mu się z pleców.

Zostało jeszcze dwanaście kroków.

Na górze pojawił się Rutang, odsunął się na kilka kroków i rzucił granatem dymnym M83. Wylądował on daleko z tyłu i zaczął syczeć...

Już tylko dziesięć kroków. Sześć.

Cztery.

W dniu, w którym Mitchell ogłosił, że wstępuje do wojska, jego ojciec powiedział mu: „Jeśli masz być żołnierzem, Scott, to bądź najlepszym z najlepszych”.

Pocisk z moździerza zaświszczał i spadł tuż za nim. Czując, jak włosy na karku stają mu dęba, Mitchell rzucił się wraz z Billym w bok i wpadł do rozpadliny, słysząc za plecami wybuch.

Przetoczyli się po skałach, nabijając sobie kolejne siniaki.

Mitchell wstrzymał oddech na kilka sekund. Wreszcie zaryzykował nabranie powietrza. Odór eksplozji przyprawił go o atak kaszlu. Wyczołgał się spod Billy’ego, po czym zwrócił

oczy ku niebu, słysząc podnoszący na duchu dźwięk rotorów black hawków.

Billy zaczął krzyczeć. Rurka została niemal wyszarpięta z jego ciała. Rutang już się nim zajął. Carlos walczył ze sobą, by nie zamknąć oczu.

Przez warkot nadlatujących śmigłowców przebiły się okrzyki w języku arabskim. Rozlegały się przerażająco blisko – tuż u stóp wzgórza.

Mitchell żałował, że zerknął na towarzyszy. Pokryci krwią i błotem, ledwo dawali się rozpoznać.

Przesunął się między skałami, ocierając się o nie ramieniem, a potem zaryzykował zerknąć za róg.

Dwaj terroryści przepuszczali szturm na wzgórze.

Mitchell wyskoczył z kryjówki i otworzył ogień do pierwszego z nich, ścinając go z nóg.

Drugi padł na brzuch i przetoczył się na bok. Mitchell strzelił do niego, lecz czerwony dym wypuszczony przez Rutanga zaczął unosić się nad wzgórzem, przysłaniając całą okolicę.

Mitchell zmrużył oczy. W tym momencie pociski uderzyły nieoczekiwanie w skały na wysokości jego ramion. Rykoszetowały, syjąc iskrami. Mitchell ukrył się za skałami. Zaklął, z trudem łapiąc powietrze.

Jeden z helikopterów zatoczył krąg nad ich głowami. Strzelec pokładowy pochylił się nad swoim M134. Smugowe pociski chłostały dżunglę niczym jęzory ognia.

Mitchell wychynął znów zza skały. Mimo strumienia powietrza z rotora i dymu, mimo piekących oczu, wypatrzył poniżej biegnącego w jego kierunku terrorystę. Wszystkie trzy pociski Mitchella trafiły go w klatkę piersiową. Zrobił kilka chwiejnych kroków w tył, opadł na bok i przetoczył się prosto pod kule strzelca pokładowego.

Nim jednak usta Mitchella zdążyły rozciągnąć się w uśmiechu, coś rozbłysło w kępie drzew po drugiej stronie doliny.

Rakieta. Leciała wprost na black hawka.

Chwilę potem trafiła w śmigłowiec i eksplodowała w luku. Patrząc jak urzeczony na surrealistyczny widok, Mitchell stał przez sekundę bez ruchu. Śmigłowiec skręcił gwałtownie i ciągnąc za sobą smugę dymu, zaczął opadać prosto na niego.

Płonące ciało jednego ze strzelców pokładowych wypadło z luku i poleciało w dół.

Mitchell padł na brzuch w chwili, gdy black hawk z wyciem przeleciał jakieś sześć metrów nad nim. Jedna z płóz zazgrzytała o skały za jego plecami. Leciał potem dalej, ponad wzgórzem, by wreszcie spaść między drzewa.

Mitchell nie widział już śmigłowca, słyszał jednak, jak rotory tną gałęzie, a silnik jęczy rozpaczliwie. Potem zabrzmiała echem seria pomniejszych eksplozji i trzask pękającego metalu.

– Scott, tu Rutang, odbiór! Scott, tu Rutang!

– Tutaj jestem – odparł, podnosząc się z błota. – Sam nie wiem, jakim cudem ocalałem.

– Siedzę u góry z noktowizorem. Chyba widzę tam ludzi kapitana Yana.

– Powiedz mu, że musi pomóc zabezpieczyć ten obszar. Ja podejść do śmigłowca, żeby sprawdzić, czy ktoś przeżył.

– Nie trać czasu. Widzę go stąd. Nikt nie przeżył.

– A jednak pójdę. Zaraz wracam. Bez odbioru.

Mitchell ruszył biegiem w dół wzgórza, a potem wpadł między drzewa, skąd wznosił się słup dymu.

Dwa pozostałe black hawkki poleciały na zachód. Strzelcy pokładowi zasypywali góry ołowiem, dając widowiskowy pokaz sztucznych ogni.

U stóp kolejnego wzgórza Mitchell przystanął na chwilę, by obejrzeć miejsce katastrofy przez noktowizor. Przechesał wzrokiem las w promieniu stu osiemdziesięciu stopni.

Jak na razie brak było oznak działalności wroga.

Mitchell ruszył zatem ku zestrzelonej maszynie. W powietrzu unosił się ciężki odór paliwa.

Fakt, nikt przy zdrowych zmysłach nie poszedłby tam. Zawsze jednak istniała szansa, że wewnątrz znajduje się ktoś żywy. Mitchell nie potrafiłby żyć ze świadomością, że nawet tam nie zajrzał.

Tak więc wstrzymał oddech i rzucił się sprintem naprzód.

Black hawk leżał przechylony na jedną stronę w dymiącej bruździe. Brakowało mu ogona i głównych rotorów. Połamane płozy powbijały się w ziemię. Co dziwne, panele w kabinie wciąż były oświetlone.

Kiedy Mitchell zbliżył się do śmigłowca, poczuł na twarzy fale gorąca. Zaczęło brakować mu powietrza. Opary paliwa sprawiły, że oczy zaszyły mu łzami. Jak burza wpadł do luku.

Osmalone, poszarpane ciało na podłodze. Obok zwłoki drugiego strzelca pokładowego. Mitchell dotarł do pilota, który choć ledwo przytomny, żył jeszcze. Drugi pilot dostał w kark kilkoma dużymi odłamkami. Mitchell sprawdził puls na arterii szyjnej. Brak.

– Kapitanie, zaraz pana wyciągnę – zapewnił rannego.

– Mówiłem im, że ta cholerna strefa jest zbyt gorąca – odparł tamten.

– Zrobi się jeszcze gorętsza – uprzedził Mitchell, rozpinając pasy.

– Nie mogę poruszyć nogami – powiedział kapitan.

Mitchell wydobył kieszonkową latarkę. Skierował promień światła na nogi pilota. Żadnych ran.

Sprawdził tył fotela pilota. Rozerwany szrapnelem. Kiedy wziął pilota za ramiona i przesunął do przodu, zauważył plamy krwi na jego plecach. Bez wątplenia uszkodzenie kręgosłupa.

W ciasnej kabinie Mitchell nie był w stanie wziąć pilota na ręce. Chwycił go więc za pasy do spadochronu i wyciągnął z kabiny przez wypełniony dymem luk. Położył pilota na ziemi i wreszcie zaczerpnął powietrza.

Kątem oka dojrzał jakiś ruch między połamanymi drzewami.

Padł na ziemię.

Ujrzał sylwetki wielu terrorystów, którzy skradali się za pniami drzew.

Jeden strzał w kadłub śmigłowca mógł zapalić całe paliwo, które wyciekło w błoto.

– Scott, tu Rutang, odbiór.

– Rutang, poczekaj. – Mitchell zaklął pod nosem i przygotował się do kolejnej wymiany ognia.

ROZDZIAŁ 5

Wyspa Basilan
archipelag Sulu, południowe Filipiny
sierpień 2002

– Nie mam zamiaru umrzeć bez walki – oznajmił pilot. Sięgnął po pistolet. – Wezmę ze sobą choć jednego.

– Poczekaj chwilkę – odparł Mitchell, celując w najbliższego żołnierza, wychylającego się zza drzewa, ledwo widocznego w półmroku. – Tu się dzieje coś dziwnego. Widzą nas. Powinni już strzelać.

– Ricochet, tu Black Tiger 06, odbiór.

– Nadawaj – odrzekł Mitchell ściszone głosem.

– Moja sekcja Bravo jest na miejscu katastrofy śmigłowca. Widzą was, ale mają zamiar kontynuować zwiad, odbiór.

Mitchell odetchnął głęboko. Podniósł się.

– Wstrzymać ogień! – krzyknął do zbliżających się żołnierzy. – Do mnie!

Żołnierze wybiegli zza drzew. Faktycznie, byli to ludzie Yana.

– Ricochet, ostatni wrogowie uciekają – ciągnął kapitan. – Przegrupujemy się w strefie ewakuacji, odbiór.

– Przyjąłem. Potrzebuję pomocy dla moich rannych.

– Sanitariusze są już w drodze, odbiór.

Mitchell odwrócił się do pilota.

– Kapitanie, pora w drogę. Spróbuję nie uprzykrzyć panu za bardzo życia.

– Co to za życie? Nigdy już nie będę latał. Dobrze o tym wiesz.

Mitchell nie miał zamiaru litować się na nim. Może uda mu się obudzić nadzieję w tym człowieku?

– Kapitanie, my się nie poddajemy – zaproponował. – Nigdy.

– Ta rakietka zakończyła moją karierę. Całe moje życie. Zostaw mnie tutaj.

– Ani myślę.

– Mówię ci, spadaj stąd. To rozkaz – mówiąc to, pilot uniósł pistolet.

Mitchell wziął głęboki oddech.

– No cóż, chyba będzie pan musiał mnie zastrzelić. – Jednym ruchem wytrącił kapitanowi broń z ręki i zarzucił go sobie na ramiona. Właśnie nadbiegali Filipińczycy. Dał im znak, żeby mu pomogli.

– Jak się nazywasz, żołnierzu? – spytał kapitan. W jego głosie pobrzmiwała groźba.

– Mitchell. Scott Mitchell.

– Zapamiętam sobie.

– Nie wątpię – odparł Mitchell. Oddalał się już wolno od śmigłowca, z trudem utrzymując się na nogach.

Każdy komandos, którego udało się odnaleźć, został przetransportowany do strefy ewakuacji. W sekcji Mitchella wciąż brakowało pięciu ludzi, uznanych za zmarłych. Poszukiwanie ich rozpocznie się o świcie. Jednak już rząd pozostałych ciał był ciężkim do zniesienia widokiem.

Komandosi odpoczywali oparci o plecaki, opatrywani przez sanitariuszy Yana. Czekali na śmigłowce na rozległym polu przylegającym do dżungli. Mitchell spróbował wywołać kapitana Fanga Zhi. Usiłował nawet skontaktować się z każdym członkiem sekcji tajwańskiej osobno, żaden jednak nie odpowiadał.

Rutang przekazał mu smutną wiadomość, uzyskaną od jednego z filipińskich sanitariuszy: Carlos zmarł. Według niego tylko on sam, Billy i Mitchell przeżyli zasadzkę.

Mitchell otarł wierzchem dłoni pot z czoła, odchylił głowę i przymknął oczy.

Witamy w siłach specjalnych...

Był tak zmęczony, że mógłby spać sto lat, tak emocjonalnie wyczerpany, że w piersi czuł dogłębną pustkę, której towarzyszył szum przypominający chorały gregoriańskie. Wiatr niósł głosy mnichów. Myśli Mitchella zaczęły dryfować. Przed oczami stawały mu sceny z odległej i całkiem niedawnej przeszłości.

Był nastolatkiem z Youngstown. Leżał na wznak pod starym fordem mustangiem i uczył się, jak wymieniać olej...

W świeżo odprasowanym mundurze żegnał się z ojcem i rodzeństwem przed wyruszeniem na pierwszą misję...

Ścisnął dłoń kapitana Foyte'a, uśmiechając się radośnie na wieść o tym, że został wybrany do ODA 574...

Coś działo się na skraju pola. Rutang pociągnął za rękę Mitchella, który ocknął się i rozejrzał. Zobaczył całą sekcję tajwańską wyłaniającą się zza drzew. Cała dwunastka wyglądała dokładnie tak jak w chwili, kiedy wkraczali do dżungli. No, może odrobinę się spocili.

Jego pierwszą myślą było: dlaczego oni żyją? Przecież tylko zmarli nie odpowiadają na wezwania przez radio.

Mitchell zerwał się na nogi i podbiegł do nich. Znowu poczuł kłujący ból w

zabandażowanej ręce. Z tyłu grupy dostrzegł kapitana Fanga.

Fang nieźle znał angielski, choć kilka razy prosił, by mówiono przy nim wolniej.

Mitchell, z naciskiem wymawiając każde słowo, zadał mu teraz najprostsze pod słońcem pytanie:

– Kapitanie... gdzie... wszyscy... byliście?

Nieco niższy od Mitchella, muskularny Fang wyprostował się i przeszył go groźnym wzrokiem.

– Sierzancie – odezwał się – przykro mi z powodu pańskich strat.

– Słyszeliście nas?!

– Owszem.

– Słyszeliście, jak wzywałem pomocy?

– Rozkazałem moim ludziom wycofać się.

– Co takiego?

Wokół nich zaczęli się zbierać ludzie z sekcji Fanga. Pojawił się też kapitan Yano ze swoimi ludźmi.

– Słyszał mnie pan, sierzancie Mitchell.

Owszem, słyszał. I rzygać mu się chciało od tego.

– Przysłano nas tutaj, żeby nas poświecić. Nie mogę na to pozwolić.

Mitchell trząsał się z wściekłości.

– Kapitanie, co pan narobił?!

– Podjąłem decyzję. Jak uważam, słuszną.

– Kapitan Yano stracił czterech ludzi. Ja dziewięciu. Jest pan szaleńcem. – Mitchell postąpił krok do przodu, tak że znalazł się kilka centymetrów od Fanga. Patrząc mu prosto w twarz, podniósł głos. – Jak pan mógł zbiec z pola bitwy?

– Proszę się odsunąć, sierzancie.

– Odpowiadaj, jak pytam!

– Odsuń się!

Mitchell postąpił kolejny krok do przodu, uderzając nagim torsem Fanga i popychając go do tyłu.

– Nie odsunę się! – krzyknął. – Trzeba było przybyć nam z pomocą! Jesteś tchórzem! Zdrajcą! Porzuciłeś nas! Zostawiłeś na pewną śmierć!

Jeden z ludzi Fanga coś krzyknął. Mitchell zwrócił głowę ku kapitanowi Yanowi, który szybko przetłumaczył:

– Mówi, że Amerykanin ma rację. „Jesteśmy tchórzami. Chcieliśmy walczyć, ale on nam nie pozwolił”.

Nim Yano skończył tłumaczyć, Fang odwrócił się na pięcie i sięgnął do plecaka. Wydobyl dziwną broń, ni to miecz, ni to laskę.

Gdy ruszył ku swojemu podkomendnemu, Mitchell złapał go za rękę.

Jednak Fang przewrócił Mitchella na ziemię i uderzył go laską w głowę.

Cios sprawił, że Mitchell dosłownie ujrzał wszystkie gwiazdy. Usiadł i sprawdził, czy nie ma krwi. Jakimś cudem nie był ranny.

Tymczasem Fang znów odwrócił się do swoich ludzi, wznosząc laskę nad głową.

Yano podbiegł, by zatrzymać Fanga, ale reszta sekcji tajwańskiej ruszyła na pomoc dowódcy. Chwycili Yana, odciągając go na bok.

Rozgorzała bijatyka. Żołnierze krzyczeli, okładali się pięściami, a tymczasem nad ich głowami zaczęły podchodzić do lądowania śmigłowce.

Mitchell podniósł się i ruszył na Fanga, wykrzykując jego imię.

Fang odwrócił się na pięcie, opuścił oręż i wykonał pchnięcie, mierząc w klatkę piersiową Mitchella.

Wciąż oszołomiony ciosem w głowę Mitchell usiłował chwycić laskę, jednak wysliznęła mu się ze spoconych palców i wbiła się w ciało. Jęknął głośno, podczas gdy Yano odciągnął Fanga i powalił go na ziemię, a potem usiadł na nim okrakiem.

Mitchell stał i patrzył na to. Z piersi spływała mu krew. Rana przypominała dziwny wzór.

– Kapitanie Fang! – zawołał. – Jesteś tchórzem!

Z helikopterów wysypali się żołnierze z bronią gotową do strzału. Trzecia maszyna właśnie lądowała.

Poprzez ryk silników i krzyki ludzi Mitchell nie słyszał niczego innego poza kołoczącym się w głowie głosem: O mój Boże!

Podszedł do niego jeden z filipińskich sanitariuszy.

– Proszę pokazać mi tę ranę, sierzancie! – zawołał, przekrzykując zgiełk.

– Co takiego?

– Pańska rana.

– Nie sędzę, żeby była głęboka.

– Wystarczająco głęboka, by została niezła blizna.

Mitchell wzruszył ramionami i minął sanitariusza. Patrzył, jak dowódcy wszystkich trzech sekcji zaczęli krzyczeć, próbując rozdzielić walczących. Podczas całej swojej kariery wojskowej Mitchell nigdy nie widział czegoś podobnego. Ale też żaden z nich nie był nigdy w takim piekle.

Dowódca Fanga – tęgi major Liang o zaciętej twarzy – zaczął go strofować, a potem spoliczkował go na oczach wszystkich. Następnie chwycił Fanga za kark i powłókł do śmigłowca.

Spojrzenia Fanga i Mitchella skrzyżowały się na sekundę. Sierżant tylko z obrzydzeniem pokręcił głową.

Po przewiezieniu śmigłowcem na przedmieścia Isabella City, gdzie znajdował się obóz wojskowy Iron Horse, Mitchella, Rutanga i Billy'ego przetransportowano do szpitala

polowego. Nim nastał ranek, wszyscy trzej leżeli już w łózkach – opatrzeni i nafaszerowani lekami. Przed upływem czterdziestu ośmiu godzin mieli odlecieć do Stanów.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, co zrobił ten facet – oznajmił Rutang.

Mitchell westchnął ciężko, masując opuchniętą głowę.

– Powiedziałeś to na trzy różne sposoby.

– Dziwi cię to?

– Nie znamy całej prawdy.

– Tu akurat masz rację. To do nich niepodobne. Tak się zachować, to wbrew ich kulturze. Chyba się nie mylę? Należałoby się raczej spodziewać czegoś wręcz przeciwnego. Kiedy ćwiczyliśmy, wydawało się, że jest skłonny bez wahania wysłać swoich ludzi na śmierć.

– A jednak troszczył się o nich. Może za bardzo. Kto wie? Miał swoje priorytety, co wpłynęło na jego zdolność dowodzenia. Dziwne to wszystko.

– Dziwne? Po prostu jestem w ciężkim szoku.

– Wciąż się zastanawiam, co by było, gdyby odpowiedział na nasze wezwanie. Kto pozostałby przy życiu? Kto przez niego zginął?

– Gdybym mógł go tylko dorwać...

– Myślę, że jego dowódca nas w tym wyręczy.

– Co on sobie myślał?

– Nigdy się tego nie dowiemy, więc lepiej przestań się tym zadreć.

Tak naprawdę Mitchell nie wziął sobie do serca własnej rady. Przynajmniej na razie. Wiedział już, że będzie w koszmarnych snach przeżywał tysiące różnych scenariuszy, noc w noc mszcząc się brutalnie.

Było ciepło, słoneczne popołudnie. Wojskowa ceremonia na cześć Scotta Mitchella odbywała się w Fort Campbell, w Kentucky. Odczytano na głos następujące słowa:

„Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, na mocy ustawy uchwalonej przez Kongres 9 lipca 1918, przyznał Srebrną Gwiazdę: starszemu sierżantowi Scottowi Mitchellowi z Armii Stanów Zjednoczonych za odwagę na polu bitwy. Starszy sierżant Scott Mitchell, dowódca sekcji Grupy Operacyjnej Alpha 574, otrzymuje Srebrną Gwiazdę za swoją postawę na polu bitwy 18 sierpnia 2002 roku na wyspie Basilan, na południowych Filipinach. Tego dnia jego oddział wpadł w zasadzkę rebeliantów z grupy Abu Sayyaf, którzy zabili dowódcę i zastępcę dowódcy ODA 574 na samym początku starcia. Mimo intensywnego ostrzału z moździerzy, broni automatycznej i małokalibrowej, starszy sierżant Mitchell zdecydowanie przejął dowództwo, zorganizował swoich ludzi i ocalił pozostałych przy życiu członków sekcji przed rozbiciem przez siły wroga. Dzięki jego heroicznej postawie oddział pomyślnie odpierał ataki przeważających sił do czasu ewakuacji. Podczas ataku starszy sierżant Mitchell odniósł rany. Odwaga i inspirujące cechy przywódcze, zaprezentowane przez starszego sierżanta Mitchella, przynoszą chlubę zarówno jemu, jak i całej armii”.

W blasku fleszy aparatów fotograficznych do munduru Mitchella przypięto medal. Za jego plecami, na wielkim ekranie, wyświetlano slajdy w PowerPoincie, przedstawiające pole bitwy na wyspie Basilan.

Tak samo jak Rutang, który również otrzymał Srebrną Gwiazdę, Mitchell oznajmił zebrany, że robił tylko to, co do niego należało. Nie była to fałszywa skromność. Naprawdę postąpił tak, jak go szkolono.

Dużo później Mitchell dowiedział się, iż z tyłu sali siedziało dwoje oficerów, którzy mieli wiele do powiedzenia w kwestii jego kariery komandosa.

Wchodzili oni w skład elitarniej tajnej organizacji, znanej jako Ghost Recon.

ROZDZIAŁ 6

Kaosiung
południowy Tajwan
maj 2007

Pięć lat po zasadzce na wyspie Basilan Fang Zhi stał na rogu ulicy. Palił papierosa i czytał gazetę w świetle popołudniowego słońca. Sznur żółtych taksówek ciągnął się wzdłuż krawężnika. Po przeciwnej stronie ulicy, tuż przy salonie Toyoty, w zaparkowanym szarym sedanie siedział jego człowiek, Yeh Chun-chang. Czekał z komórką na telefon od Fanga.

Za niecałe trzydzieści minut zginie człowiek.

Nie byle kto.

Osobnik ten najbardziej mógł przeszkodzić Fangowi w jego przyszłym życiu.

Fang próbował się uspokoić, nie zwracając uwagi na klaksony samochodów. Podmuch przejeżdżającego autobusu uderzył go w twarz. Musi się udać. Spędził tak wiele czasu, obserwując, planując kroki, które zamierzał podjąć.

W pobliżu niewielka grupa turystów, Amerykanów w średnim wieku, śmiała się, oglądając dopiero co kupione puszki coca-coli, której nazwę napisano chińskimi znakami.

Ich kraj był przykładem arogancji, bogactwa i beztroskiego stylu życia, który zatruł cały Tajwan. Urzędnicy państwowi regularnie wykorzystywali obywateli do własnych korzyści, dzięki czemu zyskiwali poparcie Amerykanów. W ten sposób, podobnie jak w Ameryce, stworzono kulturę bogaczy i biedaków.

Armia tajwańska, czerpiąc wzorce z rządu, zachowywała się w podobny sposób. Posłaliby swoich ludzi w ogień, byle tylko zadowolić Stany Zjednoczone.

Im więcej Fang o tym myślał, tym płytszy stawał się jego oddech.

Spojrzał gniewnie w kierunku mijających go turystów, po czym jego uwagę przykuł mężczyzna stojący na rogu ulicy.

Tak, to był Sze Ma! Poczciwy plutonowy Sze Ma, którego Fang poznał w czasie swojej ostatniej misji w charakterze oficera sił zbrojnych. Ubrany był po cywilnemu, choć jego krótkie włosy sugerowały, że nadal mógł służyć w armii. Fang wcisnął gazetę pod pachę, wyrzucił papierosa i podszedł do niego.

Sze Ma, czekający na zielone światło na przejściu dla pieszych, podniósł wzrok. Jego

wargi drgnęły, kiedy rozpoznał Fanga.

– Dzień dobry, panie kapitanie – przywitał go odruchowo.

– Dzień dobry. Co pan tu robi? – odparł chłodno Fang.

– Idę do salonu naprzeciwko, obejrzeć samochód.

– Jak się pan miewa?

Sze Ma zmarszczył brwi.

– Kapitanie, minęło wiele lat, a ja wciąż nie potrafię zapomnieć tamtej nocy. Tamtej straszliwej nocy. A teraz spotykam pana i... nie wiem, co powiedzieć.

Fang się uśmiechnął.

– Myśli pan, że zasłużyłem na to, co mi się przytrafiło? – zapytał, poklepując Sze Ma po ramieniu.

– Nieważne, co ja myślę.

– Chciałbym wiedzieć.

– Proszę mi wybaczyć, panie kapitanie.

Fang chwycił go za rękę. Ścisnął mocno.

– Jest pan żonaty? Ma pan rodzinę?

– Tak, małą córeczkę.

– Czy ona wie, że nigdy by nie istniała, gdyby nie ja? Wie, co zrobiłem, żeby uratować pańskie życie?

– Pobił mnie pan do nieprzytomności i nie pozwolił walczyć. Ale ja nie zmieniłem zdania co do tych spraw.

– Już by pan nie żył. I po co? Żeby zadowolić Amerykanów.

– Proszę mnie puścić. Jeśli nie, to...

– Co jeszcze może pan mi zrobić, czego oni mi nie zrobili? Zdegradowali mnie, wyrzucili z wojska, wszystko, na co tak ciężko pracowałem, poszło na marne!

– Panie kapitanie, przepraszam, ale muszę iść.

– Ja też – odparł Fang. – Ja też.

Mówiąc to, puścił rękę Sze Ma, który przeszedł pośpiesznie na drugą stronę ulicy, nim światło zmieniło się na czerwone.

Dotarł do przeciwległego rogu i spojrzał zaniepokojony na Fanga. Potem ruszył w kierunku salonu samochodowego.

W tej chwili Fang przypomniał sobie, co miał robić. Spojrzał na zegarek i zaklął.

Zadzwoił telefon, to był Yeh Chun-chang.

– Widziałem go – odezwał się Yeh. – Przeszedł przez ulicę, tak jak powiedziałeś. Miał na sobie sportową kurtkę. Widziałem, jak rozmawiałeś z innym mężczyzną. Mogłem załatwić sprawę, ale kazałeś mi nic nie robić, póki nie zadzwonisz.

– Oddzwonię.

Fang ruszył pędem, dobiegł do skrzyżowania i skręcił w lewo. Biegł chodnikiem, mijając

rzędy budynków. Rozglądał się za człowiekiem ubranym w sportową kurtkę z czerwonymi rękawami. Na kurtce widniały logo igrzysk olimpijskich 2008 i wijący się wokół niego smok.

Kurtka należała do Kao Ku-chinga, mężczyzny, który miał zginąć, ale właśnie zniknął mu z pola widzenia.

Fang wybiegł za róg, rozejrzał się po uliczce, po czym spojrzał na stary blok, w którym jednopokojowe mieszkanie na trzecim piętrze zajmował Kao.

Przez otwarte okno Fang zobaczył włączający się telewizor. Wiedział już, że Kao dotarł bezpiecznie do domu. Zadzwoił do Yeh.

– Musimy poczekać do jutra – poinformował.

– Musisz mi zapłacić za dzisiaj.

Fang westchnął.

– Oczywiście. Jutro o tej samej porze.

– W porządku. Powinieneś bardziej zwracać uwagę na to, co robisz, bo może cię to sporo kosztować.

– Będę uważał. A ty swoją wypłatę dostaniesz dopiero po skończonej robocie. Pamiętaj o tym.

Tej nocy Fang leżał w łóżku, wpatrując się w obdrapany sufit swojego mieszkania.

Był żołnierzem. Urodził się po to, by walczyć. I nadal będzie to robił, niezależnie od tego, co mu powiedzieli. Usunęli go z wojska, ponieważ sądzili, że brak mu woli walki.

Zamarł na samo wspomnienie tego. Po chwili odetchnął i spojrzał w kierunku nocnej szafki, o którą oparta stała jego laska. Jej tygrysie pręgi ożywały w ciemnościach.

Lata, które spędził na prześlągiwaniu swoich przodków, nie miały żadnego znaczenia. Teraz wystąpił nawet przeciwko nim, uznając ich za ofiary amerykańskiej trucizny. Tylko on, Fang Zhi, mógł skierować dzieje swojej rodziny na nowe, godniejsze tory.

Następnego popołudnia Fang po raz kolejny stanął na skrzyżowaniu. Palił papierosa i czytał gazetę. Nadciągał front atmosferyczny. Za chwilę z ciemnych chmur spadnie deszcz. Taka pogoda dawała Fangowi możliwość włożenia przeciwdeszczowej kurtki i kaptura, który ukryłby jego twarz.

Po przeciwnej stronie ulicy stał szary sedan.

Kao wkrótce dotrze do skrzyżowania i wejdzie na przejście dla pieszych. Od miesiąca robił to każdego powszedniego dnia.

Bez wyjątków.

Fang przestąpił z nogi na nogę, otarł pot z czoła i wciągnął w płuca ciepłe, wilgotne powietrze. Dygotał z niecierpliwości.

Zaciągnął się po raz ostatni papierosem i rzucił go na jezdnię. Kiedy zaczęło padać,

spojrzał na skrzyżowanie.

Kao już tam stał. Dziś miał na sobie nie olimpijską kurtkę, lecz niebieską bluzę.

Jeszcze w samochodzie Fang kazał Yeh Chun-changowi wziąć się do roboty, kiedy tylko zobaczy Kao. On jednak rozglądał się za człowiekiem w sportowej kurtce!

Gdzie ten telefon? Fang pogmerał w kieszeni i wybrał numer.

Yeh podniósł swój telefon do ucha.

– Yeh, to ja! – wykrzyknął Fang. – Ma na sobie niebieską bluzę! Ruszaj!

Stojący na skrzyżowaniu Kao trzymał nad głową plecak i czekał na zmianę świateł. Deszcz padał coraz mocniej.

Yeh zapuścił silnik swojego auta.

Fang przypomniał sobie, jak wiele godzin spędzili z Kao. W końcu zostali przyjaciółmi. To Kao pocieszał Fanga, kiedy ogłoszono ostateczne wyniki.

Serce Fanga biło jak oszalałe.

Przez moment miał ochotę wybiec na skrzyżowanie i wszystko odwołać. Nie mógł jednak tego zrobić. Mimo wątpliwości podjął decyzję i nie było już możliwości odwrotu.

Światło zmieniło się na zielone.

Kao, wraz z szóstką innych przechodniów, wszedł na jezdnię. Kilkoro z nich zmagало się ze swoimi parasolami.

Potworny grzmot pioruna rozbrzmiał echem wśród budynków.

Yeh stał na tym samym rogu. Czekał do ostatniej chwili, po czym wjechał na jezdnię, kierując się wprost na przechodniów.

Fang wzdrygnął się, kiedy na ulicy rozległ się krzyk.

Chwilę potem wszystko rozegrało się jak na zwolnionym filmie.

Dwie kobiety uskoczyły z drogi sedanowi.

Jeden z mężczyzn, uderzony w nogę, przeokoziłkował po asfalcie. Jego parasol porwał wiatr.

Yeh skręcił kierownicą i z piskiem popędził w kierunku Kao. Nie miał on już czasu na ucieczkę.

Inny młody mężczyzna, w wieku Kao, stojący w niewielkiej odległości od samochodu, wyciągnął rękę, próbując mu pomóc. Sedan wpadł jednak pomiędzy nich.

Widok był przerażający, ale Fang nie mógł odwrócić wzroku. Patrzył zafascynowany, jak Yeh czołowo uderzył Kao, nim stojący obok mężczyzna mógł go dosięgnąć.

Przedni zderzak samochodu trafił ofiarę w nogi. Kao padł na maskę, przeokoziłkował przez przednią szybę, która pękła pod jego ciężarem, po czym przeleciał przez dach i stoczył się na ziemię. Jego kończyny i głowa opadły bezładnie na chodnik.

Drugi mężczyzna, uderzony bokiem sedana, leżał na ulicy, kiedy Yeh odjechał z piskiem w deszcz.

Przechodnie, stojący na skrzyżowaniu, wbiegli na jezdnię, wołając o pomoc.

Przerażony Fang przyglądał się jeszcze przez chwilę. Widział, że Kao nie daje znaku życia. Jego ręce i nogi wykręcone były w nienaturalny sposób.

Fang zadygotał na coraz intensywniejszym deszczu. Wiedział, że musi się stąd oddalić. Nie może być w żaden sposób powiązany z miejscem zdarzenia.

Zaczął biec, zdał sobie jednak sprawę z tego, że zwróci to czyjąś uwagę. Zwolnił. W tym momencie zadzwonił jego telefon.

To Yeh dzwonił w sprawie zapłaty.

Dwa tygodnie później Fang Zhi odebrał telefon, którego oczekiwał. Pojechał taksówką do Narodowego Centrum Sportu w Tsoying, gdzie jego trener, Tsao Chin-hui, miał swoje biuro.

Tsao, który sam zdobył kilka olimpijskich medali, przywitał Fanga z szerokim uśmiechem na ustach.

– Jestem pewny, że wiesz, czemu się tu znalazłeś.

– Czuję się strasznie, a zarazem jestem niezmiernie szczęśliwy.

– Rozumiem. Kao był wspaniałym człowiekiem i doskonałym strzelcem.

– Zajmowałem się innymi rzeczami – tłumaczył Fang. – Nie śledziłem tej historii. Złapali już kierowcę samochodu?

– Nie, ale znaleźli samochód. Podobno kierowca mógł uciec do Chin.

– Jaka tragedia. Mówią, że był pijany.

– Być może. – Tsao zmrużył oczy. – Kao miał wielu przyjaciół i żadnych wrogów.

– To prawda. Policja zadawała mi wiele pytań.

– Kao pokonał cię o kilka punktów i dostał się do drużyny. Oczywiście, że cię podejrzewali, ale powiedziałem im, że jesteś świetnym sportowcem i nigdy nie mógłbyś zrobić czegoś takiego.

– Dziękuję.

– W każdym razie zajmiesz miejsce Kao. Przykro mi, że to tak wygląda, ale witaj w drużynie.

– Jestem zaszczycony.

Fang wyszedł z biura i przywołał taksówkę. Dopiero w drodze powrotnej do domu, kiedy kierowca przepychał się zatłoczonymi ulicami, do Fanga dotarło to, co się przed chwilą stało.

Pojedzie do Pekinu. Weźmie udział w igrzyskach olimpijskich i zmierzy się z najlepszymi strzelcami. Takie współzawodnictwo będzie ekscytujące, a najbardziej liczył się fakt, że po zawodach nie wróci już do domu.

Wreszcie porzuci kraj, który odwrócił się do niego plecami.

Ucieknie do Chin. Tam dostanie szansę dokonania czegoś znacznie ważniejszego niż wzięcie udziału w olimpiadzie.

Warto było dla tego poświęcić życie Kao.

ROZDZIAŁ 7

Fort Bragg
okolice Fayetteville w Karolinie Północnej
czerwiec 2007

Scott Mitchell wziął głęboki oddech i uśmiechnął się szeroko, rozkoszując się zapachem świeżo ściętej sosny. Wolny czas spędzał w wynajętym garażu, znajdującym się piętnaście minut jazdy samochodem od bazy. Urządził tam własną stolarnię.

Pomimo wczesnych godzin porannych był już spocony. Zdjął koszulkę i otarł nią pot spływający po piersiach i bliźnie na brzuchu. Ta dziwna blizna często budziła zainteresowanie ludzi. Mitchell unikał odpowiedzi, chcąc zapomnieć o przeszłości. Wziął piłę i wrócił do pracy.

Niektórzy komandosi sił specjalnych spędzali wolny czas na polowaniach lub zajmowali się łowieniem ryb. Mitchell próbował jednego i drugiego. Swego czasu ustrzelił kilka jeleni. W łowieniu okoni na błystkę dorównywał najlepszym. Jednak dopiero praca w drewnie pozwalała mu się zrelaksować, a każdy ukończony mebel dawał mu niesamowite poczucie spełnienia.

Mimo że nie miał takich osiągnięć, co stolarze pokazywani w telewizji, zaprojektował i zrobił kilka pięknie zdobionych mebli: biurka, etażerki, stojaki na broń, a nawet meblościankę, którą sprzedał dowódcy batalionu. Wykonał ją na zamówienie jego żony.

Jeden z podoficerów ODA w jego kompanii hodował afrykańskie i południowoamerykańskie żółwie. Mitchell miał teraz zbudować kilka terrariów, w których żółwie mogłyby swobodnie spacerować i ukryć się w razie niepogody.

Miał nadzieję skończyć pierwsze terrarium i pomalować je pod koniec dnia, gdyż wieczór będzie miał bardzo zajęty.

O tak, nie ma nic lepszego niż zapach świeżo pociętej sosny o poranku.

Lepsze to niż zapach napalmu – niezależnie od pory dnia.

Przyjęcie to miało być niespodzianką, ale Mitchell dobrze wiedział, że je planują. Kiedy

wszedł do sali, już na niego czekali.

Na ścianie wisiał transparent:

„Gratulacje dla kapitana Scotta Mitchella”.

Awans na kapitana był czymś naprawdę ważnym. Od tej pory będą mówić o nim „dowódca oddziału”. Wydawało mu się to nieco dziwne.

Co więcej, mówiło się, że w ODA oficerem jest się tylko symbolicznie. Młodych, niedoświadczonych oficerów tuż po szkole podoficerowie traktowali z rezerwą. Sierzanci twierdzili, że najlepsi oficerowie to ci, którzy wiedzą, jak wykonywać ich rozkazy.

Kilku kolegów Mitchella zaprowadziło go na podest.

– Powiedz coś! – wołali.

Czekając na niego, zdążyli już się upić.

Mitchell zarumienił się i spojrzał na grupę około sześćdziesięciu mężczyzn, ich żony i dziewczyny siedzących przy stole. Cholera, wynajęli nawet DJ-a. To właśnie byli jego ludzie, jego rodzina. Rozpierała go duma.

– Ale mnie zaskoczyliście – powiedział.

Kilka osób zachichotało.

– Można by sądzić, że komandosi z sił specjalnych potrafią zaplanować coś takiego w tajemnicy. Jesteście doskonałymi żołnierzami, najlepszymi z najlepszych, ale tacy z was organizatorzy, jak z koziej dupy trąba.

Cała sala wybuchła śmiechem.

– Szczerze wam dziękuję. Naprawdę to doceniam.

Kątem oka Mitchell dostrzegł znajomą twarz i momentalnie zamilkł.

To był Rutang. Siedział przy stole. Awansował na sierżanta sztabowego i starszego sanitariusza. Właśnie wrócił ze służby w Iraku. Mitchell utrzymywał z nim kontakt, ale nie wiedział, że przyjaciel będzie obecny na jego przyjęciu.

Uścisnęli dłonie, po czym Mitchell usiadł obok mężczyzny. Podano mu piwo, a DJ ogłosił rozpoczęcie imprezy i puścił popularną przeróbkę *Gimme Danger* Iggy’ego Popa.

– Przyleciałeś specjalnie dla mnie? – zapytał Mitchell.

– Człowieku, nie przegapiłbym takiej okazji.

– A co tam u Mandy?

Rutang przewrócił oczami.

– Znowu jest w ciąży. Przepraszam, że nie mogła przyjechać.

– Coś takiego! – zachichotał Mitchell. – Gratulacje.

– Ciągle jej mówię, żeby trzymała się z dala od listonosza.

– Masz piękną żonę, a teraz kolejne dziecko... to dobry powód, żeby wrócić do domu. Ja za to mam stolarnię.

Rutang łyknął piwa i uśmiechnął się niewyraźnie.

– Co się stało? Przychodzisz na moją imprezę, a masz minę, jakby ci ktoś umarł.

– Nie wiem...

Rutang przerwał, kiedy Chris Hobbs – podoficer, który hodował żółwie – podszedł do ich stolika.

– Chcielibyśmy zrobić kilka zdjęć – oznajmił – nim będziemy zbyt pijani.

Odciągnął Mitchella i przez następne piętnaście minut strzelano mu lampą błyskową po oczach, klepano go po plecach i pokazywano dopiero co zrobione zdjęcia. W końcu udało mu się dotrzeć do stolika Rutanga, który upijał się w samotności.

– Przepraszam, chłopie.

Rutang wzruszył ramionami.

– To twoje przyjęcie, nie masz za co przepraszać.

– Chodzi o Irak? To cię martwi?

– Żeby tylko.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Scott, chłopie, ja nadal nie sypiam.

Podobnie jak Mitchell.

– Ludzie przeceniają sen.

– Poszedłem do innego psychiatry. I wiesz, co mi powiedziała ta kobieta? Że muszę zerwać wszystkie stare kontakty i zacząć od nowa.

– Co to znaczy?

– Twierdzi, że nie powinienem się do ciebie odzywać. Uwierzysz w to?

Mitchell prychnął.

– Widać potrzebujesz innego psychiatry.

– Może gdybyśmy ze sobą pogadali...

– Tang, to co... się stało, nie było naszą winą. Wykonaliśmy naszą robotę. I żyjemy dalej.

– Takie to proste? – Rutang podniósł dłoń. – Czekaj. Nie odpowiadaj. Jestem samolubnym draniem. Przyjechałem tutaj i zamęczam cię swoimi problemami. Do diabła, upijmy się!

Mitchell pochylił się i zmrużył oczy.

– Widzisz, nie ma takiego problemu, którego nie można rozwiązać odpowiednią ilością prochu i alkoholu.

Stuknęli się butelkami i napili z nich piwa. Pod uśmiechem Mitchell skrywał ogromne poczucie winy, o którym nie opowiedziałby nikomu.

Tim O'Brien napisał zbiór opowiadań pod tytułem *Rzeczy, które nieśli*, który Mitchell czytał już kilkanaście razy. Jako żołnierz wiedział, że na swoich barkach musi unieść znacznie więcej niż plecak. Im cięższy stawał się ładunek, tym silniejszy musiał się stać on sam.

A oto najlepszy przykład, jak siłą woli można przewycięzać trudności. W ich kierunku, z wyciągniętą dłonią, zmierzał Marc Entwhiler. Był pilotem black hawka, którego zestrzelono

nad wyspą Basilan. Po akcji został sparaliżowany.

Po jakimś czasie Entwhiler przesłał Mitchellowi kilka e-maili, dziękując mu za wsparcie duchowe, jakiego potrzebował, by dalej żyć.

Mitchell uważał, że nie było w tym jego zasługi. To niezłomny duch Entwhilera pozwolił mu udźwignąć ciężar powypadkowej traumy. Dał mu nadzieję i zainspirował wielu innych. Entwhiler pracował teraz jako konsultant cywilny. Przekazywał młodym pilotom black hawków i mechanikom umiejętności, które sam nabył w ramach współpracy pomiędzy armią a placówką Rockwell Collins Simulation and Training Solutions w Huntsville, w Alabamie.

– Gratulacje, Scott!

– Dziękuję, Marc.

– Przepraszam za spóźnienie. Moje kółka nie chciały kręcić się szybciej.

– Pewnie pamiętasz sierżanta McDaniela?

– Oczywiście.

Podali sobie ręce, po czym Entwhiler zdał Mitchellowi relację ze swojego osobistego i zawodowego życia. Jej szczegóły nie były tak ważne, jak ton opowieści. Facet był nabuzowany niczym reaktor atomowy. Kiedy odszedł od ich stolika, by przywitać się z innymi kolegami, Mitchell spojrzał znacząco na Rutanga. Ten skinął głową.

W ciągu tej długiej nocy Mitchella wyciągnięto dwukrotnie na parkiet, aby poskakał i powydzierał się z innymi do wtóru piosenki *Shook Me All Night Long*. W pewnym momencie zwrócił uwagę na szczupłą kobietę o krótkich blond włosach. Siedziała sama w głębi sali. Widział ją po raz pierwszy. Czarna sukienka przylegała do jej ciała niczym druga skóra, a prosty naszyjnik z pereł wydawał się unosić nad jej doskonale gładką szyją.

Śmiało ruszył w jej kierunku.

– Cześć – powiedział.

Jej oczy nabrały blasku, kiedy na niego spojrzała.

– Cześć.

– Cześć – powtórzył bezwiednie.

– Wydajesz się całkiem miły.

– To przyjęcie na moją cześć. Jesteś tu sama?

– Tak. I czekałam, żeby z tobą porozmawiać.

Mitchell wyszczerzył zęby w uśmiechu i obrócił się w kierunku tańczących na parkiecie znajomych.

– O, kurczę! Tamci faceci to załatwili?

– Nie jestem prostytutką, jeśli o to ci chodzi.

– Nie, nie. Myślałem...

– Co myślałeś?

Westchnął.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę.

Prychnęła.

– Już ci powiedziałam, że chciałam z tobą porozmawiać. Usiądź, proszę.

– No dobra.

Usiadł, próbując odwrócić wzrok od jej dekoltu. Nie udało się.

– Przyszłam tu na polecenie podpułkownika Gordona i generała Keatinga – oznajmiła nieznajoma.

– Słucham?

Podawała mu dłoń.

– Kapitan Susan Grey.

Odwzajemnił uścisk.

– Porucznik... kapitan Scott Mitchell.

Skrzywiła się.

– Wiem.

– Wypiłem odrobinę za dużo.

– Obserwujemy cię od jakiegoś czasu i podoba nam się to, co widzimy.

Chciał odpowiedzieć, że jemu też podoba się to, co teraz widzi.

– Kim jesteś? I czemu wprosiłaś się na moje przyjęcie?

– Przepraszam. Mam bardzo napięty plan, a dzisiejsza impreza stwarzała jedyną możliwość kontaktu, nim jutro wyjadę.

– Dokąd?

– To zastrzeżone informacje.

– Mam nadzieję, że ty sama nie jesteś zastrzeżona.

– Jesteś słodki, kapitanie, ale niezbyt dowcipny. Przejdę do rzeczy, nim twoje paplanie przysporzy ci więcej kłopotów. Zostałeś kapitanem i przygotowujesz się do dowodzenia grupą ODA. Szczerze mówiąc, mamy dla ciebie coś innego.

– Ale kim jesteście?

– Z pewnością nigdy o nas nie słyszałeś i lepiej, żeby tak zostało. Należymy do Kompanii D, 1. Batalionu, 5. Grupy Sił Specjalnych.

– A więc jesteście tylko kolejną kompanią.

– Mitchell, byłbyś zaskoczony różnicami pomiędzy nami a przeciętną grupą ODA.

– Naprawdę? Twierdzicie, że jesteście od nas lepsi?

– Właśnie to powiedziałam.

Mitchell uśmiechnął się przekornie.

– Udowodnij.

Grey wstała, sięgnęła do swojej torebki i wydobyła z niej kopertę.

– Nie ma problemu. Tu znajdziesz wszystkie potrzebne informacje.

– Składacie mi propozycję?

– Udanej reszty przyjęcia. Do zobaczenia wkrótce. – Uniosła brwi i szybko wyszła.

- Kto to był? – zapytał Rutang, który podszedł właśnie do Mitchella.
 - Najbardziej zrozumiała kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem.
 - Zdobyłeś jej numer?
- Mitchell spojrział na kopertę.
- Tak jakby.

ROZDZIAŁ 8

**Wioska olimpijska
Pekin, Chiny
lipiec 2008**

Xu Dingfa, kapitan Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, rzucił worek na ubrania w przedsionku swojego pokoju. Nie pomyślał nawet o tym, żeby zamknąć drzwi. Padł na jedno z łóżek. Potarł oczy i przyglądał dłonią krótkie włosy.

Winda była tak zatłoczona, że Xu wołał wspiąć się na szóste, ostatnie piętro budynku. Będąc gimnastykiem olimpijskim, specjalizującym się w ćwiczeniach na koniu z łękami, miał świetnie rozwiniętą górną część ciała. Równie ciężko pracował nad poprawieniem sprawności nóg, aż w końcu upodobniły się do wysmukłych marmurowych kolumn. Takie schody nie powinny stanowić dla niego żadnego problemu. A jednak czuł się wykończony, po części przez nerwowe oczekiwanie.

Xu został zakwaterowany w jednym z dwudziestu podobnych budynków, wybudowanych w zachodniej części wioski, zwanej dzielnicą mieszkalną. Ulokowano tam ponad szesnaście tysięcy lekkoatletów i innych członków reprezentacji. W ciągu pierwszych dziesięciu minut swojego pobytu Xu usłyszał kilka różnych języków.

Za dwa tygodnie odbędzie się ceremonia otwarcia. Do tego czasu sportowcy mieli spędzać czas na treningach, zadomawianiu się w nowym otoczeniu i zapoznawaniu ze współlokatorami.

Współlokator Xu nie dotarł jeszcze na miejsce. Człowiek ten pochodził z Tajwanu i był w składzie drużyny strzelców. To wszystko, co Xu o nim wiedział.

Tajwan... Dlaczego akurat stamtąd?

Jego pierwszą myślą była zamiana pokoi z jednym z kolegów z drużyny. Jednak zgodnie z duchem olimpiady postanowił dać szansę tamtemu człowiekowi. Może uda im się nawet podyskutować na aktualne tematy polityczne.

Samo wspomnienie Tajwanu sprawiało, że Xu nie mógł złapać oddechu. Nigdy nie zapomni rozgoryczenia ojca i płaczu matki, kiedy opowiadali o ziemi, którą nazywali Formozą.

Wstał z łóżka, podszedł do okna i spojrział na lasek pomiędzy budynkami. W dole roiły

się setki ludzi. Na każdym rogu stały grupki sportowców i dziennikarzy, którzy przeprowadzali z nimi wywiady.

– Cześć – dobiegł go głos z przedsionka.

– Cześć.

Umięśniony mężczyzna o krótkich czarnych włosach i płomiennych oczach stał przy drzwiach. Gdyby nie ten wzrok, wyglądałby jak każdy inny mieszkaniec Tajwanu.

Xu odwrócił się w jego kierunku i wyciągnął dłoń.

– To ty jesteś Fang Zhi?

– Tak. A ty Xu Dingfa? Mamy razem mieszkać?

– Tak.

Rozmawiali ze sobą chłodno, formalnie. Xu miał nadzieję, że na tym poprzestaną. Im mniej będą się do siebie odzywać, tym lepiej.

Fang dostrzegł pomiętą pościel na łóżku, które wybrał sobie Xu, i powoli ruszył w kierunku swojego.

– Tu będę spał?

– Tak.

– A więc jesteś wojskowym? Ja też służyłem w wojsku.

Xu zmrużył oczy. Dlaczego ton głosu Fanga złagodniał? Najpierw te wrogie oczy, a teraz zależy mu na przyjacielskiej pogawędce?

– Fang. Powiem szczerze. Nie byłem zadowolony, kiedy dowiedziałem się, że będę dzielił pokój z kimś z...

– Rozumiem. Ja za to ucieszyłem się, że zamieszkać z tobą.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Jesteś oficerem, a oficerów darzę najwyższym szacunkiem.

Xu odchylił głowę, nie dowierzając.

– Poznałem cię pięć minut temu, a już okazujesz się interesującym człowiekiem. Pełnym niespodzianek.

Fang otworzył szeroko oczy.

– O tak.

Przez następne dwa tygodnie Xu intensywnie trenował ze swoją drużyną i to z nią spędzał większość wolnego czasu. Kiedy późnymi wieczorami wracał do pokoju, zastał Fanga siedzącego na łóżku i czytającego *Sztukę wojny* Sun Zi lub biografię Konfucjusza. Wydawało się, że jego współlokator nie spędza zbyt wiele czasu z członkami swojej drużyny.

W wieczór poprzedzający ceremonię otwarcia olimpiady, kiedy Xu wrócił z popijawy, zastał Fanga siedzącego nieruchomo nad książką.

– Jutro zaczyna się olimpiada, a ty ani razu się nie zabawieś – powiedział.

Fang uniósł wzrok z nad książki.

– Będę się bawił po wszystkim.

– Taki jesteś pewien medalu? Tajwańczycy nie odnosili dotąd sukcesów w strzelaniu. Inaczej niż my, Chińczycy.

– Nie mówiłem o medalach – Fang położył książkę na kolanach. – Jakoś mnie tolerujesz, ale wiem, że kryje się za tym coś więcej. Nienawiść. Dlaczego?

Xu usiadł na swoim łóżku.

– Wiesz, dlaczego wstąpiłem do armii? Żeby wyzwolić twój kraj.

– Czemu to dla ciebie takie ważne?

– Po prostu tak jest.

– Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, że myślę tak samo, jak ty?

– Jak już mówiłem, jesteś pełen niespodzianek. Ale dziwią mnie takie słowa z ust byłego oficera armii tajwańskiej.

– Nie wystąpiłem dobrowolnie z armii.

– Rozumiem. A teraz jesteś wściekły na swój kraj.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Ja też jestem zły na twój kraj.

Alkohol, którego picia zakazywali trenerzy, rozwiązał Xu język. Postanowił opowiedzieć swoją historię.

– Widzisz, Fang, moi rodzice mieszkali kiedyś w Tajpej, wraz z moimi dwiema siostrami i bratem. Otwarcie sympatyzowali z Chińczykami i pewnej nocy, w czasie szeroko zakrojonej czystki przeprowadzonej przez armię, zostali aresztowani i deportowani do Chin. Nie mogli zabrać ze sobą dzieci.

– Co było dalej?

– Moje siostry i brat zamieszkali z wujami i ciotkami. Rodziców zmuszono do pozostania w Chinach, gdzie się urodziłem. Ciągłe powtarzali tę historię. Nigdy nie udało mi się spotkać z moim rodzeństwem. Ale nie to jest najważniejsze. Rodzice są już starzy i marzą o tym, żeby przed śmiercią zobaczyć swoje dzieci.

– Sądziłeś, że wstępując do armii, pomożesz im? Jesteś marzycielem. Głupcem!

Xu zeskoczył z łóżka i złapał Fanga za gardło.

– To na pewno się stanie!

– Nieprawda. Amerykanie nie dopuszczą do tego.

Xu puścił Fanga.

– Nadejdzie taki dzień – wyrzucił z siebie. – Obiecuję ci.

Fang potarł szyję.

– Może nie mam racji. Może twoi rodzice spotkają się znów ze swoimi dziećmi. I może... będę mógł ci pomóc.

Xu uniósł brwi.

– Dlaczego?

– Z wdzięczności za pomoc, której mi udzielił.

– Jaką pomoc?

Fang nachylił się i ściszył głos, jakby ktoś ich podsłuchiwał.

– Po olimpiadzie nie wracam na Tajwan – oświadczył.

Xu otworzył usta.

– Rozumiem.

– Jeśli mi pomożesz, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc tobie i twoim rodzicom. Masz na to moje słowo.

Xu wziął głęboki oddech. Możliwe, że pomoc udzielona Fangowi nie będzie kosztowała go aż tak wiele. Może Fang stanie się jego sprzymierzeńcem na całe życie, całkowicie lojalnym przyjacielem. Nie było całkiem jasne, o co w tej sprawie chodzi, ale Xu miał wrażenie, że to on będzie tu rozdawał karty.

– Muszę to przemyśleć – oznajmił.

– Rozumiem. Przyznasz jednak, że mamy wspólny cel.

– Być może. Ale ciągle ci nie ufam. Powiedz mi, co zrobili ci w wojsku?

Fang przymknął oczy.

– Współpracowaliśmy z filipińskimi i amerykańskimi siłami specjalnymi. Amerykanie wysłali nas do dżungli na pewną śmierć. Nie mogłem na to pozwolić. Za uratowanie moich ludzi, za niewykonanie niedorzecznego rozkazu wydano mnie z armii. Zniszczono dobre imię mojej rodziny. Wszystko to przyprawiło moją matkę o chorobę. Jest umierająca. Została mi tylko jedna rzecz do zrobienia.

– Tak – odezwał się Xu. – Teraz rozumiem. Masz rację, dążymy do tego samego celu.

Fang miał okazję poznać taktykę Amerykanów i sprzymierzonych sił specjalnych. Dla jego współlokatora było to niezwykle korzystne. Xu uznał, że nie będzie problemu z przekonaniem przełożonych do Fanga. Może nawet będzie mógł pomóc mu w zaciągnięciu się do wojska.

Śmiałość i spryt Fanga, jego niepokonana nienawiść do Amerykanów i pragnienie zemsty będą dobrze widziane przez przyjaciół Xu. Ludzi, którzy tak jak on sądzili, że muszą „zainspirować” rząd i armię do sprawniejszych, bardziej energicznych działań.

– Pewna grupa wojskowych potrzebuje człowieka z twoją wiedzą i umiejętnościami – powiedział Xu. – Pozostaniesz już w Chinach.

ROZDZIAŁ 9

Północno-zachodni Waziristan granica afgańsko-pakistańska styczeń 2009

Kapitan Scott Mitchell, dowódca sekcji Ghost Recon, zaległ na grani jakieś pięćdziesiąt metrów na południe od trzech chat z cegły błotnej, odcinających się niczym płaskorzeźba na tle oszronionego szczytu wzgórza. Dym z kamiennych kominów wznosił się na podobieństwo proporców, by wreszcie rozwiać się w nocnym powietrzu.

Gdzieś hen daleko w dolinie, spomiędzy ośnieżonych alejek między dziesiątkami kolejnych chatynek, dobiegło wycie psa. Potem zapadła martwa cisza. Tylko ogień palenisk migotał za oknami.

Starszy plutonowy Joe Ramirez i plutonowy Marcus Brown zmierzali ukradkiem w kierunku domów wąwozem biegnącym nieopodal pojedynczego bezlistnego drzewa.

Plutonowa Alicia Diaz – snajper sekcji Ghost Recon – ruszyła biegiem na zachód, by na przeciwległym wzgórzu z widokiem na chaty zająć dogodną pozycję strzelecką.

Mitchell odchrząknął i nacisnął przycisk na słuchawce, zintegrowanej z kamerą i mikrofonem.

– Cross-Com* aktywny.

Do słuchawki przymocowany był też wygięty do przodu wysięgnik z okularem, wyświetlającym kanały danych, ikony przedstawiające pododdziały wsparcia oraz siatkę celownika karabinu – nie wspominając o innych informacjach. Choć trójwymiarowe obrazy zdawały się pojawiać na wyświetlaczu przeziernym*, w rzeczywistości były wytwarzane przez małej mocy laser wprost na siatkówce oka. Odświeżał on dane co sekundę.

Aby było to możliwe, system Cross-Com zapewniał łączność przez satelitę z wszystkimi wojskowymi sieciami LAN i WAN. Skutkiem tego głównodowodzący mógł widzieć to samo, co Mitchell i komunikować się z nim bezpośrednio na polu bitwy. Wszystko to było częścią sieciowego Zintegrowanego Systemu Żołnierskiego*, którego wersję beta otrzymała sekcja

* System łączności znany z gier z serii Ghost Recon, służący do wydawania rozkazów członkom sekcji oraz do sterowania sprzętem bezzałogowym.

* ang. *head-up display*, w skrócie HUD.

* ang. *Integrated Warfighter System*, w skrócie IWS.

Mitchella. Kontrola na takim poziomie stanowiła ogromny krok naprzód – ale też potrafiła działać na nerwy. Żaden błąd żołnierza nie mógł ujść uwagi jego przełożonych.

Mitchell kciukiem nacisnął przycisk trzymanego w dłoni bezprzewodowego kontrolera. Tym samym przełączył wyświetlacz HUD na widok z drona* UAV3 Cypher. Unosił się on na wysokości sześćdziesięciu metrów nad chatami. Miał kształt pierścienia o średnicy zaledwie dwóch metrów, z rotorem pośrodku i zamontowanymi na obwodzie kamerami i czujnikami. Niedawna modernizacja sprawiła, że był znacznie cichszy od swoich poprzedników.

Dłonią w rękawicy Mitchell przestawił drążek kontrolera. Naprowadzał drona na cel, jednocześnie przełączając się między trybem podczerwieni i termooptyki. Próbował określić liczbę osób przebywających w każdej z chat.

Uśmiechnął się z podziwem.

W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy, kiedy służył w Gruzji i Erytrei, przetestował w warunkach bojowych niemało zdumiewających wynalazków. Nigdy nie przestał się im dziwować. Teraz zaś nie dość, że wysłano go w misję najwyższej wagi, to jeszcze wybrano do sprawdzenia w boju wczesnej wersji beta systemu Cross-Com. Zajmujący się jego rozwojem program już zagrożony był brakiem funduszy. Mimo to Mitchell opowiadał się za wyekwipowaniem w system każdego komandosa ze swojej sekcji. Do diabła z kosztami. Uznał, że wyposażenie wszystkich Duchów w najnowocześniejszą technologię warte jest każdej ceny. Dzięki temu będą mieli możliwość oceny całej sytuacji na polu bitwy. Wszyscy, nie tylko dowódca sekcji. W końcu postawił na swoim.

Nie można zaprzeczyć, Susan Grey miała rację co do Duchów.

Dostawali, czego chcieli, ponieważ ich działalność przynosiła wymierne korzyści.

Utworzona w 1994 roku formacja Ghost Recon była lepiej finansowana, lepiej przeszkolona i lepiej wyposażona niż jakkolwiek inna kompania sił specjalnych. Nie mogło być inaczej. Duchy stanowiły szpicę wszystkich amerykańskich sił specjalnych. Byli sekcją szybkiego reagowania. Pierwsi w akcji, ostatni w odwrocie. I choć Mitchell nie cierpiał frazesu „najlepsi z najlepszych”, był on niewątpliwie bliski prawdy. Każdy z komandosów został specjalnie wybrany. Istnienie samej organizacji objęte było ścisłą tajemnicą państwową. Wojsko zamaskowało ją jako jedną z wielu jednostek. Mitchell służył w armii od lat, a nigdy nie słyszał o Duchach – do czasu, gdy Grey wprosiła się na jego imprezę.

Ostatnich osiemnaście miesięcy obfitowało w ciekawe wydarzenia. Codziennie uczył się czegoś nowego. Jednak z wszystkich dotychczasowych misji ta była chyba najtrudniejsza. I to z wielu powodów.

Przez cały wieczór prędkość wiatru rosła, aż zbliżyła się do niebezpiecznej granicy. W ogóle nie powinni byli skakać, jednak Mitchell nie zamierzał pozwolić, by powstrzymała ich zła pogoda. Po jego trupie.

I tak wysypali się z przytulnego wnętrza C-130 i wykonali jeżący włosy na głowie skok

* Tu: bezzałogowy latający aparat zwiadowczy.

typu HALO^{*}, z lądowaniem w górach na zachód od miasta Miranszach, gdzie w ciągu ostatnich trzech lat powstało kilka ośrodków operacyjnych talibów, co niepokoiło miejscowe władze. Sekcja otrzymała pełne wsparcie dronów. Poza tym jednak zdani byli tylko na siebie – przynajmniej do czasu wycofania się do punktu ewakuacyjnego, kilometr na wschód od ich obecnej pozycji. Byli ubrani i uzbrojeni jak talibscy rebelianci, tyle że mieli tłumiki na kałasznikowach. Nawet Diaz dźwigała karabin SWD^{*} zamiast SR-25 z tłumikiem lub innego używanego zwykle przez nią karabinu.

Plemiennymi terenami Waziristanu to był prawdziwy Dzikie Wschód, rządzone przez miejscowych przywódców, zwanych malikami, czyli królami. Malikowie albo dogadywali się z talibami, pozwalając im mieszkać i szkolić się na swoich terytoriach, albo byli do tego przymuszani. Ponad dwustu malików zarżnięto jak bydło, kiedy próbowali przeciwstawić się talibom.

Mimo to Mitchell bez wahania podjął się tej misji. Zwłaszcza kiedy dowiedział się, kogo ma odnaleźć.

Naprowadził teraz drona nad najdalszą chatę. Zszedł kilka metrów niżej, wyśrodkował celownik.

– Musicie tu być – wyszeptał do siebie.

Rotor drona szumił z cicha. Z ust Mitchella unosiły się kłęby pary. Pociągnął nosem. Czekał w napięciu.

Naraz na wyświetlaczu HUD rozjarzyły się trzy zielone punkciki. Każdemu towarzyszyły nazwisko i oznaczenie grupy krwi. Punkciki nakierowały się na pozycje ludzi wewnątrz chaty.

Znalazł ich! Mitchell z trudem stłumił chęć potrząśnięcia pięścią.

Sygnały emitowane przez specjalnie zmodyfikowane układy GFTC^{*}, wszczepione pod skórę każdego z mężczyzn, pozwoliły komputerowi zakwalifikować ich jako sojuszników.

Układy GFTC były częścią wyrafinowanego systemu IFF^{*}. Funkcjonował on o wiele szybciej i był znacznie dokładniejszy niż jego oparci na technologii laserowej poprzednicy. Wszczepione czipy były też poręczniejsze i bezpieczniejsze od zewnętrznych identyfikatorów, działających na zasadzie fal radiowych. Ponadto układy GFTC wyposażono w dwa systemy zabezpieczeń: identyfikator DNA, dzięki któremu tych układów nie mogli używać wrogowie, oraz automatyczne szyfrowanie sygnału, pozwalające uniknąć przechwycenia przez nieprzyjaciela. Mitchell, jako dowódca, posiadał uprawnienia do aktualizacji kodów zgodnie z własnym uznaniem.

Tymczasem dron za bardzo zbliżył się do chaty. Strumień powietrza z rotora zaczął już zdmuchiwać śnieg z dachu. Mitchell zaklął i poderwał go z powrotem do góry.

* ang. *high-altitude, low-opening* – skok z dużej wysokości z opóźnionym otwarciem spadochronu.

* ros. Снайперская Винтовка Драгунова – radziecki samopowtarzalny karabin snajperski z lat 60. XX wieku.

* ang. Green Force Tracker Chips – układy scalone do śledzenia sił „zielonych”.

* ang. Identification, Friend or Foe – identyfikacja, przyjaciel czy wróg.

Pozostałe osoby w chacie, a było ich ogółem cztery, zostały zlokalizowane dzięki termowizji i oznaczone jako „żołnierze”. Ponumerowane czerwone punkciki rozbłysły i nakierowały się na zajmowane przez nich pozycje. Mitchell mógł zmienić to oznaczenie komendą głosową, gdyby wróg okazał się sprzymierzeńcem lub cywilem. Powiedziała by wówczas: „Cel trzy jest zielony”.

Wzniósł drona jeszcze wyżej. Wszystkie uzyskiwane z niego dane rozsyłane były w czasie rzeczywistym po całej sieci.

Dron namierzył jeszcze osiem celów, w tym szczelnie okutanych mężczyzn porozstawianych pod drzwiami każdej z chat.

Przewaga liczebna przeciwnika wynosiła zaledwie trzech do jednego. Mitchell wysoko ocenił swoje szanse.

– Brown do dowódcy Duchów – rozległ się głos w słuchawce. – Zająłem pozycję.

– Ramirez do dowódcy Duchów. Wchodzę na górę. Jestem prawie u celu.

Zabezpieczenia systemu Cross-Com pozwalały Mitchellowi i pozostałym członkom sekcji używać własnych nazwisk w komunikacji radiowej – tylko jego samego nazywano zazwyczaj dowódcą Duchów. Czasem jednak brakowało mu starych kryptonimów, zaczynających się na tę samą literę dla każdej sekcji ODA: Rockstar, Rapper, Rutang...

Wziął głęboki oddech.

– Duchy, tu dowódca. Zerknijcie no na swoje HUD-y. Cała trójka jest w ostatniej chacie. Wygląda na to, że mamy tu dwunastu talibów. Zapamiętajcie ich pozycje. Widzę już pierwszego strażnika. Co tam u ciebie, Diaz?

Przynależność do elitarnego klubu strzeleckiego, znanego jako wojskowe siły specjalne, była niedostępna dla kobiet.

A jednak plutonowa Alicia Diaz przyjechała razem z nimi do Pakistanu.

Tylko świątli dowódcy Duchów mogli uznać, że kobieta, która dwa razy z rzędu wygrała odbywające się w Camp Perry w Ohio Krajowe Mistrzostwa w Strzelectwie Wyborowym w kategorii broni służbowej kwalifikuje się do sił specjalnych armii amerykańskiej bez względu na obowiązujące zasady.

Diaz nie była też jedyną kobietą w Ghost Recon. Spotkała tu Susan Grey – obecnie w stopniu majora, Lindy Cohen, Jennifer Burke i jeszcze kilka innych. Była jednakże jedyną kobietą pełniącą w kompanii funkcję strzelca wyborowego, za co szczególnie ją podziwiano.

Wstąpiła do wojska, by udowodnić, że radzi sobie równie dobrze – a nawet lepiej – jak faceci. Mocne słowa. Zrobiła, co w jej mocy, by poprzeć je czynami. Fakt, że nieźle dostała w kość podczas szkolenia bojowego. No i był jeszcze ten incydent w Kabulu w 2005 roku, kiedy to omal jej nie zasztyletowano. Jednak od tej pory nauczyła się sprytem rekompensować drobną budowę ciała.

Nie ulegało wątpliwości, że kiedy plutonowa Alicia Diaz leżała na brzuchu z karabinem

gotowym do strzału, stawała się królową pola bitwy. Wszyscy padali przed nią na ziemię. Za chwilę pokłonią się jej ci talibowie.

– Diaz do dowódcy Duchów. Zajęłam pozycję. Widzę pierwszy cel.

Siatka celownika kapitana przesunęła się na sylwetkę strażnika przy ostatniej chacie. System IWS przesłał Diaz na wyświetlacz HUD automatyczny rozkaz zdjęcia celu.

Wstrzymała oddech, gotowa do strzału.

Snajper musi być stuprocentowo pewny, że trafi w cel, zanim jeszcze pociągnie za spust. Nie ma cienia wątpliwości.

Jednak po tych wszystkich latach praktyki Diaz wciąż miała jakieś wątpliwości. Już jako dwudziestoosmioletnia dziewczyna z teksaskiego rancza w Lubbock lubiła bawić się bronią. Wydawało jej się, że ledwie wczoraj ćwiczyła się w strzelaniu do puszek założonych na sztachety. Doprowadzała tym do szału swoich braci, z którymi zawsze wygrywała.

Ciekawe, że nigdy się jej to nie nudziło. Dreszcz emocji wciąż jeszcze odczuwała za każdym razem, gdy przez lunetę karabinu namierzała cel.

Gdyby tym razem chybiła, cała operacja mogłaby się nie udać.

Z uwagą przyglądała się celowi. Siedział przed drzwiami chaty. Położył kałasznikowa na kolanach. Głowę miał opuszczoną. Usnął na warcie. To zresztą bez znaczenia. We śnie czy na jawie, nigdy nie dowie się, czym dostał. Pocisk przeszyje czaszkę pod takim kątem, że nie wbije się w ścianę domu.

Diaz wzięła pod uwagę prędkość i kierunek wiatru, wyświetlane automatycznie przez jej HUD. Zasięg też był odpowiedni, choć ograniczała go specjalnie zmodyfikowana amunicja, która pozwalała wytlumić huk wystrzału. Wcześniej Diaz wzięła poprawkę na siłę ciężenia.

Każdy dobry snajper znał te wyliczenia. Może dzieci w szkole chętniej uczyłyby się matematyki, gdyby im powiedziano: „Słuchajcie, jeśli kiedyś zostanieie snajperami w siłach specjalnych, przyda wam się to”.

Precyzyjne obliczenia zawodziły jednak w przypadku związków Diaz z mężczyznami. Nie mogła przecież powiedzieć, co tak naprawdę robi w wojsku. Kłamstwa zaś zawsze wychodziły na jaw.

Poza tym jaki facet przy zdrowych zmysłach chciałby związać się z taką świruską? Jak nie strzelała do złoczyńców, to leciała do Europy, żeby uczyć się języków obcych. Większość mężczyzn, z którymi umawiała się na randki, chciała kobiety, której zainteresowania ograniczały się do pizzy, piwa i sportu – a nie takiej, która w telewizji ogląda programy edukacyjne.

Tym razem jednak wszystkie jej obliczenia się zgadzały.

Siatka celownika nałożyła się na cel. Zamarła w bezruchu. Idealny strzał w głowę.

Powoli nacisnęła spust. Stłumionemu wystrzałowi towarzyszył obłoczek dymu.

Kula trafiła strażnika w głowę, urywając mu większość czaszki. Trup osunął się bezwładnie na bok. Żadna część ciała nie uderzyła w drzwi. Sama Diaz nie mogła uwierzyć w

to, jak czysto go sprzątnęła.

– Nieźle – pochwalił kapitan. – No to jednego mamy z głowy.

– Zostańcie w pogotowiu – rzuciła.

Przypomniała sobie słowa braci. Jak zawsze, gdy przymierzała się do strzału:

– No dalej, dziewczyno, strzelaj! Zakład, że spudłujesz?

– Nie wydaje mi się, Carlos.

– Nie trafi. Mowy nie ma!

– Patrz i ucz się, Tomas. Patrz i ucz się.

Drugi strażnik poruszył się i otworzył oczy. Nie miała wiele czasu. Sprawdziła wskazania na wyświetlaczu HUD i przycelowała w głowę.

Jeden strzał i strażnik dołączył do martwego kamrata. Umarł w ciszy, zachlapując śnieg krwią.

– Ostatni – oznajmił kapitan.

– Mam go – odparła Diaz.

– Brown, Ramirez, szykujcie się – ponaglił kapitan.

– Z tym jej się nie uda – stwierdził Carlos.

– Może jednak – zawahał się Tomas. – Jak dotąd ani razu nie spudłowała.

Gwałtowny podmuch wiatru zaatakował zbocze, zdmuchując śnieg w pole widzenia Diaz. Klnąc na czym świat stoi, skorygowała swoją pozycję.

Luneta zaczęła pokrywać się drobinkami lodu. Diaz wyjęła z kieszeni ściereczkę z mikrofibry i szybko oczyściła soczewkę, po czym powróciła do poprzedniej pozycji.

– Diaz, na co czekasz? – zniecierpliwił się kapitan. – Jazda!

– Podmucha wiatru. Zostańcie w pogotowiu.

Z trudem utrzymywała karabin. Śnieg zaczął w policzki. Usta miała spierzchnięte.

Kolejny podmuch wiatru zbudził strażnika. Podniósł się z ziemi, przeciągnął, ziewając, po czym pochylił się, przyjrzał się chacie obok i spostrzegł martwego towarzysza, leżącego na śniegu.

Diaz już miała go na muszce. Zastygła bez ruchu. Obojętna na podmuchy wiatru, nacisnęła spust.

ROZDZIAŁ 10

Północno-zachodni Waziristan granica afgańsko-pakistańska styczeń 2009

Starszy plutonowy Jose „Joe” Ramirez nie spuszczał oczu z ostatniego strażnika. Raptem głowa taliba odskoczyła do tyłu, a on sam przewrócił się na śnieg. Ostatnią rzeczą, jaka przemknęła przez mózg strażnika, był pocisk kaliber 7,62 mm o wadze 21,8 grama. Ramirez otworzył usta, podziwiając doskonały strzał Diaz.

Kapitan Mitchell rozkazał ruszać. Ramirez wraz z plutonowym Marcusem Brownem wyprysnęli ze śniegu na podobieństwo odtajałych zombie i ruszyli ku chatom.

Dobrze było biec. Obawiał się już, że nogi mu odmarzną i odpadną. Nie mówiąc o innych ważnych częściach ciała.

Dotarli do drzwi najdalszego domu. Ramirez usunął z drogi zwłoki strażnika. Potem wraz z Brownem zajęli pozycje po obu stronach wypaczonych drewnianych drzwi.

Za chwilę dołączy do nich kapitan Mitchell. Tymczasem Diaz brnęła przez zaspę, by zająć nową pozycję.

Chaty były od siebie oddalone zaledwie o jakieś cztery metry. Gdyby narobili hałasu, talibowie z sąsiedztwa na pewno wyjrzeliby zobaczyć, co się dzieje. Ten właśnie aspekt nowej służby był dla Ramireza najbardziej frustrujący. Gdyby mogli wysadzić w powietrze dwie pozostałe chaty, mieliby na karku tylko czterech przeciwników. Jednak materiały wybuchowe sprawiają nieco huk. Tymczasem sekcja miała za zadanie wejść i wyjść bez zwracania uwagi. Gdyby tak zmienić nazwę z Duchów na Specjalistów od Rozpierduchy, każdy komandos mógłby zabawić się w piromana. Podsunął nawet ten pomysł kolegom, którzy uśmiechnęli się uprzejmie i orzekli, że nazwa im się podoba, a Ramirez jest idiotą.

Ramirez dorastał na ulicach północnego Hollywood i miał mnóstwo sposobności, aby wpakować się w kłopoty. Jednak nic złego się nie stało. Jego rodzice – imigranci z Meksyku – żyli przeszłością. Trudno było mu nawiązać kontakt zarówno z nimi, jak i z dziećmi z ulicy. Zamknął się więc w sobie. Zajął się krótkofalarstwem. Dzięki temu mógł rozmawiać z ludźmi z całego świata.

Będąc w ogólniaku, zaczął nawiązywać kontakty w Internecie – a jednocześnie nie

potrafił zjednać sobie przyjaciół wśród żywych ludzi. Nim zdał maturę, stał się członkiem społeczności hakerów. I tu udało mu się wpakować w kłopoty. Zaczęło się od drobiazgów, jednak sprawa kradzieży tożsamości doprowadziła go do spotkania z panią detektyw Robertą Perez. Wzięła go pod swoje skrzydła, oczyściła z najcięższych zarzutów i poradziła, żeby wstąpił do armii, zanim zrobi coś jeszcze głupszego.

Brat Perez, Enrique, służył w wojsku. To właśnie on wyjaśnił młodemu Ramirezowi, że wbrew jego mniemaniu szeregi armii nie są tylko dla tych, którzy nie radzą sobie w życiu poza murami koszar.

Ramirez zdawał sobie sprawę z tego, że i wśród wojskowych zdarzali się debile i kryminaliści – jak niemal wszędzie. W obozie dla rekrutów spotkał kilku takich przyjemniaczków. Jednocześnie jednak szkolenie zmieniło jego sposób patrzenia na świat. Musztrujący go plutonowy, Paul „Papa” Montgomery, szczerze go polubił. Najpierw omal go nie wykończył, aby potem poradzić mu zgłosić się do Rangersów.

Przyjęto go, odsłużył dwie zmiany w afgańskim kontyngencie, zdobył Purpurowe Serce i Srebrną Gwiazdę – a jednocześnie zdążył zrobić licencjat z historii.

Nagle jakieś gryzipiórki ze szkoły oficerskiej wpadły na genialny pomysł, żeby zaoferować mu robotę za biurkiem.

Jaja sobie robili? Obwieścili to mu, jakby to był jakiś awans. Ośmielili się nawet zasugerować, że robi się za stary do służby w polu. A przecież miał dopiero trzydzieści jeden lat!

Ramirez próbował po dobroci. Powiedział im, jakim zaszczytem jest dla niego praca za biurkiem po tym, jak brał udział w najbardziej ekscytujących, naładowanych adrenaliną operacjach wojskowych. O tak, jakim zaszczytem jest wymienianie nabojów w drukarce i wgapienie się w pliki aplikacji, zapisane w jakimś przestarzałym programie, kiedy zamiast tego mógłby walczyć z terrorystami i dyktatorami.

Lata służby i niespodzianki, jakich nie szczędziło mu życie, nauczyły go sprytu i elokwencji. Nastoletni introwertyk w końcu dorósł.

Sam legendarny podpułkownik Harold „Buzz” Gordon, członek jednej z pierwszych sekcji Ghost Recon, wyciągnął Ramireza ze świata fornirowych biurek i piłeczek odstresowujących. Niektórzy zwali go po prostu „starym”. Ramirez wolał określenie „O-G” – nie od „Original Gangsta”^{*}, ale od „Original Ghost”^{*}. Skromnym zdaniem Ramireza O-G był człowiekiem bardzo mądrym i przewidującym.

Ramirez był pewien, że kapitan Mitchell wybrał go do tej misji z powodu rekomendacji Gordona – oraz ze względu na jego znajomość regionu jeszcze z czasów Rangersów. Ramirez znał teren jak własną kieszeń, a miejscowi ludzie jedli mu z ręki. Dari i pasztuńskim mówił niezgorzej – choć nie tak dobrze, jak Diaz – za to arabskim posługiwał się zdumiewająco

* Dosł. „pierwotny gangster”, osoba żyjąca na wzór stereotypowych gangsterów z lat 70. XX wieku.

* Dosł. „pierwotny duch”, pierwszy członek Ghost Recon.

płynnie. Lizał nawet trochę slangu, co mogło się przydać na wypadek jakiejś hecy.

Zerknął na Marcusa Browna. Twarz tego krzepkiego Afroamerykanina, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, przysłaniała mgielka oddechu. Widząc, jak spięty jest Brown, Ramirez uznał, że żarty się skończyły.

Kapitan podkraść się do nich i przykucnął za Ramirezem.

– Jestem na drugiej pozycji – zameldowała Diaz przez radio. W jej głosie pobrzmiwał teksański akcent. – Wszystko gotowe. Czekam tylko na was.

Do rozpoczęcia ataku pozostały sekundy. Ramirez jeszcze raz wyobraził sobie wnętrze chaty.

Parterowy budynek wzniesiono na planie prostokąta. Nie miał nawet stu metrów kwadratowych. Drzwi znajdowały się po lewej stronie. Żeby dotrzeć do celu, musieli wejść głęboko do wnętrza, mijając ścianę działową.

Dwóch talibów leżało w pierwszym pomieszczeniu, przy palenisku. Dwóch pozostałych siedziało z tyłu z jeńcami.

To nieco komplikowało sprawę. Komandosi nie mogli wyważyć drzwi, zastrzelić dwóch pierwszych talibów, mając nadzieję, że ci w drugim pokoju nie zabiją zakładników.

Musieli dostać się do środka po cichu. Najlepiej byłoby zdematerializować się, przejść przez ścianę i zmaterializować się wewnątrz.

W rzeczywistości jednak wszystko zależało od Ramireza. Musiał przykłęknąć przy drzwiach, sięgnąć po sakiewkę z narzędziami i wytrychem otworzyć zamek.

Tak, drzwi były zamknięte. Zawsze najpierw to sprawdzał.

– Diaz do dowódcy Duchów. Jeden wychodzi z tylnego domu. Zatrzymał się. Zapala papierosa.

Za pięć sekund talib może wyjść z za rogu i ich zobaczyć. Ramirez już prawie otworzył zamek.

– Diaz, możesz go zdjąć? – zapytał kapitan.

– Nie mam czystego strzału – odparła. – Poza tym on coś teraz kombinuje. Może chce się rozejrzeć za kumplami. Nie mogę strzelać. Bez szans.

– Brown, bierz go – rozkazał kapitan.

Chociaż plutonowy Marcus Brown urodził się i dorastał w wietrznym Chicago, nie cierpiał chłodu. Jego krew, jak zwykły mawiać, nigdy dostatecznie nie zgęstniała. Buntownik do szpiku kości, wciąż walczył – ze swoimi rodzicami, z przyrodą, z całym wszechświatem.

Klnąc mroźny wiatr, podkraść się z tyłu chaty, jednocześnie wyciągając rosyjską tetetkę* z tłumikiem.

Brown nie był entuzjastą tego starego pistoletu, niegdyś symbolu wyższej pozycji wśród

* Potoczne określenie radzieckiego pistoletu samopowtarzalnego TT-33.

waziristańskich talibów. Wolał berettę Px4 Storm SD – celniejszą, bardziej niezawodną... lepszą pod każdym względem. Ale cóż było robić. Zresztą zaznajomienie się z wszelkimi rodzajami broni, zwłaszcza używanej przez wrogów, należało do szkolenia Ghost Recon.

Jednocześnie z pochwy wydobył swój nóż Nightwing firmy Masters of Defense. Ujął go w lewą dłoń, ostrzem do dołu. Nie planował go używać, ale w końcu nigdy nic nie wiadomo. Nóż miał rękojeść z włókna szklanego z wstawkami antypoślizgowymi, ostrze z czarną wolframową powłoką DLC* oraz ząbkowany grzbiet – pełniący funkcję drugiego ostrza do cięcia od dołu i do tyłu, przy wydobywaniu z pochwy. Piętnaście centymetrów czystej śmierci. Dla Browna był tym wśród noży, czym American Express wśród kart kredytowych – nigdzie się bez niego nie ruszał.

Niektórzy koledzy z Ghost Recon dogryzali Brownowi z powodu jego przywiązania do tego kawałka stali. Fakt, każdy żołnierz nosił przy sobie nóż – czy to składany, czy to zwykły. Przydawały się do wszystkiego.

Dziwne tylko, że Brown nie miał wcale reputacji biegłego w walce na białą broń. Znacznie lepiej posługiwał się karabinem maszynowym, sprawdzonym w pierwszych misjach w siłach specjalnych.

Wcześniej służył w Drugiej Brygadzie Piechoty w Iraku. Mało komu opowiadał o tej nocy w Faludży, kiedy to jego drużyna wpadła w zasadzkę podczas pieszego patrolu. To właśnie wtedy jego wierny nóż ocalił mu życie.

Szli alejką prowadzącą do domu, gdzie miał zamieszkiwać wraz z bratem jednego z rebeliantów. Nigdy nie osiągnęli celu. Strzały, siekące ich niczym ulewny deszcz, zdały się dobiegać z każdej strony.

Brown odciągnął trzech rannych towarzyszy w bezpieczne miejsce. Przez piętnaście minut odpierał atak co najmniej sześciu rebeliantów. Wreszcie skończyła mu się amunicja. Magazynek rannych były poza zasięgiem ręki. Nim zdołały nadejść posiłki, napastnicy ruszyli do ostatecznego natarcia.

Mógł uciekać. Mógł próbować zabrać rannych, jednego po drugim. Wiedział jednak, że w ten sposób zarobiłby tylko kulę w plecy.

Zamiast tego zrobił coś, co udawało się tylko na filmach.

Poinstruował pozostałych, żeby udawali trupy. Sam też postanowił odgrywać nieboszczyka.

Pierwszy z napastników wyłonił się z ciemności. Gdy nachylił się nad nim, Brown zerwał się i wbił mu swojego nightwinga prosto w serce.

Kiedy wróg jeszcze padał, Brown wyrwał mu jego broń i zaczął strzelać do pozostałych. Wymiana ognia trwała jakieś pięć minut. Potem zjawiły się posiłki. Brown został dwukrotnie ranny.

Od tego właśnie dnia nie rozstawał się ze swoim nightwingiem. Nawet w czasach

* ang. *diamond-like carbon* – powłoki węglowe o szczególnej twardości, bardzo odporne na ścieranie.

elektroniki nic nie zastąpi zimnej hartowanej stali – ani woli przeżycia prawdziwego wojownika.

Zawsze krzywił się na wspomnienie tego, jak przedstawili go do odznaczenia Srebrną Gwiazdą za dokonania tamtej nocy. Chodziło o to, że jego rodzicom było to całkiem obojętne.

Brown wyobrażał sobie, jak siedzą w tej swojej chacie za milion dolarów w Lake Forest, przeklinając go za to, że rzucił wszystko w diabły, przerwał studia na Uniwersytecie Illinois, zrezygnował z pozycji obrońcy liniowego w Fighting Illini... I to po co? Żeby wstąpić do wojska? Chyba postradał zmysły, jak orzekła matka.

Ojciec nie był tak powściągliwy. Wrzeszczał tak, że mało płuc nie wypłuł: „Jako pierwszy z mojej rodziny zdobyłem tytuł naukowy! Obroniłem licencjat! Tworzymy nowe życie dla naszych ziomków! Za kilka lat będę startował w wyborach na burmistrza tego miasta! Masz przed sobą wielką przyszłość w administracji publicznej, a tymczasem ty się cofasz w rozwoju!”

Jednak Brown chciał od życia o wiele więcej niż kariera biznesmena czy prawnika. Nie potrafił sobie wyobrazić, że wysiaduje na zebraniach rady miejskiej, omawiając problemy lokalnej wspólnoty. Chciał wpływać na świat znacznie bardziej zdecydowanymi metodami.

Strażnik, który wyszedł na papierosa, nie miał w konfrontacji z nim najmniejszych szans.

Brown wpakował mu kulkę z pistoletu z tłumikiem prosto w czoło i złapał ciało, nim padło w śnieg, żeby nie narobiło hałasu. Opuścił je delikatnie na ziemię, schował nóż do pochwy i chwycił trupa pod pachy, żeby odciągnąć go za róg. Kiedy już to zrobił, przykucnął, żeby złapać oddech. Poczul ulgę. Przyjemne ciepélko jak po wypiciu kubka kawy. Zdał raport kapitanowi Mitchellowi.

Choć Brown był tak pewny siebie, wiedział, że każdą akcję można spieprzyć na milion sposobów. Lubił sobie żartować, że odkrył już co najmniej siedemdziesiąt dwa z nich.

Mitchell ruchem głowy dał znak Ramirezowi. Ten odpowiedział skinieniem i zebrał narzędzia. Drzwi stały otworem.

– Diaz, co tam widzisz?

– Całkiem czysto, kapitanie.

Mitchell obejrzał teren jeszcze raz oczami drona. Potwierdził pozycję każdego przeciwnika. Potem zczekał, aż Brown powróci na swoje stanowisko.

Ramirez bierze lewą stronę, Brown prawą, zaś Mitchell podczołga się do przodu. Ramirez i Brown przyciągną uwagę gości w pierwszym pokoju – gdyby zechciało im się nagle obudzić – co da Mitchellowi sposobność do ostrzelania ich z pozycji leżącej.

Wszystko to rozegra się przy wtórze sapnięć i szeptów. Dostaną się do domu niczym duchy i niczym duchy opuszczają je ze zdobyczą, zostawiając po sobie jedynie dojmujący chłód śmierci.

Pies w dolinie znów zawył.

Mitchell zebrał się w sobie.

– Duchy! Do ataku!

ROZDZIAŁ 11

Północno-zachodni Waziristan granica afgańsko-pakistańska styczeń 2009

Otworzenie zamka to jedno, a ciche dostanie się do środka to całkiem inna sprawa. Mitchell skrzywił się, patrząc, jak Brown kładzie dłoń w rękawicy na zimnym drewnie i pcha drzwi.

Ramirez tylko uśmiechnął się znacząco. Był pewien swego. Wejść bezszelestnie. Po tym, jak wytrychem otworzył zamek, spryskał narożniki drzwi własnego pomysłu mieszanką smarów w spreju. Twierdził, że substancja skutecznie wyeliminuje to skrzywienie zawiasów.

Zawiasy znajdowały się, rzecz jasna, po wewnętrznej stronie drzwi. Mitchell powątpiewał, czy choć trochę smaru faktycznie do nich dotarło. Ale oto drzwi uchyliły się bezszelestnie. Do środka wdarł się podmuch zimnego wiatru. Dwóch mężczyzn leżących na pryzkach po obu stronach paleniska poruszyło się i uniosło głowy.

Nim Mitchell miał sposobność otworzyć ogień, Ramirez i Brown użyli swoich pistoletów, posyłając ich na wieczny spoczynek. Poduszki spływały krwią.

Mitchell zerwał się na równe nogi i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Z drugiego pomieszczenia dobiegł ich głos. Jakiś człowiek narzekał w języku pasztuńskim na przeciągi.

Mitchell wyjrzał zza rogu ścianki. Jednym spojrzeniem ocenił sytuację: kolejne dwa łóżka, dwóch talibów, zakładnicy w rogu. Jeden z przeciwników przewrócił się na drugi bok.

Mitchell skierował pistolet z tłumikiem na pierwszego taliba. Wystrzelił pojedynczy pocisk, który trafił przeciwnika w klatkę piersiową.

Jednym płynnym ruchem obrócił się w prawo, celując w drugiego gościa, który już sięgał po oparty o ścianę karabin. Zwrócił głowę ku Mitchellowi, który go zastrzelił.

Teraz jednak znów poruszył się pierwszy talib. Mitchell przypadł do jego łóżka i wykończył go dwiema kulami. Jedna by starczyła, ale górę wzięło zdenerwowanie.

– Czysto! – mruknął przez radio.

– Kim jesteście?! – zawołał któryś z zakładników.

Mitchell obszedł sfatygowaną toaletkę, sterty wełnianych koców i kilka skrzynek z

amunicją, by dotrzeć wreszcie do mężczyzny, który go zawołał.

Agent Thomas Saenz, kryptonim „Mangusta”, był wieloletnim pracownikiem terenowym CIA. Ostatnie osiem lat spędził w Afganistanie. Ze swoją ogorzałą twarzą, długą brodą i skołtunionymi włosami do ramion niewiele różnił się od talibańskich oprawców. Tyle że ręce miał skute na plecach solidnymi policyjnymi kajdankami.

Obok niego siedział agent Erik Vick, kryptonim „Wiking”, postawny, przysadzisty facet z mierzwą rudawych włosów i kędzierzawą brodą. Jego też z łatwością można by wziąć za rebelianta. Spędził trzy lata, pracując na granicy afgańsko-pakistańskiej.

Co do trzeciego z mężczyzn... Mitchella aż zatkało, a oczy zaszyły mu łzami. Trzecim z jeńców był Rutang – jego stary przyjaciel, który został wysłany do Afganistanu. Po paru latach zdobył opinię doskonałego komandosa sanitariusza. Ostatni raz Mitchell widział go na przyjęciu z okazji swojego awansu.

Twarz Rutanga była jednym wielkim siniakiem. Lewe oko miał opuchnięte. Jak i pozostali, został najwyraźniej poddany działaniu narkotyków, by nie stawiał oporu. W świetle kieszonkowej latarki Mitchella widać było rozszerzone źrenice.

– Tu Diaz. Mam kolejnego gościa. Wychodzi ze środkowej chaty. Lepiej się pospieszcie.

– Zrozumiałem. Ramirez, pilnuj drzwi. Brown, chodź tutaj. Są skuci. Potrzebuję kluczyków.

– Robi się.

– Tang, słyszysz mnie?

– Kim jesteście? – dopytywał się Saenz.

Mitchell spojrział na niego z lekkim uśmiechem.

– Jesteśmy tymi gośćmi, którzy was stąd wydostaną. – Znow zwrócił się w stronę Rutanga. – No dalej, brachu, jesteś przytomny?

– Scott, to ty?

– Tak... – Mitchell przełknął ślinę. Tymczasem Rutang całkiem się rozkleił. Zaczął płakać. – Nic ci nie będzie, Tang. Przestań – uspokajał go Mitchell. Jego przyjaciela pobito tak dotkliwie, że strach było go ruszać.

– Oto i klucze – oznajmił Brown, wydobywając je z kieszeni najbliższego rebelianta. Obszedł łóżko i otworzył kajdanki Saenza. Następnie zabrał się do tych skuwających ręce Vicka.

– Kapitanie – zgłosiła się Diaz. – Gość na zewnątrz ruszył na tyły. Zaraz zauważy ciała. Mam czysty strzał.

– Strzelaj!

Rutang odchrząknął.

– Scott, znow wszystkich zawiodłem.

– Skądże. Ładunek zniszczono, a ty żyjesz.

Trzy dni wcześniej sekcji ODA, do której należał Rutang, wyznaczono zadanie na terenie

Waziristanu, w oparciu o dane wywiadowcze zebrane przez Saenza i Vicka. Dwóch dilerów broni, powiązanych z Chińczykami, realizowało dostawę wielkiej partii chińskiej broni lekkiej. Zadaniem sekcji było zabicie handlarzy i zniszczenie ładunku, nim dostarczą go talibom. Uzbrojenie bez cienia wątpliwości miało zostać przesmuglowane przez granicę do Afganistanu. Mogło nawet dotrzeć do Iranu i Iraku. Broń zostałaby wykorzystana przeciwko siłom amerykańskim i wojskom koalicji operującym w tym regionie.

Podczas operacji sekcję rozdzielono. Rutang, wraz z częścią swojej sześciuosobowej grupy i dwoma agentami CIA, zabezpieczał tyły i obserwował przeciwnika, podczas gdy reszta komandosów wkroczyła do wioski, by zlikwidować handlarzy i zniszczyć ładunek.

Co stało się potem, wiedzieli tylko agenci i Rutang. Wywiad przechwycił sygnał z nadajnika umieszczonego na zaśnieżonej przełęczy jakieś ćwierć kilometra na wschód od ostatnich zabudowań. Rozpoznanie miejsca zwiadem satelitarnym i dane z GTFC ujawniły, że znajduje się tam co najmniej pięciu członków sekcji, chociaż nie dawali żadnych znaków życia.

Broń jednak zniszczono. Dowództwo uznało, iż Rutang, Saenz i Vick usiłowali ukryć zabitych kolegów i uciec przez granicę do Afganistanu. Jednak gdzieś po drodze zostali pojmani.

- Dorwali nas z mojego powodu, Scott – wyjącał Rutang. – To przeze mnie.
- Nie czas się teraz tym martwić.
- Słuchaj mnie! Pierwsza grupa zginęła w eksplozji. Ale pozostali... nie mogliśmy ich tak tam zostawić.
- Tang, zapomnij o tym.
- Zostawiliśmy na miejscu nadajnik, żeby dowództwo mogło ściągnąć ich do domu.
- Wiedzą o nim. Wyślą sekcję ewakuacyjną. Nic się nie martw, brachu. Nikogo tu nie zostawimy.

Brown skończył zdejmować kajdanki Rutanga, gdy w radiu znów odezwał się głos Diaz.

- Kapitanie, mam go. Jednak robi się tu istna trupiarnia. Lepiej się ruszcie!
- Zrozumiałem. Już ich wyprowadzamy. Ramirez, są pod wpływem narkotyków. Potrzebuję pomocy.

Ramirez pośpieszył z powrotem do pokoju. Pomógł wstać Saenzowi i zarzucił jego rękę na swoje ramię. Brown wziął się do Vicka, podczas gdy Mitchell postawił na nogi Rutanga. Teraz widać było, że został pobity najdotkliwiej ze wszystkich.

– Znajdźcie jakieś kurtki, czapki, rękawice... Okutajcie ich, a potem ruszamy – rozkazał Mitchell.

Ramirez i Brown zabrali się do roboty. W kilka minut wszyscy trzej zakładnicy byli ubrani i gotowi do wymarszu.

- Stary, będę musiał cię podnieść – ostrzegł kapitan Rutanga.
- Wiem.

Mitchell zarzucił sobie kumpla na ramiona.

– Jak za dawnych dobrych czasów, co?

– Tak...

– Przynajmniej jesteś lżejszy niż ostatnim razem, kiedy cię niosłem – stwierdził.

– Byłem na talibskiej diecie. Gwarantowana utrata pięciu kilo w trzy dni.

– Świetnie. A teraz zamknij się i pozwól, żebym ci ocalił twoją skórę. Diaz, droga wolna?

– Tak... Nie, czekajcie! Kolejny gość wyszedł ze środkowej chaty. Zmierza prosto do waszych drzwi! Nie wygląda na uzbrojonego, ale porusza się zbyt szybko jak dla mnie.

– Kapitanie, zajmę się nim – oznajmił Brown. Ostrożnie doprowadził Vicka na łóżko, po czym podbiegł do drzwi, wydobywając wiernego nightwinga.

Mitchell położył palec na ustach, przestrzegając Browna, że musi zachować ciszę.

Brown skinął tylko głową. Szeroko otwarte oczy błyszczały mu tak, że niemal rozświetlały pomieszczenie.

Drzwi rozwarły się na oścież. Wszedł przez nie niższy niż pozostali talibowie facet, smagły, w czarnej keffii, osłaniającej głowę i twarz.

– Kto mi zwinął fajki? – rozległ się jego stłumiony głos. – Przyznać się, ale już!

Brown odkleił się od drzwi. Potem wszystko rozegrało się tak szybko, że Mitchell aż zaklął z uznaniem, podziwiając skuteczność swojego podkomendnego.

Brown uderzył niczym błyskawica. Zaszedł taliba od tyłu, złapał go za gardło, jednocześnie wbijając mu nóż prosto w serce.

Ostrze jeszcze sterczało z piersi taliba, gdy Brown puścił jego szyję i zaczął wpychać mu keffiję do gardła.

Rebeliant wykrwawiał się na śmierć. Nim straci przytomność, minie może minuta. Rana od noża nie powoduje natychmiastowej śmierci, jak to pokazują na filmach. Brown dobrze wiedział, co robi, uciszając go do czasu, gdy upływ krwi zrobi swoje.

– No dobra, w drogę – zakomenderował Mitchell.

Brown wyciągnął nóż i znów podszedł do Vicka, który zarzucił mu rękę na ramię. Ruszyli w ślad za Mitchellem.

Ramirez z Saenzem pierwszy wyszli na dojmujący ziąb. Zerwał się silniejszy wiatr. Mroźne powietrze szczypało w policzki.

Ruszyli w dół wzgórza, kierując się na pozycję Diaz. Jednak nim tam dotarli, Mitchell wypatrzył na zboczu dwa ośnieżone głazy, które zapewniały dobrą osłonę.

– Kładźcie ich tutaj – polecił.

– Scott, co teraz? – wybełkotał z trudem Rutang.

– Upewniamy się tylko, że nikt za nami nie idzie. Brown zostanie z tobą. Zaraz wracamy. Diaz, jesteś gotowa?

– Tak jest.

Mitchell szybko sprawdził dane zwiadowcze z drona UAV3 Cypher. Sprowadził go z

powrotem nad chaty, by potwierdzić, że z dwunastu talibów zostało tylko trzech. Dwaj znajdowali się w środkowym domu, jeden w pierwszym.

– Dron potwierdza ich pozycje. Widzisz to?

– Tak jest – powiedziała Diaz.

– Mamy ich – dodał Ramirez.

– Dobra. Ramirez i ja bierzemy na siebie środkową chatę. Diaz, pilnujesz drzwi tej pierwszej. Jak facet wyjdzie, jest twój.

Mitchell wsunął nowy magazynek do pistoletu.

– Ramirez? – odezwał się ponownie. – Wyruszamy!

Brnąc po kostki w śniegu, ruszyli w górę wzgórza. Kiedy dotarli do środkowego domu, ledwo dyszeli. Tym razem nie marnowali czasu na wytrychy. Ramirez z rozmachem kopnął w drzwi.

Mitchell wpadł do środka, wiedząc, że cele znajdują się po lewej stronie, przy palenisku. Obaj mężczyźni odwrócili się i usiedli na posłaniach. Zaczęli krzyczeć. Gdy Mitchell zastrzelił pierwszego, Ramirez z okrzykiem: „Stulić pyski!”, uciszył drugiego.

Diaz mogła celować przez siatkę wyświetlacza HUD lub wybrać tradycyjne namierzenie celu przez lunetę karabinu. Wybór był istotny – system IWS pozwalał na przybliżenie celu, nie mówiąc już o obserwowaniu go zza drzwi.

Na wyświetlaczu pojawił się migający na czerwono kontur, oznaczający dokładnie pozycję taliba, bez względu na dzielące go od Diaz warstwy drewna. Miała dobrą odległość, sprzyjał jej kierunek wiatru. Musiała sprzątnąć tego ostatniego człowieka, jaki stał im na ich drodze.

Nie da mu otworzyć drzwi, żeby mógł zaczerpnąć świeżego powietrza. Wstrzymała oddech i nacisnęła spust. Grzmotowi wystrzału zawtórowało echo odległego trzasku drewna. Pocisk przebił drzwi i znajdującego się za nimi człowieka.

Czerwony kontur zmienił się w biały.

– Dowódco Duchów, tu Diaz. Trzeci leży.

– Przyjąłem. Spadamy stąd. Za mną!

Diaz wstała, próbując opanować dreszcze. Czowała się tak, jakby krew zamarzała jej w żyłach. Bolały ją wszystkie stawy. Zaczynała tracić czucie w palcach u nóg.

– Zimno twoim przyjacielem – wymamrotała mantrę ze szkoły przetrwania, jaką wpajano wszystkim komandosom.

Zarzuciła karabin na ramię i ruszyła w dół wzgórza, na spotkanie z kolegami. Ich pozycje świeciły jasno na jej wyświetlaczu HUD. Uśmiechnęła się pod nosem, wyobrażając sobie, jak Carlos i Tomas kręcą z niedowierzaniem głowami, dziwując się jej osiągnięciom.

Carlos pomagał teraz tacie prowadzić rancho. Tomas został znanym profesorem na Akademii Rolniczej Iowa. Kiedy jednak się spotykali, przypominali wpatrzonych w nią

zazdrosnych dwunastolatków.

Dotarła do stóp wzgórza, kiedy kapitan Mitchell wzywał ich śmigłowiec:

– Black Hawk Dwa Dziewięć, tu dowódca Duchów. Jesteśmy w drodze do punktu ewakuacji. Teren ciężki. Szacowany czas przybycia dwadzieścia do trzydziestu minut. Odbiór.

– Black Hawk Dwa Dziewięć do dowódcy Duchów. Przyjąłem. Jesteśmy w drodze.

Przeniesienie osiemdziesięciokilowego drągala na odległość stu metrów, na następne wzgórze, było zadaniem na miarę możliwości Mitchella. Niesienie tego samego mężczyzny cały kilometr po skalistym, pokrytym śniegiem terenie, przy temperaturze poniżej zera i silnym wietrze, było całkowicie niewykonalne. Jednak Mitchell nie mógł zostawić swojego przyjaciela Rutanga.

Dźwigał go jakieś trzysta metrów, po czym musiał się zatrzymać. Wraz z Diaz rozłożył składane nosze. Przypiął do nich Rutanga, po czym wyszukał najłatwiejszą trasę, jaką mogli podążyć. Pociągnął go wąską przełęczą, korzystając z uprząży noszy.

Saenz i Vick z ulgą przyjęli tę krótką chwilę przerwy w marszu.

Kiedy dotarli do sporego głazu, znaczącego najwyższy punkt przełęczy, zatrzymali się, by zlustrować leżącą poniżej dolinę, gdzie miał wylądować ich black hawk. Mitchell przywołał drona.

Kiedy wirnik UAV3 zawarczał nad ich głowami, Mitchell zrobił zbliżenie kamerami. Naraz wzgórza zaroily się czerwonymi punkcikami. Najpierw dwa, potem trzy, cztery, coraz więcej i więcej. Wszystkie przesuwały się w kierunku grupy Mitchella.

– Black Hawk Dwa Dziewięć do dowódcy Duchów – odezwał się pilot, który dzięki łączności sieciowej bez wątpienia widział to, co Mitchell. – Utrzymajcie pozycję. Strefa jest gorąca.

Śmigłowiec zniżył się i natychmiast znalazł się pod gradem kul rebeliantów.

– Zawracać – rozkazał Mitchell swoim ludziom. – Cofnijcie się za skały. – Black Hawk Dziewięć Dwa – odezwał się następnie do pilota. – Strefa zbyt gorąca! Wycofajcie się. Potrzebujemy większego wsparcia, odbiór.

– Przykro mi, kapitanie, ale go nie ma. Macie tylko nas. A my nie po to przelecieliśmy taki kawał drogi, żeby was tu zostawić.

ROZDZIAŁ 12

Północno-zachodni Waziristan granica afgańsko-pakistańska styczeń 2009

MH-60K black hawk był przeznaczonym dla sił specjalnych wariantem frontowego wojskowego śmigłowca wielozadaniowego. Stosowano go do przerzucania sekcji ODA i Ghost Recon na akcje w głębi terytorium wroga. Aby było to możliwe, po obu stronach kadłuba, pod rotorem, zamontowano zewnętrzne zbiorniki z paliwem. W tej właśnie chwili Mitchell miał okazję obserwować, jak celują w nie zgromadzeni na ziemi talibowie.

Pilot otworzył przepustnicę dwóch silników General Electric i skręcił ostro poza linię ognia. Zatoczył pełny krąg, po czym zanurkował, naprowadzając helikopter na cele na ziemi. Zajazgotwały dwa wielolufowe karabiny maszynowe M134 kaliber 7,62 mm, zamontowane w drzwiach luku załogowego. Smugowe pociski przeszły zaśnieżoną ziemię ognistymi ściegami. Talibowie rozbiegli się w poszukiwaniu kryjówek.

Strzelcy pokładowi zasypywali cele naziemne gradem kul. Wystarczyłby jednak jeden dobrze wycelowany pocisk przeciwpancerny, by zakończyć zabawę – tak jak kiedyś na wyspie Basilan. Pilot śmigłowca wiele ryzykował dla Mitchella i jego ludzi.

– Co jest? – denerwował się Ramirez. – Strefa nie miała być gorąca!

– Złe dane wywiadowcze – orzekł Brown. – Po tym wszystkim, cośmy zrobili.

– Black Hawk Dwa Dziewięć do dowódcy Duchów. Lecę w kierunku grani na zachód od waszej pozycji. Jakies dwadzieścia metrów dalej. Tam zawisnę.

– Przyjąłem, Dwa Dziewięć.

Black hawk wyszedł z lotu nurkowego i wzniósł się, lecąc na południe. Strzelcy pokładowi przerwali ogień.

Wzdłuż całego szlaku rozbłyskały ogniki wystrzałów – jakby na skałach rozpięto przewody pod napięciem.

– Słuchajcie – powiedział Mitchell. – Ci goście wcale nie czekali na nas. To kanał przerzutowy z Afganistanu. Pewnie do tej pory kryli się po jaskiniach. Po prostu trafiliśmy na złą porę. Diaz, pomożemy załodze śmigłowca. Brown, weź Ramireza i załadujcie ich na pokład. Gotowi? Nadlatują!

Ryknęły silniki black hawk. Nowa fala pocisków z brzękiem rykoszetowała, odbijając się od kadłuba. Mitchell wyciągnął szyję. Zobaczył, że Ramirez z Brownem zabierają agentów CIA.

– Nie! – zawołał, pokazując na Rutanga, wciąż przypiętego do noszy. – Najpierw jego.

– Rozumiem! – krzyknął Ramirez.

– A więc to tak, kapitanie? – oburzył się agent Saenz. – Decydujecie, kto ma żyć, a kto ma umrzeć?

Mitchell spojrział na niego spode łba. Potem zwrócił się do Diaz:

– Ruszaj.

Wyskoczył z ukrycia i pobiegł w lewo. Diaz tuż za nim. Biegli zakosami między głazami, przez śnieg.

Na wyświetlaczu Mitchella pojawiło się tyle celów, że pomyślał, iż nawalił system IWS. Doliczył się blisko trzydziestu. Na razie. Kto wie, ilu jeszcze miało nadejść.

– Poluję na RPG* – powiedziała Diaz. Miała zamiar zastrzelić każdego taliba z granatnikiem na ramieniu, celującego w śmigłowiec. – Mam pierwszego. Zdejmuję go!

Gdyby nie wyświetlacz HUD, plutonowy Marcus Brown nic by nie widział w całej tej śnieżnej zadymce. Na tę szaroburą kurtynę nakładał się świetliście zielony zarys śmigłowca, z migającym identyfikatorem: „Black Hawk 29”.

Wraz z Ramirezem wciągnęli Rutanga na górę. Pokonali kilka skalnych nawisów, po czym zaczęli zmagać się z podmuchami wiatru, które zbijały ich z nóg.

Zostało zaledwie dziesięć metrów do śmigłowca. Wisiał chybotliwie, z dziobem zadartym do góry, metr nad granią. Nie było gdzie wylądować. Pilot zszedł tak nisko, jak tylko się dało. Brown przypomniał sobie oglądany na YouTube film z katastrofy black hawk na Mount Hood.

Kiedy dotarli do śmigłowca, strzelec pokładowy, który przerwał już ogień, opuścił uprząż. Brown i Ramirez pośpiesznie założyli ją na Rutanga. Gdyby pilot zszedł choć trochę niżej, uniknęliby tego opóźnienia. Na dany znak strzelec uruchomił pokładową wyciągarkę i przetransportował Rutanga do wnętrza luku.

Brown i Ramirez zawrócili po agentów CIA. Brown chętnie pogadałby z Ramirezem o decyzji kapitana, żeby najpierw zabrać Rutanga. Mogli przecież ewakuować obu agentów za jednym razem, a potem wrócić po sanitariusza. Nic wielkiego, ale gdyby coś się w tym czasie stało, lepiej uratować dwóch niż tylko jednego.

A może ocalenie przyjaciela było ważniejsze od ratowania agentów CIA, którzy, jak wiadomo, mogli w każdej chwili zwrócić się przeciwko nim, gdyby tylko pasowało to do ich planów?

* ang. rocket propelled grenade, ros. ручной противотанковой гранатомет – granatnik przeciwpancerny.

Brown służył już pod dowództwem Mitchella. Jednak dziś kapitan po raz pierwszy zademonstrował osobiste uprzedzenie podczas misji. Do tej pory nigdy nie zdarzyło się coś takiego. Przecież Mitchell mógł rozkazać Brownowi zabrać Rutanga, a Ramirezowi polecić wziąć jednego z agentów. Jednak on myślał tylko o swoim kumplu. Nawet ten gość z CIA mu to wypomnił. Interesujące...

Pocisk z karabinu Diaz trafił taliba prosto w pierś. Trzymany przez niego granatnik pofrunął w dal na podobieństwo bumerangu.

Ludzie często pytali, jak znosi tego rodzaju pracę. Chcieli wiedzieć, jak wojsko przygotowuje do zabijania ludzi. Ona jednak nie chciała o tym gadać. Robiła, co do niej należało, tak jak ją tego nauczono. Usuwała cele, starając się zdystansować od wszelkich uczuć. Myślała o komandosach u boku – o swoich przyjaciółach. Ignorowała przy tym fakt, że człowiek, którego zabijała, też mógł mieć rodzinę.

Ale czy można zabijać bez poczucia winy? Bez wyrzutów sumienia? Może niektórzy to potrafią.

Na Diaz mściła się jej podświadomość. Demony wydobywały się z bagien w nocy i rozpoczynały przemarsz przez jej kwaterę, znacząc swój szlak krwią, mówiąc, że wróciły, by się zemścić.

Zrywała się w środku nocy, zlana zimnym potem. Wiedziała jednak, że taka jest cena jej profesji. Powtarzała sobie, że musi przystosować się i robić to, co do niej należało.

Diaz jeszcze raz przeszukała wzrokiem zbroje. Dostrzegła drugiego faceta, unoszącego granatnik.

Jednocześnie Ramirez zameldował, że wraz z Brownem i dwoma agentami CIA zbliżają się do śmigłowca. Wszystko pięknie, ale jeśli Diaz nie zlikwiduje strzelca...

Kiedy rozpoczęła namierzanie celu, łoskot ognia maszynowego i rotorów śmigłowca przycichł. Słyszała tylko własny oddech, jakby znów nurkowała w skafandrze na rafie w Cozumel.

Obecnie na całym świecie istniały dla niej tylko dwie osoby. Miała zamiar zredukować tę liczbę dokładnie do połowy.

Siatka celownika zatrzymała się na facecie z granatnikiem. Miał wełnianą czapę – *pakol* – naciągniętą na uszy, Odwracał się właśnie ku helikopterowi, kiedy Diaz wystrzeliła.

Spodziewała się zobaczyć obłoczek dymu w okolicy klatki piersiowej wroga. Może nawet odrobinę krwi.

Nic. Spudłowała.

Co, do cholery?

Carlos i Tomas zakrzyknęli z radości.

Wzdłuż kręgosłupa Diaz przebiegł zimny dreszcz paniki. Wycelowała ponownie i wystrzeliła. Za późno. Owszem, zabiła go, jednak granat już zdążył znaleźć się w powietrzu.

Ramirez z niesmakiem odwrócił wzrok. Agent Vick, siedząc w śniegu obok Saenza, kończył właśnie kasłać i rzygać.

– Fajnie, że wróciliście – zauważył Saenz. – Wasz kapitan, jak już wiemy, ma inne priorytety.

– Najpierw ewakuujemy ciężko rannych – wycedził przez zęby Ramirez.

Saenz wyszczerzył zęby.

– Jak tam sobie chcesz, żołnierzu – parsknął. – Spójrz tylko na niego – wskazał na Vicka.
– Rozchorujemy się przez te narkotyki...

– Grunt, że się stąd wydostaniecie – uciął Brown, dźwigając Saenza na równe nogi.

Ramirez podszedł od tyłu do Vicka. Objął go w pasie.

– Obiecuj mi coś – wyszeptał agentowi do ucha. – Nie wyrzygasz się na mnie, co?

Vick znów się rozkasłał.

– Ech, facet – jęknął Ramirez, popychając go do przodu. – No, rusz się.

Kapitan wraz z Diaz i jednym ze strzelców pokładowych nie dawali spokoju talibom, podczas gdy Ramirez i Brown prowadzili agentów. Pilot poderwał maszynę wyżej. Zataczał teraz kręgi nad ich głowami, ściągając na siebie ogień wroga. Kiedy jednak zobaczył, że zbliżają się do przełęczy, zawrócił i obniżył lot.

Słyszając ogłuszający łoskot rotorów śmigłowca nad głowami, Ramirez i Brown chwycili uprząż z liną. Najpierw przypięli Vicka. Kiedy znalazł się na górze, w jego ślady poszedł Saenz. Był już w połowie drogi, gdy został postrzelony w ramię. Ramirez zaklął i zawołał, żeby pospieszyli się z tym wciąganiem.

I naraz kątem oka dostrzegł rozbłysk. To jeden z talibów wystrzelił z granatnika.

Ramirez krzyknął przez radio do pilota, żeby odleciał.

Zawyły silniki. Ramirez i Brown zeskoczyli ze skalnej półki, spadając w głęboką zaspę jakieś dwa metry niżej.

Kiedy Ramirez wpadł po uszy w biały puch, granat uderzył w zbocze, wyrzucając w górę fontannę kamieni i odłamków.

Na szczęście śnieg osłonił nieco Ramireza. Bryły śniegu i lodu przemknęły mu nad głową, gdy on sam ześliznął się dalszych kilka metrów, by wreszcie zatrzymać się gwałtownie.

Ramirez zamłócił rękoma. Z ulgą odkrył, że zapadł się w śnieg zaledwie na ćwierć metra. Usiadł, patrząc, jak śmigłowiec zatacza łuk na tle rozgwieżdżonego nieba. Właśnie wciągali Saenza do luku.

Brown podczołgał się do niego. Całą twarz miał obklejoną śniegiem.

– Jakim cudem żyjemy? – wykrztusił.

– Black Hawk Dwa Dziewięć do dowódcy Duchów. Przesyłka na pokładzie. Wracam po was.

– Odmawiam – odparł Mitchell. – Robi się tu coraz goręcej.

– Przyjąłem. Mam kolejną dolinę, na wschód od waszych pozycji. Zaznaczyłem ją na waszej mapie taktycznej.

– Poczekaj. – Mitchell ukrył się za skałą i komendą głosową wywołał mapę taktyczną, która wypełniła cały wyświetlacz. Dostrzegł tę drugą dolinę, podświetloną przez pilota na zielono. Zrobił zbliżenie. Płaski teren zapewniał dogodnie lądowisko. Od nadciągających talibów oddzielało je wzgórze.

– Black Hawk Dwa Dziewięć, wyląduj w tej dolinie, a my do ciebie dotrzemy.

– Już ruszamy, dowódco Duchów.

– Dobra, zwijamy się – zakomunikował Mitchell przez radio. – Za mną – mówiąc to, obejrzał się na Diaz, która właśnie podnosiła się z ziemi.

Jakieś trzydzieści metrów za jej plecami od zbocza oderwała się pojedyncza postać. Talib uniósł karabin. Na wyświetlaczu zamigotał czerwony punkcik.

Mitchell otworzył ogień z karabinu z tłumikiem. Seria przecięła powietrze tuż nad ramieniem Diaz, kładąc trupem taliba. Diaz odwróciła się i aż jęknęła z wrażenia.

– O rany... Jak ja się panu odwdzięczę, kapitanie?

– Starczy, jak postawisz mi piwo.

– Ma pan je jak w banku.

Ruszyli wzdłuż zbocza. Napotkali Ramirez i Browna, po czym wszyscy razem zaczęli wspinać się na szczyt. Sporadyczne strzały znały ich drogę.

Na wyświetlaczu HUD Mitchella rozjarzył się żółty kwadrat, oznaczający nową pozycję śmigłowca w strefie lądowania. Kapitan skrzył w lewo, prowadząc swoich ludzi znacznie bardziej stromym podejściem. Spod butów osypywał się śnieg.

Oslaniający tyły Ramirez otworzył ogień

– Zbliżają się! – wykrzyknął.

Mitchell przyspieszył kroku. Wzgórze wieńczyła samotna para drzew. Za nimi zbocze znów opadało w dolinę, w której czekał na nich helikopter.

– Diaz! – wrzasnął naraz Brown.

Mitchell odwrócił głowę. W samą porę, by dojrzeć, jak Diaz, która właśnie straciła grunt pod nogami, koziołkuje w dół wzgórza. Pamiętała, by złożyć ręce na piersiach. Jednak choć zapobiegało to złamaniom, przyspieszało też staczanie się po zboczu. Zjechała ponad dwanaście metrów, aż wreszcie zatrzymała się bez ruchu, leżąc twarzą w dół.

Mitchell bez namysłu ruszył jej na pomoc. Ramirezowi i Brownowi rozkazał, by zostali na miejscu i go osłaniali. Dwukrotnie omal nie przewrócił się, poślizgnąwszy się na ukrytym pod śniegiem lodzie.

Dotarł do niej wreszcie. Obawiał się najgorszego. Chwył ją za ramiona i powoli ostrożnie odwrócił na plecy.

Zamrugła i zaczęła kaszleć.

Mitchell odetchnął z ulgą.

– Teraz mam u ciebie dwa piwa – oznajmił. Potem chwycił ją za rękę i pomógł jej wstać. Razem ruszyli z powrotem pod górę, gdzie czekali na nich Ramirez i Brown.

Brnęli przed siebie, kierując się na drzewa. Śnieg był coraz głębszy. Sięgał już do połowy łydek. Pokrywała go gruba warstwa lodu.

Łydki i ścięgna Mitchella płonęły żywym ogniem. W duchu dziękował wszystkim swoim instruktorom, którzy zmuszali go do forsownego treningu.

Zwiększyli tempo. Byli już rzut kamieniem od drzew, kiedy Brown zgłosił kontakt z wrogiem.

– Widzę sześcioro na szczycie wzgórza. Nie, siedmiu! Idą na nas!

– Alicia – odezwał się Mitchell – tu już nie ma żartów, wyciągajmy nogi!

– Tak jest!

Pobiegli do drzew. Tam przystanęli, by złapać oddech.

– Teraz przyda się nam twoja pomoc – powiedział Mitchell, zerkając na nią porozumiewawczo.

Ujęła w dłonie karabin, by sprawdzić, czy nie uszkodziła go podczas upadku.

– Jestem gotowa – odparła.

– Zdejmij pierwszego. To im da do myślenia.

– Patrzcie i ucźcie się.

Dla każdego żołnierza to najgorszy koszmar znaleźć się naprzeciw wprawnego snajpera. Śmierć przychodzi wówczas niespodziewanie, niby kara wymierzona boską ręką. Spada morale. Strach osiąga poziom gorączkowej paranoi.

Mitchell wycelował, ale nie otwierał ognia. Patrzył tylko przez celownik, jak strzela Diaz.

Idący na czele oddziału talib padł w śnieg. Na ten widok pozostali rzucili się na ziemię. Pewnie żałowali, że nie mają czekanów, żeby się okopać. Zaczęli coś krzyczeć o snajperze. Mimo wyraźnych rozkazów nie zamierzali się podnieść

– Ramirez, Brown! Do helikoptera! – zakomenderował Mitchell.

– Kapitanie – zaoponowała Diaz – kolejny strzał, nawet z tłumikiem...

– Wiem – uciał – ściągnie na nas ich uwagę. Ale potrzebuję jeszcze jednego strzału.

– Zrozumiałam.

Mitchell poświęcił kilka cennych sekund, żeby po raz ostatni sprawdzić dane z drona. Potem odesłał go w kierunku granicy, gdzie odbierze go personel wsparcia.

Nie miał nawet zamiaru mówić Diaz, ilu rebeliantów wspina się na wzgórze.

– Wygląda na to, że szykują się do ataku – zakomunikowała Diaz.

Mitchell przykucnął u jej boku.

– Strzelasz i od razu zwiewamy. Gotowa?

– Chwilka, niech mi wejdzie na linię strzału. Już prawie...

Karabin Diaz wydał z siebie stłumiony odgłos wystrzału. Lecący z prędkością

poddźwiękową pocisk dosięgnął stojącego na jego kursie taliba. Ten nie zdążył nawet mrugnąć.

Padł trupem. Mitchell i Diaz wybiegli zza drzew.

– Tylko na tyle pana stać?! – krzyknęła Diaz, biegnąc u jego boku. – Szybciej!

Mitchell uśmiechnął się pod nosem.

– To już trzy piwa. Ostatnie za obrazę honoru – mówiąc to, przyśpieszył. Buty ślizgały się po ukrytych pod śniegiem kamieniach i lodzie.

U podnóża wzgórza opadało bardziej stromo, zmuszając ich do schodzenia krok po kroku, aż znaleźli się w dolinie.

Mitchell zaryzykował spojrzenie przez ramię.

Widok, jaki ujrzął, zaparł mu dech w piersi.

Biegli wreszcie po płaskim gruncie. Przed nimi rozciągał się piarg z popękanych i skorodowanych głazów. Kolejne wyzwanie. Mitchell zwolnił, aby ominąć kilka co większych skał.

– Dalej, kapitanie. Jesteśmy prawie na miejscu! – krzyknęła Diaz.

– Nie jestem ślepy – odburknął Mitchell. – Tylko nie patrz za siebie.

ROZDZIAŁ 13

Północno-zachodni Waziristan granica afgańsko-pakistańska styczeń 2009

- Boże... – wykrztusiła Diaz.
- Mówiłem ci, żebyś nie patrzyła za siebie – ofuknął ją Mitchell.
- To właśnie sprawiło, że się obejrzałam.

Black hawk oznaczony zielonym kolorem na wyświetlaczu Mitchella rozpętał istną burzę śnieżną, która błyskawicznie ich pochłonęła. Igiełki lodu kłuły Mitchella w nos, uszy i policzki.

Znosił ból bez słowa skargi, jako że strumień powietrza z rotora pomógł im ukryć się przed wrogami. Ścigający ich talibowie, schodzący ze wzgórza długim węzłem niczym rzymska armia, stracili swoje cele z oczu.

I tak jednak zdecydowali się otworzyć ogień, stawiając wszystko na jedną kartę. Wystrzały z karabinów rozbrzmiały echem za ich plecami, gdy Mitchell i Diaz skęcili w lewo, obeszlą zewnętrzny zbiornik z paliwem i znaleźli się przy otwartym luku. Brown czekał już tam na Diaz. Mitchell tymczasem obrócił się na pięcie i odpowiedział ogniem.

- Kapitanie! – przywołał go w końcu Brown.

Mitchell odwrócił się w chwili, gdy jeden ze strzelców pokładowych osunął się na swój karabin maszynowy. Po jego twarzy i szyi spływała krew.

- Lewy strzelec padł! – zawołał Mitchell.
- Kapitanie, proszę zająć jego stanowisko – rzucił pilot.

Kule, iskrząc i dzwoniąc, odbijały się od śmigłowca, gdy Mitchell gramolił się na pokład.
– Jazda! – krzyknął.

Brown i Ramirez już odpięli uprząż rannego strzelca i ściągnęli go z fotela. Mitchell natychmiast wśliznął się na jego miejsce. Ujął oburącz karabin. Korzystając z laserowego wskaźnika AIM-1, wycelował sześć luf w zbocze wzgórza. Potem skorygował nieco ustawienie karabinu, przesuwając lufy w lewo, kiedy śmigłowiec ruszył z miejsca.

Zaczął systematycznie kosić rebeliantów, podczas gdy oni rzucali się na ziemię, by uniknąć namierzenia laserem. Smugowe pociski wyskakiwały z obracających się luf na

podobieństwo ognistych strzał setki łuczników.

Jednocześnie karabin wypluwał za burty gorące mosiężne łuski, znacząc nimi swój szlak, kiedy pilot zataczał koło.

Wibracje karabinu wstrząsały Mitchellem. Aż trudno sobie wyobrazić, że wystrzeliwuje pięćdziesiąt pocisków na sekundę. Mitchell musiał starannie wybierać cele. Miał tylko cztery tysiące sztuk amunicji w taśmach. Potem trzeba będzie na nowo je ładować.

Pilot zdawał się tym jednak nie przejmować.

– No dalej, kapitanie, wal pan!

Mitchell nie miał nic przeciwko temu. Znaczył zbocze wzgórza równym ściegiem. Jego wyświetlacz HUD wraz z celownikiem AIM-1 namierzały mu te czerwone punkciki, które następnie szybko zmieniały się w białe pod gradem pocisków zostawiającym po sobie śmierć w chmurze wyrzucanego w powietrze śniegu.

Podczas gdy kapitan wraz z drugim strzelcem prowadzili ostrzał, Ramirez i Brown zajmowali się Saenzem i rannym strzelcem. Porozumiewali się przy tym językiem migowym, jako że hałas wewnątrz helikoptera uniemożliwił komunikację głosową.

Mitchell pamiętał o tych wszystkich ludziach, którzy zginęli w Waziristanie. Nie spuszczał oczu z celu, szyjąc z wielolufowego karabinu w talibańskie hordy, nim wreszcie black hawk zrobił zwrot w prawo, obniżył lot po drugiej stronie wzgórza i wziął kurs na wschód, ku granicy.

Kapitan rozluźnił pobieliałe od kurczowego ściskania broni palce i opadł na fotel. Bolał go dosłownie każdy mięsień. Gdyby się położył, przespałby chyba rok.

Ktoś potrząsnął go za ramię. Ramirez wskazał palcem rannego strzelca, potem Saenza, a potem uniósł kciuk do góry – znaczyło to, że obaj przeżyją.

Mitchell skinął głową. Kiedy Ramirez powrócił na miejsce, kapitan skierował swoją uwagę na Rutanga. Opuchnięta twarz przyjaciela sprawiała, że ledwo można było go rozpoznać. Strasznie się naciępiął. Ale to dobrze, że udało mu się powrócić do czynnej służby po wygranej bitwie z depresją i stresem. Odstawił propranolol. Dobrze radził sobie w roli ojca. Mandy urodziła mu drugie dziecko. Chłopiec, zdaniem Rutanga, zdecydowanie przypominał listonosza.

Siedząc tak, odrętwiały z zimna i wyczerpania, Mitchell zastanawiał się, co teraz stanie się z jego przyjacielem. Czy Rutang potrafi znów odbić się od dna?

Black hawk wylądował na odludzionym spłachetku ziemi na obrzeżach bazy lotniczej Bagram w Kabulu. Mitchell poprosił Diaz, żeby została z Rutangiem. Razem z Saenzem, Vickiem i strzelcem pokładowym wsiedli do hummerów i odjechali do szpitala polowego. Mitchell natomiast, wraz z Brownem i Ramirezem, udali się zdać raport major Susan Grey oraz dowódcy kompanii, podpułkownikowi Haroldowi „Buzzowi” Gordonowi.

Spotkali się w pełnym przeciągów, pogrążonym w półmroku baraku z blachy falistej o

wypukłym dachu, przeznaczonym na skład części lotniczych i wydzierzawionym Duchom przez siły powietrzne. Opatulona po uszy Grey, z nosem czerwonym od zimna, powitała ich nadspodziewanie ciepłym uśmiechem i poprowadziła do zestawionych razem biurek, skąpanych w przyćmionym pomarańczowym świetle ustawionych na podłodze przenośnych grzejników.

Podpułkownik Gordon siedział rozparty na krześle. Na kolanach miał laptop. W zamyśleniu zmrużył oczy. Spokojnym głosem mówił coś do mikrofonu zestawu słuchawkowego. Rozmawiał z samym bossem, generałem Joshua Keatingiem. Chropowaty głos tego ostatniego, docierający wśród trzasków aż z Dowództwa Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych* w Tampie na Florydzie, był na tyle głośny, że słyszał go nawet Mitchell. Gordon musiał być uprzejmy wobec generała, który szybko wspiął się na stanowisko dowódcy całego USSOCOM-u, jednak pod koniec rozmowy powiedział z przekazem:

– Doceniamy pańską cierpliwość, generale.

Mitchell zawsze lubił Gordona. Podobał mu się jego styl. Choćby te przyszczyżone na jeża śnieżnobiałe włosy. Doceniał podejście Gordona do kwestii taktycznych. Jego wiarę w to, że wszystko zależy od ludzi, a technologia jedynie wspomaga ich umiejętności.

W siłach specjalnych byli i tacy, którzy argumentowali, iż wysyłanie żołnierzy na terytorium wroga stało się zbyt ryzykowne, wiązało się ze zbyt dużymi stratami.

Gordon określał ich mianem dupków. Miał pięćdziesiąt cztery lata. „Za stary byłem na takie pieprzenie dwadzieścia lat temu – zwykł mówić. – Możecie sobie wyobrazić, co teraz o tym sądzę”.

Pułkownik pożegnał się z rozmówcą, po czym zerwał się z miejsca, by uścisnąć im ręce.

– Doskonała robota, panowie – odezwał się. – Doskonała. Usiądźcie, proszę.

– Za pańskim pozwoleniem, wolę stać – odparł Mitchell, podczas gdy Brown i Ramirez zajęli krzesła.

Gordon zmarszczył brwi.

– Scott, wiem, że wkurzyłeś się w związku z tymi rebeliantami w strefie ewakuacji.

Mitchell wzruszył tylko ramionami.

– Uważam, że przemieszczali się kanałem przerzutowym, kryjąc się jak szczury po jaskiniach.

– Wciąż nad tym pracujemy, ale najpewniej masz rację. Wykryliśmy ich dopiero wtedy, gdy już tam byliście. Dalsze wsparcie powietrzne oznaczałoby fiasko operacji.

– A co z odzyskaniem ciał?

– Trzeba poczekać, aż ci rebelianci się stamtąd wyniosą. – Pułkownik się skrzywił. – Jakby tego było mało, przemieszcza się kolejny front burzowy. Prędkość wiatru jest za duża. Musimy poczekać, aż się uspokoi, co najmniej osiemnaście, może nawet dwadzieścia godzin.

* United States Special Operations Command, w skrócie USSOCOM.

– Chciałbym wziąć udział w tej operacji.

– Nie wątpię, ale ten maniak Wolde z Etiopii ostrzy sobie zęby na Erytreę. Podejrzewam, że będą chcieli cię tam posłać. Ja też jestem za tym.

– No to chyba znowu spanko w samolocie.

– Kapitanie, doceniamy pańską pomoc w testach polowych nowego systemu Cross-Com – wtrąciła major Grey. – Potrzebujemy pańskiej opinii, chociaż mówią mi tu, że musimy jeszcze poczekać jakieś trzy czy cztery lata, zanim go w pełni wdrożą.

– Wielka szkoda, bo to cholernie fajny system i świetny sprzęt.

– Owszem... i to z wielu powodów. A właśnie, kapitanie, chcę pana o coś zapytać. Odtwarzałam nagrania z pańskiego HUD-a. Zauważyłam, że wstrzymał pan ewakuację agentów Vicka i Saenza.

– To nasza wina! – wypalił Ramirez. – Sanitariusz był najpoważniej ranny. Powinniśmy byli ewakuować go jako pierwszego.

Grey ledwo raczyła zwrócić na niego uwagę.

– Przepraszam – powiedział zmieszany Ramirez, przelękając się i spuszczaając głowę. – Pomyślałem, że powinna pani wiedzieć.

– Ja już wiem.

– A więc... odpowiadając na pani pytanie, pani major... Tak, istotnie zmieniłem kolejność ewakuacji – potwierdził Mitchell.

– Dlaczego?

Mitchell zamyślił się na chwilę. Mógł próbować się wykręcać – albo zrzucić cały ciężar ze swojej piersi.

– Cofnijmy się trochę w czasie – odezwał się wreszcie. – Zabiegałem o przydzielenie mnie do tej misji. Nie było żadną tajemnicą, że w niewoli znalazł się jeden z moich najlepszych przyjaciół. Wiedzieliście, że zrobię wszystko, by sprowadzić go do domu. Chciałem się więc upewnić, że jako pierwszy znajdzie się na pokładzie śmigłowca. Faktycznie był najpoważniej ranny, więc nie widzę w tym żadnego problemu.

– Jeśli nawet agenci Vick i Saenz posiadali informacje znacznie bardziej przydatne niż plutonowy McDaniel? Działali przy granicy o wiele dłużej niż pański... przyjaciel.

– To spekulacje. Równie dobrze mogli nic nie mieć. A nawet gdyby mieli...

– Kiedy już się ich opatrzy, zostaną przesłuchani.

– Owszem, ale dużo więcej wam nie powiedzą. Wszyscy salutujemy tej samej fladze, ale nie zapominajmy, że opłaca ich Langley.

Podpułkownik Gordon sapnął z niesmakiem.

– Major Grey, szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzi, w jakiej kolejności kapitan przeprowadził ewakuację. W mojej ocenie to sprawa drugorzędna. Rzecz w tym, że wszystkim udało się wydostać. Koniec pieśni. Szczerze pani powiem, że na jego miejscu zrobiłbym to samo.

- Dziękuję panu – powiedział Mitchell, przeklinając w duchu Grey.
- Po prostu wydało mi się to interesujące – odrzekła Grey, unosząc brew.

Po wyjściu z baraku, po drodze do szpitala polowego, Mitchell zatrzymał się i odwrócił do Ramireza i Browna.

- Myślicie, że popełniłem błąd?
- Ależ skąd – odparł Ramirez. – Niech pan nie da tej babie jeździć po sobie. Ona już taka jest. Wszystkich wpienia.
- A ty, co sądzisz, Marcus? Nie wyglądasz na przekonanego.
- Nie uważam, żeby to był błąd, ale...
- Ale?
- Wie pan, że siedzą nam na karkach. Obserwują wszystko, co robimy. Jeśli okaże się, że ma pan jakieś uprzedzenia, od razu się o tym dowiedzą.

Mitchell pokiwał głową.

- Stara śpiewka: nie pozwól, by stało się to sprawą osobistą. Wiem. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego...
- Zrobił pan, co trzeba, kapitanie – ocenił Ramirez. – Słyszał pan, co powiedział pułkownik. Czego w końcu oczekiwali? Gdyby faktycznie tak się przejmowali pana uprzedzeniami, nie przydzieliliby panu dowództwa nad tą akcją.
- No tak. Cóż, nie pałamy miłością do CIA. Z wzajemnością. To nie poprawi naszych relacji. Myślę, że właśnie z tym Grey ma problem. Postawiłem ją w niezręcznej sytuacji.
- Jak już pan powiedział, wszyscy jedziemy na tym samym wózku – wtrącił Brown. – Ci szpiedzy też to w końcu skapują. Przejdzie im.

Dotarcie do szpitala zabrało kolejnych piętnaście minut. Kiedy już się tam znaleźli, Brown i Ramirez poszli z Diaz, żeby napić się czegoś ciepłego. Mitchell tymczasem zajrzał do Rutanga.

Jego przyjaciel siedział na łóżku, całkiem przytomny. Miał podłączoną kroplówkę. Pielęgniarka oznajmiła, że pobrano mu już krew i skierowano na prześwietlenie – z powodu obrażeń głowy i twarzy.

- Hej, Tang, jak leci? – zagadnął Mitchell, starając się podnieść go na duchu.
- Scott, ja mam już dość. Dobij mnie.
- Chyba przestaje działać to, czym cię naszpikowali. Oczy masz już normalne.
- Nie zmieniaj tematu. Mówię ci, że mam dość.
- Dość czego? Srania do kaczki?
- Najpierw Filipiny, teraz to...
- Dwie misje, które się nie udały. Na ile udanych? Setkę? To jak z lataniem samolotem.

Słyszysz się czasami o katastrofach, i co z tego?

– To właśnie stale powtarza mi mój kuzyn. Drań dochrapał się już pułkownika

– Nie żałuj mu. Ale chyba mówiliśmy o tobie.

Rutang przytknął oczy.

– Kiedy mnie bili – odezwał się – myślałem tylko o Mandy i dzieciakach. O tym, jaki jestem samolubny, robiąc to wszystko. O tym, że tracą mnie wtedy, gdy jestem im najbardziej potrzebny. Przecież ostrzegano nas przed zakładaniem rodziny.

– Głupia wymówka.

Rutang otworzył oczy.

– To czemu każdy tu jest singlem albo rozwodnikiem? Spójrz tylko na siebie.

– Rutang, nie czas na takie decyzje – powiedział naburmuszony Mitchell. – Skup się na tym, żeby dojść szybko do zdrowia.

– Jak sobie chcesz – mówiąc to, jego przyjaciel odwrócił wzrok.

– Słuchaj mnie, bracie – podjął kapitan. – Przyjdą tu jutro i będą cię pytać o milion rzeczy. Możesz coś dla mnie zrobić?

– Co takiego?

– Nie kombinuj. Odpowiadaj na pytania. Ludzie, dla których pracuję, nie należą do cierpliwych.

– A dla kogo pracujesz?

– Dla tych niecierpliwych ludzi.

– Nie narobię ci wstydu. Jest nawet coś, co muszę im powiedzieć. Drobiazg, ale w końcu nigdy nic nie wiadomo. Kiedy sekcja naszego dowódcy podeszła już tych handlarzy bronią, włączyli nasłuch i udało im się podsłuchać rozmowę handlarzy. Mówili coś o „Ataku Smoka”. Powtarzali to kilkakrotnie.

– To już coś. Pewnie kryptonim ich operacji. Może ludzie z wywiadu będą mogli ją wyśledzić.

– Mam nadzieję. Umieraliśmy tam, próbując powstrzymać tych drani.

– Twoi ludzie nie zginęli nadaremnie, dzięki tobie.

– Żaden ze mnie bohater, Scott.

– Mam nadzieję, że nie. Jak byśmy wtedy wyglądali?

Rutang pokręcił głową.

– Powinieneś popracować nad swoimi umiejętnościami rozweselania.

Mitchell pozwolił sobie na uśmiech.

– A ty lepiej popracuj nad wyzdrowieniem.

ROZDZIAŁ 14

Posiadłość Mitchellów Piąta Aleja Youngstown, Ohio październik 2011

Mitchell zaparkował wypożyczony samochód przed starym budynkiem. Upewnił się, że stanął przynajmniej dwa metry od skrzynki pocztowej, po czym wysiadł i z bagażnika wyciągnął wojskowy worek na rzeczy.

Ojcu podskoczy ciśnienie, gdy dowie się, że jego syn wypożyczył zagraniczny samochód zamiast rodzimego produktu GM. Ojciec Mitchella spędził trzydzieści lat w fabryce General Motors w Lordstown, w końcu awansując aż na kierownika zmiany. Wpajał Scottowi swoje poczucie lojalności wobec ludzi, produktów i idei.

W tej jednak kwestii Mitchell wykazywał większą lojalność wobec własnego portfela, a na japońca miał zniżkę. Chociaż członkowie Ghost Recon dostawali premie oraz dodatki na odzież i jedzenie, jednak nieustannie ratując świat przed zagładą, zarabiali niecałe sześćdziesiąt tysięcy rocznie. Oczywiście miał mało wydatków, przytulne gniazdko i zapewnioną emeryturę, jednak w czasach niestabilnej sytuacji ekonomicznej należało oszczędzać.

Żaden z tych argumentów nie działał na jego ojca.

Mitchell zamknął bagażnik i zerknął na zegarek: szesnasta trzydzieści. Spóźnił się trzydzieści minut. Wszystko przez linie lotnicze. Wziął głęboki oddech przez nos. Jakie czyste powietrze. Dobrze znowu być w domu.

Spędził tu krótkie wakacje w 2009 roku. Był zadowolony ze swojej pracy w Erytrei. Rok później był już na Kubie, zwalczając kolumbijski narkoterroryzm. Zasłużył sobie na kolejną Srebrną Gwiazdę i zdecydował na pozostanie na stanowisku dowódcy sekcji Ghost Recon, mimo że oferowano mu awans i podwyżkę. Wybrał walkę zamiast ślęczenia przy komputerze. Po zakończonych akcjach wracał do Fort Bragg, gdzie pracował jako szkoleniowiec. Podobało mu się to, że robi coś dobrego dla innych.

W tym roku miał już za sobą uwieńczone nadspodziewanym powodzeniem misje w Korei Północnej i w Kazachstanie. Choć nadal trzymał się z dala od polityki, która zagrażała

bezpieczeństwu niemalże każdego zadania, denerwowało go, że wielkimi sukcesami Duchów nie można było podzielić się z opinią publiczną.

Ruszył długą ścieżką w kierunku domu. Piętrowy budynek w stylu neokolonialnym powstał w 1920 roku. Zdobily go białe gonty i amerykańska flaga powiewająca przy drzwiach garażowych. To był dom, który Mitchell pamiętał z dzieciństwa. Z biegiem lat budynek sprawiał wrażenie coraz mniejszego. Co prawda miał cztery sypialnie i dwie łazienki – drugą z nich tata Scotta wybudował ponad dwadzieścia lat temu. W ostatnich latach ogroził też całą posiadłość białym płotkiem. Ojciec pochodził z małego miasteczka, które na dobre ukształtowało jego sposób postrzegania świata. „Teraz żyję sobie jak król” – mawiał, zachwycając się płotem.

Mitchell wspiął się po schodach na ganek. Jego uwagę przykuły głosy dobiegające z telewizora, przez co potknął się o zdalnie sterowany samochodzik. Zabawka pewnie należała do jego siedmioletniego siostrzeńca, Brandona, któremu jeszcze nie wpojono surowych zasad dziadka w kwestii prawidłowego parkowania.

Mitchell delikatnie odsunął nogą samochód i pchnął ciężkie drewniane drzwi.

– Armia Stanów Zjednoczonych! Odstawcie alkohol i wyjdźcie z rękami w górze! – wykrzyknął.

Kiedy wszedł do przedpokoju, powitały go niezmordowane tykanie stojącego na podłodze zegara taty oraz zapach wiórów i wełny, który zawsze przepełniał pokoje.

Jego siostra, Jennifer, która wolała, kiedy mówił do niej Jenn, wybiegła z otwartymi ramionami z kuchni.

– Scott! – wykrzyknęła.

Była najmłodsza z całej czwórki rodzeństwa. Miała zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Na jej widok zdumiał się, jak bardzo wychudła. Kiedy ostatnio ją widział, tuż po urodzeniu Lisy, ważyła jakieś piętnaście kilogramów więcej. Kiedy była nastolatką, zawsze siedziała cicho jak mysz pod miotłą, z opuszczonym wzrokiem. Przy jej stu pięćdziesięciu dwóch centymetrach wzrostu można było jej nie zauważyć. Kiedy urodziła dziecko, stała się zupełnie inna – głośna i wygadana.

Teraz była jeszcze chudsza niż przed ciążą. Nim zdążył ją uścisnąć, objęła go tak mocno, że omal nie zwrócił zjedzonych w samolocie orzeszków.

Kiedy już wypuściła go z uścisku, przejechała ręką po jego włosach.

– Posiwiałeś – powiedziała.

– Eee, to jakaś farba czy coś takiego – wymamrotał.

– Starzejesz się, Scott.

– Dzięki za zwrócenie uwagi. Omal nie zabiłem się przez ten samochód Brandona.

– Nie Brandona, lecz Gerry’ego.

Mitchell parsknął śmiechem. Gerry był mężem Jenn. Dobrze zarabiał jako projektant oprogramowania. Mieszkali w północnej Kalifornii. Ich dom miał dwa tysiące pięćset metrów

kwadratowych i kosztował miliony. Pomimo smykałki do biznesu i ogromnego zaangażowania w swoją pracę Gerry ciągle kochał zabawki. Był wiecznym dzieckiem.

– No to gdzie on się ukrywa? – zapytał Scott. – Muszę go aresztować za próbę morderstwa.

– Cicho bądź. Słuchajcie, Scott przyjechał!

Poszedł za nią do kuchni, gdzie, jak oczekiwał, Tommy i Nicholas siedzieli przy piwie za barem, oglądając mecz Buckeyesów na małym, zaledwie trzynastocalowym telewizorze taty. Kupioną niedawno plazmę ojciec zamontował w swojej sypialni.

Nicholas, który na nosie miał modne plastikowe okulary, był inżynierem mechanikiem i wykładał na Uniwersytecie Centralnej Florydy.

Tommy nie miał głowy do książek i zawsze pracował fizycznie. Przez jakiś czas razem ze Scottem pracowali jako pomocnicy u tego samego mechanika samochodowego w Youngstown. Zakład ten nosił teraz nazwę Serwis Samochodowy Mitchella i należał do Tommy'ego.

– Baaczność! – krzyknął Nicholas, który był najstarszy po Mitchellu. – Kapuściany głąb wchodzi na pokład!

Scott wszedł za bar i mocno potrząsnął dłonią brata. Uścisnęli się, jak to zwali, „po męsku”, bez zbytnej poufałości.

– A oto i on! – odezwał się Mitchell, kiedy trzydziestojednoletni Tommy wstał i wyciągnął dłoń. – Ostatni amerykański kawaler.

– To chyba nie o mnie – odparł Tommy, poklepując go po plecach. – Raczej o tobie.

– Ja poślubiłem wojsko.

– Widzisz, Scott, musisz wiedzieć, że moja przyszła żona jest znacznie ładniejsza od twojej.

– Starczy, żeby jakaś kobieta zechciała z tobą uprawiać seks, a już dasz się jej wciągnąć w świat pieluch i przejażdżek rodzinnym kombi – mówiąc to, Mitchell poklepał Tommy'ego po świeżo wyhodowanym brzuszku.

Nicholas i Jenn wybuchnęli śmiechem. Tommy tylko zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Czepiaj się swojej fryzury – odparował tylko, po czym wrócił do oglądania meczu.

Mitchell miał jak zwykle klasycznego języka marines.

– Gdzie tata? – zapytał Jenn.

– Jest w swoim warsztacie.

– O której musimy tam jutro być?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się Tommy.

– Dlaczego pytasz? Masz inne plany? Czy jesteś tak zajęty, że nie możesz uczestniczyć w ślubie własnego brata?

– Jeśli chcesz znać prawdę, to miałem problemy z upchnięciem ceremonii w moich planach... – przyznał Scott. – Ale za żadne skarby bym jej nie przepuścił – dodał

łagodniejszym tonem.

– Jesteś moim świadkiem, więc musisz być w kościele o ósmej trzydzieści.

– Ósma trzydzieści. Zrozumiałem. Przybędę na czas. W końcu nie powiedzieliście, gdzie jest Gerry. A co z Angelą? – zapytał.

Angela była od pięciu lat żoną Nicholasa. Pracowała na uczelni i jak ognia unikała pytań o dzieci.

– Zajmuje się kuchnią, więc poszli na zakupy, a my czekaliśmy tu na ciebie. Będzie gulasz.

– Myślałem, że jesteś weganinem.

– Jasne, trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku.

– Oszukujesz. – Scott chciał wyjść z kuchni, kiedy Nicholas wepchnął mu do ręki piwo.

– Dobrze cię widzieć, Scott – powiedział. Głos łamał mu się ze wzruszenia.

– Ciebie też. Idę przywitać się z tatą.

Nicholas parsknął śmiechem.

– Powodzenia. Jest dziś nieco drażliwy.

– Akurat dzisiaj? – Mitchell zrobił do niego oko i wyszedł przez rozsuwane oszklone drzwi. W ogrodzie brązowozłote i pomarańczowe liście szeleściły pod jego stopami.

Warsztat ojca znajdował się w garażu na dwa samochody, który on sam zbudował rok po śmierci matki Scotta. Spędził tam wiele weekendów, tnąc, obrabiając, przecinając i szlifując. Wszyscy twierdzili, że to świetna terapia. Mitchell miał zaledwie czternaście lat, kiedy umarła jego mama. Jej śmierć odczuła boleśnie cała rodzina. Urodziła się na Łotwie w okręgu Salus. Mitchell ciągle pamiętał, jak mówiła z obcym akcentem: „Musisz odrabiać lekcje. Musisz się uczyć. Musisz wykorzystać każdą możliwość, którą przyniesie ci życie!”

Sama ciężko pracowała, żeby zostać farmaceutką. Kiedy odeszła, Scott Mitchell przejął rolę opiekuna młodszego rodzeństwa, podczas gdy tata brał nadgodziny, żeby utrzymać rodzinę.

Scott podszedł do uchylonych, bocznych drzwi.

– Tato?! – zawołał, wchodząc do środka.

Jego ojciec, William David Mitchell, miał na sobie dzinsowe ogrodniczki, opinające okazałej wielkości brzuszki. Z płaskim ołówkiem stolarskim za uchem, z uwagą przyglądał się długiej sosnowej desce, leżącej na stole. Podniósł wzrok. Miał na twarzy krótki biały zarost.

– No proszę. Syn marnotrawny wrócił do domu w wynajętym zagranicznym samochodzie.

– Nie przesiedziałeś tu całego dnia, co?

– Skądże. Widziałem, jak podjechałeś.

– A potem? Uciekłeś? Unikasz mnie?

– Ciebie? – Zachichotał pod nosem. – Wiesz, że nie lubię tych wszystkich powitań i

uścisków. Zrobiło się przez was cholernie głośno w chałupie.

– Co tam dłubiesz?

– Terrarium dla żółwi.

Mitchellowi opadła szczęka.

– Słucham?

Ojciec się uśmiechnął.

– Żartuję sobie. Twoja siostra przekazała mi kilka twoich e-maili. Tyle wolnego czasu spędziłeś ze mną w tym warsztacie, a teraz strugasz jakieś domki dla piesków i żółwi?

– Niedawno zrobiłem całkiem ładny mebel dla dowódcy mojej kompanii. Skrzynię, w której będzie mógł przechowywać pamiątki z wojska. Nawet ją wyrzeźbiłem.

– Ja również pracuję nad ładną skrzyneczką. Zaoszczędzi wam kupę kasy, kiedy wykituję.

– O czym ty mówisz? Chyba nie... budujesz własnej trumny?

Otworzył szeroko oczy.

– Ależ tak.

– Tato, czy chcesz mi coś przez to powiedzieć? Myślałem, że twoje badanie wysiłkowe dobrze wyszło.

– Oczywiście.

– To co ty wyprawiasz? Tommy bierze jutro ślub. Czy myślisz, że...

– Myślę o waszej mamie. Tęsknię za nią. To wszystko. I jestem bardzo szczęśliwy z powodu twojego brata.

– Nie uważasz, że to troszkę dziwne?

– Dziwne? Raczej rozsądne. Zaoszczędzimy kasę, a ja odejdę w wielkim stylu, w trumnie, którą sam zrobiłem.

– Skoro tak mówisz... – Mitchell podszedł do ojca i uściśnął go niezręcznie. – W domu przygotowują gulasz – zmienił temat.

– Wiem. Zjemy, wypijemy i opowiesz nam o swoich misjach. Może spotkałeś jakąś piękną dziewczynę, która była podwójną agentką?

Mitchell się zaśmiał.

– Tato, to nudne jak flaki z olejem.

– Powiedzmy. Ale, gdy już mowa o pannach... Wiesz, że naręczona Tommy'ego zatrudniła księgową i zaprosiła ją na ślub.

– A co ja mam do tego?

– Bo to Kristin.

– Coś takiego...

– Nie widziałeś jej od bardzo dawna.

– Myślę, że ona wcale tego nie przeżywa.

– Cokolwiek między wami zaszło, przeminęło z wiatrem. Ciągłe jest samotna. Pracuje też

na siłowni jako instruktor od czegoś tam.

– Skąd wiesz? Rozmawiałaś z nią?

– Rozliczała mi w tym roku podatki. Przydała się.

– Tato, wiesz, jak to jest. Nic z tego nie wychodzi.

– Może któregoś dnia. Chyba jestem samolubny, Scott. Co mogę ci powiedzieć? Może się w niej zakochasz, zostawisz wojsko i wrócisz do domu, żeby twój staruszek mógł się nacieszyć kilkoma latami ze swoim pierworodnym synem.

– Taki masz plan?

Ojciec poruszył brwiami, zmarszczył je i spojrzał na butelkę Scotta.

– A ty przychodzisz tu tylko z jednym piwem?

– Daj spokój, tato. Chodźmy. Swoją trumnę możesz robić kiedy indziej.

– Dobra, ale na weselu nie ignoruj Kristin. Zatańcz z nią. Porozmawiaj.

Mitchell skinął niechętnie głową.

– Postaram się. Mam nadzieję, że obejdzie się bez rozlewu krwi.

ROZDZIAŁ 15

**Posiadłość Mitchellów
Piąta Aleja
Kingstown, Ohio
październik 2011**

Rozmowa przy obiedzie skupiła się głównie na Tommym, który był na tyle mądry, by wyprawić swój wieczór kawalerski tydzień przed ślubem. Trzeźwiał potem trzy dni, o czym poinformowano Scotta. Dobrze, że nie wrócił do domu z nowymi tatuażami, tylko z gigantycznym kacem.

Po gulaszu wypili kawę i zjedli trzywarstwowy tort czekoladowy, który, jak twierdziła Jenn, ważył prawie dwa i pół kilo. Mitchell unikał odpowiedzi na pytania o wykonywaną przez siebie pracę. Powiedział tylko, że nie jest to tak piękne, jak sobie wyobrażają.

W końcu położyli się spać. Mitchell miał spędzić noc w swoim starym pokoju. Zgodnie z jego przewidywaniami, tata niczego tam nie zmienił. Na pomiętych, wyblakłych plakatach, wiszących na przeciwległej do drzwi ścianie, widnieli Metallica i Michael Jordan. Konsola do gier Atari 2600 leżała na starym, zakurczonym zencie Mitchella. Plakat rekrutacyjny z Wujem Samem wciąż był przypięty pinezkami do ściany nad łóżkiem.

Tata nie tknął zresztą pokoju żadnego ze swoich dzieci. Zapewne dzięki tym wszystkim pamiątkom nie czuł się tak samotny. Jenn sprzeczała się z nim o to od lat. Chciała, żeby pozbył się staroci, sprzedał chałupę i kupił mały domek na Florydzie. Tata nie miał najmniejszego zamiaru tego robić. Zostało mu jeszcze parę lat do emerytury. Mając pracę i swój warsztat, był zbyt zajęty, żeby o tym myśleć.

Nawet kolekcja komiksów Mitchella leżała w plastikowych skrzynkach po mleku w jego szafie. Przeciągnął palcem po stosie i wyciągnął *Sierżanta Rocka*, a potem *The Num* Marvella. Położył je na nocnym stoliku.

Rozebrał się do bokserek i koszulki. Siadł na łóżku i rozejrzył się dokoła. Kiedy był małym chłopcem i spał w tym pokoiku, nigdy nie przypuszczał, że będzie podróżował po całym świecie. Był chłopakiem z małego miasteczka, który wstąpił do armii, bo nie miał pieniędzy na studia. Chciał przeznaczyć swój żołd na czesne, kiedy tylko opuści wojsko. Na ten sam pomysł wpadło tysiące innych chłopaków.

Wojskowe życie pasowało jednak Mitchellowi. Przyjacielska atmosfera, lojalność i duma, jaką odczuwał, były całkowicie odmienne od tego, z czym zetknął się w cywilu.

Pamiętał tę noc w szpitalu, gdy matka przemawiała do niego, ściskając jego dłonie. „Scott, pamiętaj, jesteś wyjątkowym chłopcem. Nie jest ci pisane zwykłe życie. Zrób wszystko, co w twojej mocy, żeby wykorzystać je jak najlepiej. Wiem, że tata i ja będziemy z ciebie dumni”, powiedziała. Kilka dni później rak odebrał jej życie.

Nigdy nie zapomniał tych słów i nieraz myślał, że jego matka przeczuwała, co się z nim stanie.

Mitchell wyłączył górne światło, zapalił lampkę przy łóżku i zabrał się do czytania przed snem.

Mitchell obawiał się dwóch rzeczy związanych z weselem. Pierwszej z nich miał za chwilę stawić czoło.

Ubrany w mundur, stał w sali bankietowej obok państwa młodych. W jednej dłoni trzymał kieliszek szampana, w drugiej mikrofon. Odchrząknął.

– Proszę wszystkich o uwagę. Jestem Scott, starszy brat Tommy’ego. Ci z was, którzy mnie znają, wiedzą, że nie jestem najlepszym mówcą. My, żołnierze, zostawiamy takie rzeczy politykom. Chciałbym jednak podzielić się z wami pewną historią. – Tu Mitchell wyciągnął z wewnętrznej kieszonki marynarki kilka karteluszków i rzucił okiem na swoją ściągę. – Kiedy Tommy chodził do trzeciej klasy, miał bardzo dużo prac domowych do odrabiania. Siadał przy stole w kuchni i płakał nad nimi.

Te słowa wywołały śmiechy wśród żeńskiej części zgromadzonych.

– Nick i ja nabijaliśmy się z niego – podjął Scott. – Wreszcie jednak zaczęliśmy mu tłumaczyć, że czas, który spędził, płacząc nad zadaniami, mógł wykorzystać na ich zrobienie. Chcę przez to powiedzieć, że Tommy był zawsze najwrażliwszy z nas. Tata uważał go za nerwusa. Może faktycznie mój braciszek zbyt często się denerwuje, ale bez względu na to, co robi, zawsze wkłada w to całe serce. Dlatego nie wątpię, że on i Rebeka będą naprawdę dobrym małżeństwem. Na wszystkich członkach naszej rodziny zawsze można polegać, o czym Rebeka zapewne już się przekonała. Inaczej nie wychodziłaby za tego głąba. Tommy stał się wspaniałym mężczyzną, który będzie teraz wspaniałym mężem. Tommy, Rebecca. Życzę wam dużo szczęścia i miłości.

Ledwo Mitchell dopił swojego szampana, ponownie rozbrzmiała muzyka. Ktoś złapał go za rękę.

– Ty draniu, popłakałam się przez ciebie.

Spojrzał w zapłakane oczy Kristen Fitzgerald. Jedna rzecz załatwiona, czas na kolejną.

– Zatańcz ze mną – zażądała, ciągnąc go na parkiet, nim zdążył odstawić pusty kieliszek.

Dzięki Bogu, DJ puścił właśnie coś wolnego. Scott mógł tylko kołysać się miarowo. Czuł, że szampan i perfumy Kristen uderzają mu do głowy.

Unikał jej przez cały wieczór, pomimo nalegań ojca. A i ona nie kwapiła się, żeby z nim porozmawiać.

Niestety to spotkanie było nieuniknione.

Jak zwykle wyglądała wspaniale. Jej jasnorude włosy ułożone były w kok. Brylantowe kolczyki lśniły intensywnie. Kasztanowa suknia z szalem podkreślała jej wysportowaną sylwetkę.

– Ładnie pachniesz – skomentowała.

– Wziąłem prysznic.

– Nienawidzę cię – wypaliła nagle.

– Wiem.

– Tylko nie depcz mi po butach. Kosztowały ponad sto dolarów.

– Dobra. Cała drżysz.

– Zamknij się – ucięła. W tej chwili jej wzrok padł na zdobiące pierś Mitchella orderki.

– Na co patrzysz? To tylko medale.

– Jasne. – Przynęła się do niego i złożyła głowę na jego piersi. – Czuję się tak, jakbyśmy znów byli na balu maturalnym – stwierdziła.

– Zeszłej nocy spałem w moim starym pokoju. Czy mogę zadać ci pytanie? Dlaczego jesteś dla mnie taka miła?

– Nie wiem.

– Cóż, podoba mi się to.

– Naprawdę? Nie przyzwyczajaj się.

– Popatrz na mojego ojca. Gapi się na nas jak sroka w gnat.

– To dobry człowiek.

– Martwię się o niego. Robi trumnę dla siebie.

– Jest ekscentryczny.

Mitchell przytaknął.

– Wiesz co, jeśli się stąd nie ruszymy, zaczną o nas gadać.

– Fakt. Kiedy wylatujesz?

– Jutro rano.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Kiedy to się skończy, idziesz ze mną do domu.

– Idę?

– Kwestionujesz rozkazy?

– Ależ nie.

– To bądź cicho i wysłuchaj moich narzekań. Wierzyć mi się nie chce, że po tylu latach wciąż nie nauczyłeś się tańczyć.

Kiedy wychodzili z sali, byli podchmieleni, ale nie pijani. Pojechali małym, białym

sportowym samochodem do dwupokojowego mieszkania Kristen, w którym były dwa koty.

Kristen lubiła rustykalne meble i pledy w szkocką kratę. Wystrój mieszkania kłócił się z jej wyszukaną suknią i fryzurą.

– Muszę być w domu o siódmej trzydzieści, żeby zdążyć dojechać na lotnisko i oddać samochód – odezwał się Scott.

– Jutro niedziela. Nie martw się. Odwiozę cię.

– Kristen, wiesz, że nie powinno mnie tu być. Nie wyjdzie to nam na dobre.

Rozpuściła włosy i poruszyła głową.

– Nie. To wcale nie tak.

Godzinę później leżeli w ciszy, patrząc w sufit. Cienie przemieszczały się po nim w rytm przejeżdżających ulicą samochodów.

Kristen nachyliła się nad Scottem. Dotknęła blizny na jego brzuchu.

– Co ci się stało?

– Głupi wypadek w stolarni.

– Wygląda dziwnie, jak jeden z tych azjatyckich tatuaży.

– Dlaczego nie wyszłaś za mąż? – zmienił szybko temat.

– Nie wiem. Może z tego samego powodu, dla którego ty się nie ożeniłeś.

– Czy twoja praca też każe ci wyjeżdżać na całe lata z domu?

– Wiesz, co mam na myśli – szepnęła.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Taki nasz los.

– Mój tata sądzi, że znowu się w tobie zakocham, odejdę z wojska i tu zamieszkam.

– Nie wydaje mi się, żeby tego dla ciebie chciał.

– Na pewno.

Pokręciła głową.

– W kwietniu, kiedy przyjechałam do waszego domu, żeby podrzucić mu wyliczone podatki, zastałam go w stolarni. Wpatrywał się w twoje zdjęcie. Powiesił je na ścianie nad stołem.

– Nic tam nie wisi.

– Ale wisiało. Twój tata pokazał mi czerwono-biało-niebieską wstążkę na twoim mundurze. Powiedział, że to Srebrna Gwiazda. Twierdził, że musiałeś zrobić coś naprawdę wyjątkowego, żeby ją otrzymać.

– To dlatego patrzyłaś na moje medale?

Skinęła głową.

– Mamy takie powiedzenie w biurze. Wiesz, dlaczego Edgar J. Hoover zatrudnił tylu prawników i księgowych, kiedy tworzył FBI? Bo jesteśmy skrupulatni, dociekliwi i wytrwali.

– Co próbujesz przez to powiedzieć?

– Po rozmowie z twoim ojcem weszłam do internetowego rejestru Srebrnych Gwiazd. Twoje nazwisko umieszczone jest tam dwukrotnie.

– Serio?

– Potem kliknęłam odsyłacz do szczegółowych informacji.

– Naprawdę? – Mitchell znieruchomiał. Czyżby armia zostawiła otwartą furtkę? Niemożliwe.

– Tak, ale były „zastrzeżone”.

Mitchell odetchnął z ulgą.

– Wszystko jest zastrzeżone.

– Zaslugujesz na coś więcej niż tylko medale.

– Tu nigdy nie chodziło o zasługi.

Przysunęła się do niego i przejechała dłonią po jego policzku.

– Scott, miałam sporo czasu, żeby przemyśleć wszystko, co się z nami stało.

– Ja też. Więcej niż sobie wyobrażasz.

– Zawsze zastanawiałam się, dlaczego. I właśnie wtedy, w kwietniu, kiedy rozmawiałam z twoim tatą, w końcu znalazłam odpowiedź.

– Naprawdę?

– Tak, dlatego chciałam, żebyś tu przyszedł. – Złapała jego dłonie.

– Tylko nie płacz.

– Chcę, żebyś wiedział, że już rozumiem – odezwała się łamiącym się z przejęcia głosem.

– Kiedyś sądziłam, że jesteś samolubny. Kochałeś armię bardziej niż mnie. Ale to wcale nie o to chodziło, prawda?

Jego oczy zapłonęły.

– Czasami zastawiam się, kto by się tym zajmował, gdyby nie ja.

– Wiem. Jak nie ty, to kto?

– No właśnie.

– Większość ludzi nie ma pojęcia, co znaczy taka służba. Ja też nie miałam.

Scott skinął głową.

– Czasami jest bardzo ciężko.

– Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić. – Ścisnęła jego dłonie. – Ale posłuchaj. Nie możesz zrezygnować, bo wszyscy cię potrzebujemy.

Podrzuciła go pod dom dziesięć po siódmej. Zanim wszedł do środka, żeby pożegnać się z rodziną, Mitchell zakradł się, jak na żołnierza sił specjalnych przystało, do stolarni ojca.

Podszedł do stołu. Na brązowej ścianie zobaczył gwóźdź i prostokątny ślad. Na nieco ciemniejszym miejscu nie było śladu kurzu.

Na pewno coś tam wisiało. Mitchell otworzył jedną z szuflad i znalazł w niej swoje zdjęcie.

A więc tata przypomniał sobie o zdjęciu w ostatniej chwili i pobiegł do stolarni, żeby je ukryć. Był dumny ze swojego syna, ale nie chciał tego okazać.

Mitchell włożył zdjęcie do szuflady. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Kristen dała mu znacznie więcej, niż sądziła.

Tej wizyty w domu nigdy nie zapomni.

ROZDZIAŁ 16

Kwatera Główna 31. Grupy Armii (NMR) Biuro Jednostek Sił Specjalnych Xiamen, Chiny luty 2012

Jednostki sił specjalnych NMR* znane były pod kryptonimem Latające Smoki, dlatego też pułkownik Armii Ludowo-Wyzwoleńczej Xu Dingfa zaproponował jeszcze w 2008 roku, żeby operację nazwać „Atak Smoka”. Jego koledzy z dawnego oddziału sił specjalnych mieli odgrywać kluczową rolę w czasie ataku na Tajpej i przez cały czas nazwa ta nie uległa zmianie.

W tej chwili siedział w swoim biurze, popijając poranną herbatkę ze swoim wielce szanownym kolegą, generałem dywizji Chenem Yi. Dowodził on całym regionem. Tylko kilku wybranych wiedziało o wizycie Chena. Xu doskonale rozumiał, dlaczego generał nie chciał omawiać spraw w e-mailach ani przez telefon.

– Tak jak przewidziałeś, nadchodzi właściwy moment – odezwał się Xu, wskazując brodą na leżącą na jego biurku gazetę „Beijing Daily”. – Wczoraj rano zakończono negocjacje.

Chen uśmiechnął się porozumiewawczo. Jego lewe oko niemal się nie poruszyło.

– Wiosna zawita w tym roku znacznie wcześniej.

Tajwańscy politycy ogłosili, że zawarli umowę ze Stanami Zjednoczonymi na wymianę trzech okrętów podwodnych napędzanych silnikami Diesla na jeden odnowiony okręt podwodny o napędzie atomowym klasy Ohio z wyrzutniami pozwalającymi na wystrzelenie serii stu pięćdziesięciu czterech pocisków balistycznych Tomahawk. Program nie wymagał przebudowy bazy Chingshan – niedawno ukończonej tajnej tajwańskiej bazy okrętów podwodnych, wykutej w skałach wschodniego wybrzeża. Po raz pierwszy Stany Zjednoczone zdecydowały się na sprzedaż atomowego okrętu podwodnego obcemu państwu, choć Xu wiedział, że sprzedaż musi jeszcze zostać zatwierdzona przez Kongres.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, rząd chiński uzna transakcję za prowokację i rozmieści dodatkowe wojska w bazach od Szanghaju po Xiamen.

* ang. Nanjing Military Region – Rejon Militarny Nankin.

Natychmiast rozpoczną się manewry z użyciem ostrej amunicji oraz lądowo-morskie operacje zaczepne.

Poza tym wprowadzenie w życie strategii RMA* – odzwierciedlającej dążenie wojska do stworzenia sił mniejszych liczebnie, a bardziej zaawansowanych technicznie – zaowocowało sformowaniem wielu nowych jednostek, wykorzystujących najnowocześniejszą technologię do atakowania systemów łączności i zakłócania systemów komputerowych wroga, naprowadzających pociski.

Takich właśnie mniejszych, a lepiej wyposażonych jednostek, wraz z oddziałami sił specjalnych, dowodzonymi przez Xu, potrzebowały Wiosenne Tygrysy, by rozpocząć pierwszą fazę swojego planu.

Tygrysy urodzone wiosną osiągały samodzielność po upływie dwóch lat, na trzecią wiosnę – jednak Xu z grupą czekali dużo dłużej, by postawić na swoim wbrew tchórzom z Pekinu. Zbliżał się jednak czas walki Wschodu z Zachodem o panowanie na Pacyfiku.

– Towarzyszu generale, będziemy nadal dokładnie monitorować całą sytuację. Ufam, że poinformujecie mnie, kiedy nadejdzie czas na przygotowania do ostatniego posiedzenia.

– Wyślę tego samego gońca. – Chen spojrział na fotografię stojącą na biurku Xu. – Możecie powiedzieć rodzicom, że to już niedługo.

Xu skinął głową. Po całonocnym picu całkiem niepotrzebnie opowiedział swoją historię generałowi, którego z kolei motywowała do działania długoletnia frustracja poczynaniami rządu. Chen wstał.

– Mam dziś dużo pracy, a po południu lecę, żeby spotkać się z zastępcą dyrektora.

Wicedyrektor Centralnej Komisji Wojskowej Wang Ya był doradcą najstarszych rangą członków armii. Wang pełnił funkcję *zhengzhi junguan*, czyli oficera politycznego. Był absolwentem Chińskiej Wojskowej Akademii Technicznej i członkiem Rady Państwa, wybranym na trzynastym Ogólnochińskim Zgromadzeniu Przedstawicieli Ludowych (OZPL). Z tym najpotężniejszym sprzymierzeńcem grupy Chen będzie rozmawiał w bazie wojskowej w zachodniej części Pekinu. Wang od początku zapewniał Tygrysom silne, choć milczące wsparcie. Kiedy nadejdzie ich czas, wpływy Wanga będą nieocenioną pomocą.

– Towarzyszu generale, dziękuję za przyście. Będę czekał na wiadomość.

– Doskonale. I pamiętajcie, kiedy nadejdzie czas, trzeba będzie działać błyskawicznie.

– Rozumiem, towarzyszu generale.

Odprowadził generała do wyjścia. W sekretariacie czekał na niego kapitan Fang Zhi.

Fang wszedł pośpiesznie do biura.

– Słyszałeś wiadomości? – zapytał od progu.

Xu wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wiele godzin temu, przyjacielu.

* Revolution in Military Affairs – rewolucja myśli wojskowej. Koncepcja zmian w sposobie prowadzenia działań wojennych w oparciu o postępy technologiczne.

– Myślisz, że nadszedł już czas?

Xu się zawahał.

W ciągu ostatnich czterech lat zaprzyjaźnili się z Fangiem. Żaden z nich nie odniósł sukcesu na olimpiadzie, ale to właśnie tam narodziła się ich przyjaźń.

Kiedy już załatwił Fangowi przydział do armii chińskiej, przedstawił go swoim kolegom. Fang zaś podzielił się z nimi wiedzą o działaniach i taktyce sił specjalnych wojsk amerykańskich i sojuszniczych. Ponieważ jednak Fang pochodził z Tajwanu, Chen i inni przestrzegli Xu, że nie należy mu w pełni ufać.

Skutkiem tego Fang wiedział o istnieniu grupy i znał jej członków, ale nie był wtajemniczony w dokładne plany organizacji. Jego zadanie sprowadzało się do dowodzenia ochroną podczas wszystkich spotkań.

– Czy nadszedł czas? – odpowiedział wreszcie Xu. – Nie wiem. To prawda, że czekamy od dawna, ale muszą zaistnieć odpowiednie warunki. Musimy być cierpliwi.

– Doskonale to rozumiem.

– Chciałbym jednak, żebyś udał się w góry i spróbował zabezpieczyć miejsce na spotkanie, o którym rozmawialiśmy.

– Czy możesz podać dokładną datę i godzinę?

– Jeszcze nie. Ale chcę, żebyś sprawdził, jak szybko mogą nas przyjąć.

– Natychmiast się tym zajmę.

Czując, jak mocno bije mu serce, Fang Zhi wyszedł z biura Xu i wsiadł do swojego brave'a wojownika – nowego samochodu terenowego z napędem na cztery koła, przypominającego mniejszą wersję amerykańskiego hummera. Wóz pomalowano na oliwkową zieleń. Fang z kwatery głównej pojechał na wschód, ku wznoszącym się w głębi łądu górcom.

Wkrótce brukowane drogi ustąpiły bitym. Mijał lodowate potoki i pozbawione liści lasy, które dopiero miały okryć się zielenią w wiosennym cieple. W niektórych miejscach, gdzie drzewa przesłaniały domy, jedynymi śladami cywilizacji były słupy energetyczne i linie telefoniczne ciągnące się wzdłuż drogi.

Droga zaś pięła się coraz bardziej stromo i stawała się coraz bardziej kręta. Nad terenówką zwisały ogromne gałęzie. Fang do tej pory odwiedzał to miejsce jedynie nocą. Teraz miał okazję podziwiać przepiękny wiejski krajobraz. Tu był jego dom.

Żałował tylko, iż Xu nadal mu nie ufa. W tonie głosu przyjaciela dało się słyszeć ukrywane tajemnice. Od czterech lat Fang czekał w nadziei, że w końcu przyjmą go do Wiosennych Tygrysów, traktując jak równoprawnego partnera. Może miał zbyt niską rangę, jednakże był cennym konsultantem w zakresie taktyki, technik i procedur wroga.

Fang wiedział, iż nie powinien mieć o to pretensji do Xu. Jego przyjaciel żył pod ciągłą presją współpracowników. A Fang musiał stale wykazywać swoją wartość i lojalność.

Jechał jeszcze dwie godziny. Wreszcie dotarł do położonej na odludziu doliny, w której wznosił się samotnie zamek Hakka – w otoczeniu stromych gór i gęstych lasów wyrastał z ziemi na podobieństwo czterech silosów raketowych.

Plemię Hakka setki lat temu przybyło z północy Chin. Szczyciło się długą, bogatą historią. Ludzie ci potrafili z gliny, popiołu i wiórów wznosić budowle wysokie na cztery do pięciu pięter.

W miarę jak Fang zbliżał się do zamku, cztery walcowate budynki z dachami przypominającymi kapelusze grzybów rysowały się coraz wyraźniej. Widoczna była też centralna konstrukcja, obejmująca dziedziniec. Na zamku mieszkało i pracowało niemal stu ludzi. Pomieszczenia na parterze przeznaczone były na spiżarnie, kuchnie, jadalnie i sale do spotkań, podczas gdy pokoje mieszkalne znajdowały się na piętrach. Najmłodszy zajmowali górne kondygnacje.

Do zamku wchodziło się przez bramę – podobnie jak w europejskich twierdzach. Fang najbardziej cenił sobie wysokie wrota z kutego żelaza, które stanowiły dodatkowe zabezpieczenie.

To właśnie on zasugerował dobiecie targu z Hakka, by udostępnił swój zamek na potrzeby spotkań grupy. Okolica była odludna, a przez to łatwa do zabezpieczenia. Gdyby doszło do najgorszego, można będzie użyć cywilów jako żywe tarcze.

Co więcej, sówicie opłacani Hakka traktowali każdego członka grupy niczym udzielnego władcę. Jeszcze istotniejsza była ich dyskrecja – trudna do osiągnięcia w innych miejscach.

Fang skręcił na drogę wiodącą w dół. Dzieci bawiące się na poboczu przerwały zajęcia i pobiegly za terenówką.

Nim dotarł do bramy, towarzyszył mu cały tłum dzieciaków. Jeden z czternastu starszych wioski, Huang – siwowłosy, tyczkowaty staruszek w spodniach podciągniętych niemal pod pachy – odpędził czeredę i podszedł do samochodu, by przywitać wysiadającego.

– Nówka? – zagadnął Huang, z podziwem obmacując maskę brave'a warriora.

– Podoba ci się?

– Bardzo.

– Może ci takiego załatwię.

– Nie wierzę.

– Uwierz.

– Skoro tak mówicie... Tymczasem zapraszam do środka na herbatę. Nie przyjmuję odmowy. – Tu Huang uśmiechnął się nieznacznie.

Fang w ślad za nim wszedł na środkowy dziedziniec. Spojrzał na kobiety wieszające pranie na sznurkach rozciągniętych między balkonami.

– Przyjechaliście w sprawie kolejnego spotkania? – spytał Huang, kiedy szli przez dziedziniec.

– Owszem.

– No cóż, reszta starszyny zaczęła wybrzydzać. Poza tym helikoptery za bardzo hałasują.

– Co spowodowało wzrost ceny?

Huang się zatrzymał.

– Tak – przyznał. – Będę też potrzebował takiego samochodu.

Fang stężał.

– Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia.

Skreśli w wąski korytarz, wiodący do jadalni z drewnianymi stołami i kominkiem.

Nim Huang zdążył zaparzyć herbatę, Fang obejrzał się, by upewnić się, że są sami.

Wyszarpnął przytroczoną u boku laskę ze sztylblem. Cofnął się o krok i z rozmachem walnął Huanga w ramię, obalając staruszkę na kolana.

Huang odruchowo sięgnął do rany.

– Fang! – zawołał zaskoczony. – Co robicie?

Fang uniósł laskę, kołysząc nią tuż pod nosem Huanga.

– Przypominam ci, staruszkę, że nam się nie grozi – oznajmił. – Złożyliśmy ci hojną propozycję. Załatwię ci też ten samochód, ale cena pozostaje niezmienna.

– Dobrze, dobrze...

– Powiedz starszynie, żeby nie wybrzydzała, bo i tak mają dobrze. Jeśli zmienią zdanie, trudno przewidzieć, co się może stać.

– Fang, nie musicie tego robić.

– A jednak wydaje mi się, że muszę. Teraz słuchaj. Nie zostanę na herbacie. Przekaż innym, że wkrótce wrócę – mówiąc to, Fang wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i położył go obok siebie na podłodze. – Nie wyłączaj tej komórki. Miej ją cały czas przy sobie. Zadzwoń. Bądź przygotowany. Rozumiesz?

– Tak.

Laska Fanga ze świstem przecięła powietrze. Potem podał dłoń Huangowi. Ten popatrzył na nią, ale w końcu odwzajemnił uścisk.

– No widzisz? – skwitował Fang z szerokim uśmiechem. – Wszystko wróciło do normy.

ROZDZIAŁ 17

**Centralna Komisja Wojskowa (CKW)
Ministerstwo Obrony Narodowej
Pekin, Chiny
kwiecień 2012**

Kapitan Zuo Junping, dwudziestoosmioletni attache wojskowy przy wicedyrektorze Wangu Ya, wyłonił się zza sterty raportów wywiadowczych, by przywitać generała dywizji Chena Yi. Generał przylatywał z Xiamen trzykrotnie w ciągu zeszłego miesiąca, za każdym razem pozostając w Pekinie przez tydzień i codziennie spotykał się z wicedyrektorem.

Fakt, że zastępca dyrektora poświęca tyle uwagi dowódcy jednego regionu wojskowego, mógł wydać się dziwny – gdyby nie ostatnie wydarzenia.

Od czasu, gdy miesiąc wcześniej Stany Zjednoczone podały do publicznej wiadomości fakt sprzedaży okrętu podwodnego Tajwanowi, cały region Nankinu pozostawał w stanie najwyższego pogotowia. Biuro dosłownie zalewały informacje wywiadowcze. Tak zwane manewry armii chińskiej w Cieśninie Tajwańskiej i równoczesna dyslokacja wojsk lądowych spowodowały, że Stany Zjednoczone wysłały w to miejsce drugi lotniskowiec. Amerykański prezydent potrząsał szabelką, ostrzegając rząd chiński przed jakimikolwiek wrogimi posunięciami wobec Tajwanu.

W odpowiedzi na to chińskie siły powietrzne przemieściły dywizje myśliwców i bombowców. Zgodnie z zaleceniem wicedyrektora Wanga dowódca chińskiej marynarki wojennej rozkazał dwóm atomowym okrętom podwodnym szybkiego reagowania klasy Shang przepłynąć z bazy Floty Północnej w Qingdao do bazy Floty Wschodniej. Spowodowało to podwojenie liczby okrętów klasy Shang pod dowództwem wiceadmirała Floty Wschodniej Cai Minga, co nie umknęło uwagi internetowego chińskiego dziennika „PLA Daily English News”.

Dziś, po miesiącu niepokojów, prezydent, wiceprezydent i premier Tajwanu, najwyraźniej w poczuciu zagrożenia pokazem chińskiej siły, zgodzili się wprowadzić stan wojenny. Wyłuskano chińskich agentów i aresztowano. Jednocześnie rząd i stronnictwo Zielonych, na które składały się Demokratyczna Partia Postępowa, Solidarna Unia Tajwanu i Tajwańska Partia Niepodległościowa, zagroziły ogłoszeniem całkowitej niezawisłości

Tajwanu od Chin kontynentalnych.

Amerykanie mieli rację, uznając, że taka sytuacja przypomina beczkę prochu.

Zuo wprowadził generała do biura wicedyrektora, zamknął za nim drzwi i wrócił na miejsce. Strzelił palcami i pomyślał, że powinien jakoś uspokoić bicie serca. To tylko dzień jak co dzień. Nie ma się czym przejmować. Kiedy się to skończy, wróci do swojego małego mieszkania i odpręży się przy butelce tsingtao.

O ileż prostsze było życie w Stanach Zjednoczonych! Zuo zdobył tytuł inżyniera na szanghajskim Uniwersytecie Jiao Tong. W następnym roku wziął udział w programie wymiany z Uniwersytetem Drexel w Filadelfii, w ramach którego miał zrobić magisterium.

Podczas pobytu w Stanach mieszkał u ludzi, których syn był kapitanem w wojsku. Zaprzyjaźnili się. Co więcej, to, jak Zuo postrzegał Amerykę i jej kulturę, uległo całkowitej zmianie podczas czterech lat studiów. Kraj, który kiedyś opisał w wypracowaniu jako ojczyznę korupcji i egoizmu, stał się czymś całkiem innym.

Jego domem.

Wiedząc, że Zuo wróci do Chin, by spełnić święty obowiązek każdego chińskiego obywatela i odsłużyć swoje w wojsku, przedstawiciele DIA zwerbowali go na agenta operacyjnego. Obiecali, że jeśli popracuje dla nich przez co najmniej sześć lat, pomogą mu w ucieczce i dadzą amerykańskie obywatelstwo.

Zuo przez długie miesiące wahał się z podjęciem decyzji. Wreszcie jednak wyraził zgodę.

Po powrocie do Chin podjął służbę wojskową, jednocześnie wykładając w Chińskiej Wojskowej Akademii Technicznej. Tam odkrył go wicedyrektor Wang. Miał okazję przyglądać się, jak Zuo prowadzi zajęcia z wiedzy o społeczeństwie amerykańskim. Wang był pod wrażeniem jego zdolności krasomówczych i poczucia humoru. Mimo młodego wieku i braku doświadczenia Zuo, wicedyrektor wziął go pod swoje skrzydła i stał się jego mentorem. Każdy sukces Zuo Wang uznawał za własne zwycięstwo.

Niezwykły awans Zuo w szeregach armii chińskiej przerósł najśmielsze marzenia jego amerykańskich mocodawców. Zaoferowali mu przedłużenie kontraktu o kolejne cztery do sześciu lat – a przepracował już pięć. Wydawało się, że im wyższą Zuo osiągał pozycję, tym bardziej malały szanse na jego wyjazd z kraju.

W związku z tym odrzucił tę ofertę i złożył kontrpropozycję: niech natychmiast zaczną planować wydostanie go z kraju. Jeśli to zrobią, przekaże im informacje wywiadowcze zebrane przez ostatnie dwa lata. Dotyczyły one operacji znanej pod kryptonimem „Atak Smoka”, o którą ludzie z DIA pytali go jeszcze w 2009 roku, kiedy pierwszy raz usłyszeli tę nazwę w Waziristanie.

Zuo oznajmił im, że zna nazwiska, daty oraz dzień i godzinę najbliższego spotkania – nie przekaże ich jednak, dopóki nie wydostaną go z Chin. Czekał teraz na odpowiedź.

Chociaż nie chciał zostawiać tu matki i schorowanego ojca, wiedział, że jego miejsce jest w USA.

Zdawał też sobie sprawę z tego, że wicedyrektor wreszcie odkryje jego działalność i w którąś zimną, bezksiężycową noc ktoś przyjdzie do jego mieszkania, by zaskoczyć go we śnie. Potem powiedzą, że był to napad rabunkowy.

Zastępca dyrektora skrzętnie coś ukrywał. W jego rozkładzie dnia pozostawało sporo zagadkowych luk. A to jeszcze bardziej niepokoiło Zuo.

W trzeci wtorek każdego miesiąca, dokładnie o trzynastej, Wang dzwonił do Genewy. Co najmniej dwa razy w miesiącu jadał lunch, spotykając się z kimś spoza biura.

Zuo zastanawiał się, czy wicedyrektor, tak jak on sam, nie ma własnych planów. Zamierzał nawet spytać DIA, czy Wang nie pracuje dla nich. Cóż to by była za ironia losu!

Zuo wzdrygnął się, westchnął i powrócił do sortowania i zestawiania raportów. Za dwie godziny musi przedstawić wicedyrektorowi sprawozdanie o aktualnej sytuacji w Cieśninie Tajwańskiej. Wang jednakże będzie go słuchał tylko jednym uchem, oglądając satelitarną CNN i przerywając co chwila Zuo, by pastwić się nad nieścisłościami w amerykańskich mediach.

Kiedy Zuo wracał wieczorem do mieszkania, w strugach ulewnego deszczu zobaczył mężczyznę w granatowym płaszczu przeciwdeszczowym, skulonego w niszy po przeciwnej stronie ulicy.

Zuo się zawahał. Przyjrzał się lepiej i stwierdził, że to czeka na niego jego kontakt z DIA.

Lo Kuo-hui był mniej więcej w wieku Zuo. On również przebywał kiedyś w Stanach w ramach wymiany studenckiej i został tam zwerbowany przez DIA.

Zuo przeszedł na drugą stronę ulicy i dotarł do wnęki. Opuści parasol, by osłonić ich obu przed wiatrem.

– Myślałem, że zajmie im to więcej czasu.

– Przy tym, co się obecnie dzieje? Chyba żartujesz – odparł Lo.

– A więc?

Lo uśmiechnął się nieznacznie.

– Zaakceptowali twoją ofertę. Ale najpierw musisz przekazać informacje.

– A jaką mam gwarancję?

– Żadnej, chyba że informacje są faktycznie coś warte.

Zuo sięgnął do kieszeni, wydobył z niej portfel, a z niego wyciągnął pen drive'a wielkości kciuka. Wręczył go Lo.

– Powiedz im, żeby to przejrzeni – polecił. – Koordynaty GPS mogą sprawdzić przez satelitę. Dane są aktualne na dzisiaj. Będę informować o wszelkich zmianach, kiedy tylko się o nich dowiem.

– Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że ci się uda.

– A co z tobą?

– Wyjeżdżam dziś w nocy. Moja praca dla nich dobiegła końca.

– Wyciągają cię stąd?

– Tak.

Zuo westchnął. Może mógł jednak zaufać DIA. Do tej pory zawsze pozostawał cię w wątpliwości.

– Z kim teraz mam się spotykać?

– Nie wiem, ale jestem pewien, że kogoś przyślą. Żegnaj, Zuo. – Z tymi słowy Lo postawił kołnierz płaszcza i pobiegł w deszcz.

ROZDZIAŁ 18

Manewry „Robin Sage” „Sosnowa Republika Ludowa” okolice Fort Bragg, Karolina Północna kwiecień 2012

Kapitan Scott Mitchell skulił się głębiej w krzakach na dźwięk dieslowskiego silnika, który rozdarł poranną ciszę. Widoczna stąd błotnista droga wiała się przez las niczym rdzawa struga krwi.

Chwilę później stara ciężarówka z plandeką osłaniającą platformę wyjechała zza kępy sosen, zostawiając za sobą kłęby kurzu.

Mitchell, w cywilnych ciuchach, z czarną kefiją na głowie, zacisnął dłoń na paintballowej replice karabinu Beretta Cx4 Storm.

Dziś Mitchell nazywał się Jawaad. Był lokalnym przywódcą partyzantki w tej części „Sosnowej Republiki Ludowej” – fikcyjnego kraju, którego nazwa przywodziła na myśl raczej pole kempingowe, a nie rozdarłe wojną domową państwo. Przez ostatnie sześć miesięcy rebelianci z OpForlandii – kraju targanego niepokojami na tle politycznym i religijnym – przedzierali się przez granicę, by nękać wioskę Jawaada. Zabili jego ojca i dwóch braci.

Jawaad zjawił się tutaj, by odpowiedzieć ciosem na cios rebeliantów, wyzwolić swój kraj spod ich jarzma i pokazać wrogom, na co go stać. Zjawił się tu, by się mścić. Aby osiągnąć swój cel, jego partyzanci sprzymierzyli się z ODA 927, dwunastoosobową grupą amerykańskich sił specjalnych. Amerykańscy żołnierze uzbroili ich i szkolili przez ostatnie dwa tygodnie.

W rzeczywistości cały ten scenariusz był częścią „Robin Sage” – dziewiętnastodniowych ćwiczeń polowych, stanowiących ostatni etap trwających od osiemnastu do dwudziestu sześciu miesięcy zajęć kwalifikacyjnych do sił specjalnych, które odbywały się w Centrum Szkoleniowym Sił Specjalnych imienia Johna F. Kennedy’ego w Fort Bragg. Kryptonim „Robin Sage” wywodził się z nazwy pobliskiego miasteczka Robbins oraz nazwiska człowieka, który wymyślił to ćwiczenie – pułkownika Jerry’ego Sage’a – jednego z założycieli szkoły.

Ćwiczenia były przeprowadzane w czternastu okręgach. Komandosi musieli w niekonwencjonalnych sytuacjach bitewnych wykorzystać to, czego ich nauczono – od planowania akcji po jej wykonanie. „Robin Sage” było ostatnim z ćwiczeń przed ukończeniem szkoły i przydziałem do jednej z grup sił specjalnych. Dla ludzi biorących udział w kursie zaliczenie tego ćwiczenia było kwestią życia albo śmierci.

Wcześniej jednak musieli zmierzyć się ze Scottem Mitchellem.

Odgrywający rolę przywódcy partyzantki Mitchell wyjaśnił dowódcy grupy, kapitanowi Fredowi Warrisowi, oraz chorążemu klasy drugiej Baronowi Williamsowi, że to on ustala tu reguły. Początkowo nie chcieli na to przystać. Jednak w realnym świecie czasem trzeba zaufać miejscowemu przywódcy, którego zna się ledwie od miesiąca. Bez tego nie da się wykonać roboty. Co więcej, czasem trzeba powierzyć mu dowództwo, ponieważ wymaga tego jego honor. Dla wielu komandosów jest to trudne do zaakceptowania.

Podczas ćwiczeń „Robin Sage” wykorzystywano też doświadczenia takich żołnierzy jak Mitchell – który osobiście ułożył ten scenariusz, obrazujący jego misję w Erytrei. Młodego kapitana Warrisa czekała przykra niespodzianka.

Mitchell wstrzymał oddech. Ciężarówka była jakieś dwadzieścia metrów od niego.

Wystarczająco blisko.

Wyskoczył z kryjówki, wbiegł na drogę i zaczął opętańczo strzelać do pojazdu.

– To za mego ojca! A to za braci! – krzyczał najgłośniej, jak potrafił.

Za jego plecami rozległ się krzyk Warrisa:

– Jawaad, co ty robisz, do cholery? Wracaj!

Mitchell nie przestawał strzelać. Jego paintballe rozbijały się o przednią szybę wozu.

– Jawaad, wracaj tu! – krzyknął jeszcze głośniej Warris.

Kierowca ciężarówki zaciągnął hamulec i wyskoczył razem z pasażerem. Obaj byli uzbrojonymi w karabiny żołnierzami OpForlandii. Padli na brzuchy i odpowiedzieli ogniem. Paintballe świszczały wokół Mitchella, na którego twarzy pojawił się uśmiezek.

Przywódca partyzantów Jawaad schrzanił całą zasadzkę. Grupa ODA miała czekać wraz z partyzantami, aż ciężarówka znajdzie się w polu ostrzału. Wtedy jeden z ludzi Jawaada miał rzucić granat dymny, jednocześnie z eksplozją symulowanej miny, która miała rozerwać przód pojazdu.

Mitchell we właściwy sobie sposób właśnie zapoznał podopiecznych z elementarzem niekonwencjonalnych sytuacji bojowych, gdy plan bitwy nie sprawdza się podczas pierwszego kontaktu z wrogiem.

Nadal biegł na ciężarówkę, ściągając na siebie ogień nieprzyjacielskich żołnierzy. Kulki z farbą uderzały go w uda i klatkę piersiową. Wystrzelił jeszcze kilka pocisków, potknął się, wrzeszcząc znów o zemście, aż wreszcie padł na kolana w błoto. Znowu strzelił, wreszcie upadł i przetoczył się na bok.

– Pomocy! Dostałem! Jestem ranny! – wrzeszczał.

Teraz tylko od Warrisa i Williamsa zależało, czy uda się przejąć kontrolę nad tym chaosem.

Mitchell leżał sobie i patrzył, jak po drugiej stronie drogi jeden z komandosów odpowiedzialnych za ewakuację, kapitan Simon Harruck, podniósł się z ukrycia, patrząc, jak towarzyszący mu sierżant nagrywa wszystko na kieszonkową kamerę.

Warris rozkazał czekającym na wybuch miny saperom okrążyć pojazd od tyłu. Pozostali żołnierze otworzyli ogień do ciężarówki. Kulki odbijały się od metalu w fontannach farby.

W ciągu pięciu sekund dwaj nieprzyjacielscy żołnierze zostali „zabici”. Warris kazał wstrzymać ogień. Saperzy pierwsi dopadli pojazdu. Zabrali się do rozładunku i otwierania skrzyń z konserwami i bronią.

Mitchell podniósł się z ziemi.

– Grupa ODA! Partyzanci! Ćwiczenie skończone! Do mnie!

Nim wszyscy – a było ich niemal trzydziestu – zebrali się wokół niego na środku drogi, minęło jeszcze kilka minut.

– Masz dwóch sanitariuszy – zwrócił się Mitchell do Warrisa. – Nie mogłeś wysłać jednego, by uratował mi życie? – spytał, kręcąc z dezaprobatą głową.

Kompletnie skołowany kapitan zmarszczył brwi.

– Pobiegł pan na ciężarówkę. Zaprzepaścił całą zasadzkę. Wyglądało, jakby chciał pan popełnić samobójstwo.

– Teraz zaś każdy z partyzantów jest wkurzony na ciebie, że pozwoliłeś mi umrzeć.

– Ale pan sam się zabił!

– Nie, ja tylko się mściłem. Może zemsta była jednak dla mnie ważniejsza niż własne życie? A może chciałem pokazać moim ludziom, jak ważne jest to, o co walczą? Próbowałem nauczyć ich, jak walczyć na śmierć i życie.

– Wbiegając pod kule?

– Może się poświęciłem – westchnął Mitchell, po czym podjął łagodniejszym tonem: – Widzisz, kiedy przyjdzie co do czego, nie wiadomo, co zrobią ci goście. Trzeba zawsze mieć plan B, zakładający, że cię zdradzą albo zrobią coś głupiego, na przykład wbiegną na drogę.

Warris skinął głową.

– Mimo wszystko wykonaliśmy zadanie – stwierdził. – Ciężarówka zatrzymana, transport przechwycony.

– A może nie. Tak ostrzelaliście ten samochód, że wyleciał w powietrze. Należało wstrzymać ogień. Wysłać sanitariusza i pozwolić snajperom przyszpilić wrogów.

Warris przełknął ślinę. Mitchell wiedział, że kapitan już zaczyna się zastanawiać, czy jego dalsza kariera jest zagrożona. Mitchell postanowił więc już się z nim nie drażnić.

– Sam dobrze wiem, że jedna sekunda może stanowić o życiu lub śmierci – zaczął – trzeba jednak poświęcić ten czas, żeby pomyśleć. No dobra, gość biegnie na ciężarówkę. Zatrzymał ją, czyli zrobił to, co miała zrobić mina. Przywódca partyzantów ściągnął na siebie

uwagę wrogów. Pozostaje tylko wprowadzić do akcji snajperów. Owszem, wiem, że trzeba to wszystko oszacować w sekundę. Ale skoro tu już jesteśmy, to znaczy, że nie boimy się wyzwań. Chcę tu zaznaczyć, że zrobiłem kiedyś dokładnie to samo, co ty, po prostu wpakowałem w cel tonę ołowiu. Nie wysłałem też sanitariusza. Partyzanci obwinili mnie za śmierć swojego dowódcy. Trudno było odzyskać ich zaufanie.

– Cholera – wymamrotał Warris. – Kapitanie, doceniam szczerość.

Mitchell wyciągnął do niego dłoń.

– Niech to będzie nauką. A zatem teraz, gdy już nie żyję, musicie znaleźć sposób na dalsze negocjacje z moimi partyzantami. Trzeba też ustalić, kto teraz dowodzi, czasem jest to bardzo trudne. A, jeszcze jedno, partyzanci przeszukają zwłoki, po czym mogą zechcieć odrąbać im głowy i zatknąć je na palach. Co wy na to?

Warris otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Mitchell skinął głową kapitanowi Harruckowi, który zaczął wykrzykiwać nowe instrukcje dla grupy. Na drodze pojawił się hummer. Samochód podjechał do nich i zatrzymał się.

– Szukam kapitana Mitchella – oznajmiła młoda szeregowka, siedząca za kierownicą.

Mitchell spojrzał na nią.

– Doprawdy? Bo ja właśnie szukałem ciebie – odczytał naszywkę na mundurze kobiety – szeregowka Morgan.

– Tak?

– Widzisz, od dwóch tygodni nie miałem okazji wziąć ciepłego prysznica. Możesz mnie zabrać do najbliższego hotelu?

Szeregowka się skrzywiła.

– Przykro mi, kapitanie.

– Tak, wiem, że śmierdzę. Przywykniesz. Dowieź mnie tylko pod prysznic.

– Przykro mi, ale przysłano mnie tu po pana. Cały rano czekałam w bazie polowej. Dopiero teraz zezwolono mi na przyjazd tutaj. Mam rozkaz zawieźć pana z powrotem do Fort Bragg. Jak najszybciej.

Mitchell zmarszczył brwi.

– Cudownie – burknął. Wsiadł do hummera, brudząc wnętrze błotem i farbą. – Przepraszam za bałagan.

– Nie ma sprawy, kapitanie.

Mitchell zamknął oczy. Śliczna młoda szeregowka Morgan mogła być siostrą bliźniaczką Kristen. Niech to szlag.

Kiedy dotarli do Fort Bragg, czekali już na niego podpułkownik Gordon i major Grey. Gordon oznajmił mu, że siedzi im na karku generał. Najwyraźniej nieszczęścia chodzą parami. Wprowadzono Mitchella do biura Ghost Recon i niemal siłą posadzono przed monitorem.

Na ekranie pojawił się generał Joshua Keating. Wymodelowana fryzura i przyciemnione okulary sprawiały, że nikt nie domyśliłby się, kim był naprawdę. Jako komandos działał w Wietnamie i podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Medale zdobyte podczas tych misji mogły wypełnić kilka szuflad. Ukończył studia na wydziale historii i biznesu. Był też autorem cieszącej się dużym powodzeniem książki na temat historii sił specjalnych. Ukończył nawet harwardzki krajowy program zarządzania i międzynarodowy kurs dla menedżerów. W ostatniej dekadzie zajmował tyle stanowisk dowódczych, że pewnie sam ich wszystkich nie pamiętał. Na początku roku objął wreszcie dowództwo USSOCOM-u. Mitchell wiedział, że była to posada jego marzeń.

Choć niektórzy szczerze nie cierpieli Keatinga, jednocześnie bojąc się go, Mitchell łatwo się z nim dogadywał. Po części dlatego, że generał był oficerem z prawdziwym bojowym doświadczeniem, rozumiał wyjątkowy charakter operacji sił specjalnych i uważał za swój święty obowiązek utrzymywanie ścisłego kontaktu ze swymi ludźmi w strefie działań bojowych. Walił też prosto z mostu. Mitchellowi podobało się takie podejście.

Keating nachylił się do kamery. Beretki odznaczeń widoczne były wyraźnie na tle wykrochmalonego, odprasowanego błękitnego munduru. Jeszcze do 2011 roku noszono mundury oliwkowozielone.

– Mitchell, wyglądasz jak siedem nieszczęść – odezwał się generał.

Kapitan odruchowo otarł błoto z twarzy.

– Dziękuję, generale. Mnie przyszło na myśl inne słowo.

Po prawicy Keatinga wisiały dziesiątki ekranów wyświetlających mapy, raporty wywiadowcze, zdjęcia satelitarne i przekazy filmowe od komandosów na polach bitw. Wszystko to tworzyło spikselizowaną mozaikę, żyjącą własnym życiem. Po lewej stronie generała znajdowała się czterometrowej wysokości trójwymiarowa mapa chińskiego wybrzeża wraz z Tajwanem. Zielone siatki i migające koordynaty sprawiły, że Mitchell zwrócił uwagę na kilka lokalizacji.

– Nie bądź taki mądry, Mitchell – osadził go generał. – Ściągnąłem cię z ćwiczeń „Robin Sage”, bo mamy tu pewien problem.

– Od kilku tygodni siedzę w lesie. Nie łączyłem się z Internetem ani nie widziałem żadnej gazety... ale przecucie mi mówi, że ma to coś wspólnego ze sprzedażą tego okrętu podwodnego na Tajwan.

– A jakże.

– Widzę, że ma pan tam wielgachną mapę Chin.

Keating zerknął przez ramię.

– A pewnie, że mam. Nasza mała pokazówka na Pacyfiku wkrótce zamieni się w piekło.

Generał odsunął się nieco, by dopuścić przed kamerę elegancko ubraną kobietę w granatowym wdzianku. Była dobrze po czterdziestce. Brązowe włosy znaczyły pasemka siwizny. Okulary w zielonych oprawkach zsunęły się jej na czubek nosa.

– Mitchell, oto doktor Gail Gorbatova z DIA – ciągnął Keating.

– Witam, panie kapitanie. Generał chce, żebym przedstawiła panu raport wywiadowczy, jaki niedawno otrzymaliśmy od jednego z naszych agentów w rządzie chińskim. Dotyczy operacji o nazwie „Atak Smoka”.

– Od dawna nie słyszałem tej nazwy.

– Zapewne od czasów misji w Waziristanie?

– Właśnie.

– Podążamy tym śladem już od ponad trzech lat. Wreszcie do czegoś doszliśmy.

Generał Keating stracił już cierpliwość i włączył się do rozmowy:

– Mitchell, kret DIA odkrył grupę chińskich dowódców, którzy określają się mianem Wiosennych Tygrysów. Ręce ich świerzbią, żeby dobrać się do Tajwanu. Posiadane przez nas informacje wywiadowcze wskazują, że skorzystają z obecnej sytuacji, aby przeprowadzić własny atak.

Mitchell wzruszył ramionami.

– Skontaktujcie się z Chinami. Dajcie cynk ich prezydentowi.

– Nie możemy im ufać w tej sprawie – wyjaśniła Gorbatova. – Cichym partnerem Tygrysów jest wicedyrektor wydziału politycznego. Chińczycy mogliby na wszystko pozwolić, po czym winą obarczyć renegatów. Nie możemy im dać tej sposobności.

– Pani pozwoli, że o coś zapytam, pani doktor. Na ile wiarygodne są te wasze informacje?

– Nasz agent został zwerbowany wiele lat temu. Jest jednym z najlepszych ludzi, jakich tam mamy.

– A więc dobrze się składa, ponieważ domyślam się, że już wkrótce od dokładności tych informacji, będzie zależało moje życie.

– Nie mamy powodów, by w nie wątpić.

Znów włączył się generał.

– Mitchell, mamy listę wszystkich Wiosennych Tygrysów. Wiemy też, że zaplanowali kolejne zebranie, za pięć dni. Znamy jego termin i miejsce, w którym się odbędzie.

Mitchell wiedział już, do czego zmierza ta rozmowa.

– Jaki strój obowiązuje? – zażartował. – Dowolny? A może mam włożyć krawat?

– To oficjalna impreza. Tylko czarne krawaty. Wproście się na imprezę i... Mitchell, potrzebujemy tu chirurgicznej precyzji. Żadnych jeńców. Zrozumiano?

– Tak jest.

– No dobra, to dobieierz sobie zespół, przygotuj list przewozowy i zabierajcie się do Subic Bay. Do tego czasu przygotujemy wam ISOFAC* i zaktualizujemy TIP-a*.

Mówiąc o „czarnych krawatach”, generał miał na myśli „czarną” operację – niezarejestrowaną ani na papierze, ani w formie elektronicznej. Faktycznie ubiorą się na

* Skrót od ang. Isolation Facility, co oznacza ośrodek izolacji.

* Skrót od ang. Target Intelligence Package, co oznacza docelowy pakiet wywiadowczy.

czarno i nie będą mieć przy sobie nic, co pozwoliłoby zidentyfikować ich jako żołnierzy amerykańskich. Nikt nie przyzna się do ich działań. Bo i kto by mógł? Przecież oficjalnie Duchy nie istniały.

Ośrodek izolacji, w skrócie ISOFAC, pozwoli im spokojnie zaplanować misję.

Natomiast docelowy pakiet wywiadowczy, w skrócie TIP, zawierać będzie aktualne, szczegółowe i pewne informacje z wielu źródeł, zawierające wszystkie elementy ważne dla powodzenia misji.

Mitchell jednak nie musiał zapoznawać się z TIP-em w zakresie infiltracji. Tym razem piloci black hawków mieli wolne. Mitchell wraz ze swoimi ludźmi udawał się do starej filipińskiej bazy Subic Bay, by wsiąść na pokład okrętu podwodnego. Tylko w ten sposób mogli dokonać infiltracji chińskiego wybrzeża z bronią na grubego zwierza. W tym przypadku – tygrysa.

– Kapitanie Mitchell – głos doktor Gorbatovej spoważniał – chcę panu przypomnieć, że nasz agent podjął ogromne ryzyko, by uzyskać te dane.

– Co dostanie w zamian? Pomożecie mu zbiec?

– Tak. Mam tylko nadzieję, że pan i pańscy ludzie sprawicie, iż będzie to warte zachodu.

Mitchell skinął głową, po czym spojrzał na Keatinga.

– Generale, zastanawiam się, czemu pan nie zaangażuje w to komandosów SEAL? Biorąc pod uwagę konieczność infiltracji okrętem podwodnym, wygląda to na robotę właśnie dla nich.

– Żartujesz sobie? Nie chcesz wziąć udziału w tej akcji?

Mitchell zeszywniał.

– Tego nie powiedziałem.

– Sugerujesz, że mogę mieć uprzedzenia? Że do zapobieżenia III wojnie światowej wybrałem was, bo sam byłem komandosem sił specjalnych?

– Generale...

– I masz rację! Owszem, będziesz miał dwóch członków SEAL do pomocy przy infiltracji i ewakuacji, a paru agentów CIA pomoże wam zbliżyć się do celu. Poza tym jednak to twój show. Bądź tak dobry i nie daj się zabić na moich oczach. Rozumiemy się?

– Tak jest.

– To czemu tu jeszcze siedzisz? Doprowadź się do porządku i pakuj się do samolotu! Przedstawię ci aktualną sytuację, gdy będziesz już na Filipinach.

Mitchell zerwał się z krzesła i zaszalutował generałowi.

– Już lecę, panie generale!

Na ekranie pojawił się pulpit komputera. Mitchell spojrzał zmęczonym wzrokiem na Gordona i Grey.

– Zadzwońcie do prezydenta. Powiedźcie mu, żeby nie zaczynał wojny światowej, dopóki nie wezmę prysznicu.

Grey się uśmiechnęła.

– Skoro mowa o telefonach, to jak tylko będziesz miał swoją listę, prześlij ją nam. Wielu komandosów jest na urlopie. Potrzebujemy czasu, żeby ich ściągnąć.

Mitchell skinął głową.

– Macie coś do pisania? Bo ja już teraz wiem, kogo chcę.

ROZDZIAŁ 19

Big Halley
okręg Modoc, Kalifornia
kwiecień 2012

Sierżant Paul Smith, pełniący funkcję strzelca sekcji Ghost Recon, pojechał na kilka tygodni do domu na północy Kalifornii. Drugiego dnia urlopu jego przyjaciel z dzieciństwa, Hernando Alameda, poprosił go o pomoc w załadowaniu na ciężarówkę dwustu bali lucerny. Hernando odziedziczył farmę po swoim zmarłym niedawno ojcu i Smith wiedział, że jego kumpłowi brakuje rąk do pracy. Nie mógł mu odmówić.

Hernando miał dwadzieścia siedem lat – o kilka więcej niż Paul. Cały poranek narzekał na brak odpowiednich ludzi do pomocy. Swoją frustrację wyładował w pracy, przy której obaj spocili się jak szczury. Ostatecznie rozmowa jak zwykle zeszała na kobiety i Smith zapytał Hernanda o jego dziewczynę, Vicki.

– Rzuciła mnie w zeszłym tygodniu – mruknął Hernando.

– Który to już raz?

– Trzeci.

– Nie potrzebujesz jej.

– Nie potrzebuję.

– Ale i tak później do niej zadzwonisz.

– Jasne. Ma u mnie dług.

Smith się zaśmiał.

– Diabli nadali tę babę.

– Słuchaj – zmienił temat Hernando – twój tata powiedział mi, że w przyszłym roku przechodzi na emeryturę.

– Tak, nie mogę w to uwierzyć. Był szeryfem okręgu Podunk przez trzydzieści lat.

– Powinieneś przejąć jego robotę.

Paul się roześmiał.

– Wstąpiłem do wojska, żeby nie wachać już obornika.

– Tak bardzo nami gardzisz?

– Daj spokój, chłopie, ale znasz przecież moich rodziców. Ojciec chciał, żebym został jajogłowym. Oboje rodzice mają pretensje o to, że rzuciłem studia. Ale ja mam już swoje życie.

– Nie myślałeś nigdy o odejściu z wojska?

Smith wzruszył ramionami. Miał taki okres pod koniec czwartego roku służby w piechocie. Nie było tak ciekawie, jak to sobie wcześniej wyobrażał. Od najmłodszych lat ganiał po dworze, polując i łowiąc ryby. Koledzy z miasta mawiali, że ma szósty zmysł, zawsze potrafił wytropić zwierzynę, niczym rasowy posokowiec.

– Był czas, kiedy nie zamierzałem przedłużać kontraktu – odpowiedział. – Potem spotkałem pewnego oficera sił specjalnych i wszystko się zmieniło.

– Musiał być niezłym marketingowcem.

– Nie, przyjechał do nas, żeby poprowadzić ćwiczenia i zaprezentować sztuki walki. Facet był niesamowity. Mówił bez ogródek. Do dziś pamiętam jego filozofię.

– Filozofię?

– Uważał, że zdolności intelektualne są równie ważne, co siła rażenia. Mówił, że trzeba trenować z myślą o konkretnej misji. Trening powinien być krótki i nie musimy naśladować gimnastyków. Mimo że był niższy i lżejszy ode mnie, za każdym razem rzucał mnie na podłogę. Był najbardziej profesjonalnym żołnierzem, jakiego zdarzyło mi się spotkać.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś. Sądziłem, że sam podjąłeś decyzję. Ale jednak to on przekonał cię do podpisania kontraktu.

Smith skinął głową.

– Po treningu powiedział mi, że jestem dobrym materiałem na komandosa sił specjalnych. Nie sądziłem jednak, że kurs kwalifikacyjny tak bardzo da mi w kość, a szczególnie końcowe ćwiczenie, „Robin Sage”. Myślałem, że tam zdechnę.

– Jak nazywał się ten facet?

– Kapitan Scott Mitchell. – Komórka Smitha zaczęła dzwonić. Usiadł na belki lucerny i spojrzał na wyświetlacz. – Przepraszam, stary, ale muszę odebrać.

**Sklep 7-Eleven
Detroit, Michigan
kwiecień 2012**

Starszy sierżant Matt Beasley zsiadł z harleya sportstera i poszedł mokrym od deszczu chodnikiem, aby kupić gazetę i kubek kawy. Dumnie obnosił się z granatową kurtką drużyny Pistons.

Minęły dwa lata od czasu, kiedy po raz ostatni odwiedził swoją starą dzielnicę. Pamiętał, że przesiadywał w tym sklepiku, przypatrując się tutejszej elicie, do której należeli tacy ludzie, jak Staruszek Freddy, Potłuczony Bob i Wymoczek Wayne.

Beasley był dzieckiem z kluczem na szyi. Miał dobre oceny, chociaż większość czasu spędzał na ulicy, przyglądając się ludziom. Czasami informował policję o dziwnych sytuacjach, które miały miejsce w jego dzielnicy. Miał wiele możliwości, by związać się z ulicznym gangiem i zacząć brać narkotyki, jednak zawsze unikał tego rodzaju pokus. Nieraz widział, jak ci gówniarze kończyli z ryjem przyciśniętym do maski radiowozu. Nazywano go dziwakiem, bo w ogóle rzadko się odzywał. Miał to gdzieś. Pilnie studiował ludzką naturę.

Beasley uśmiechnął się, kiedy napotkał wzrok piegowatego, szesnasto- czy siedemnastoletniego chłopaka, usadowionego na parapecie sklepowego okna. Dzieciak trzymał dłonie w kieszeniach brudnego swetra. Na uszy miał naciągniętą zimową czapkę, spod której wystawały długie rudawe włosy. Co chwila ocierał nos wierzchem dłoni.

Tak wyglądał Matt kilkanaście lat temu.

Chłopak rzucił na niego okiem i odwrócił wzrok. Beasley wszedł do środka. Przy drzwiach usłyszał znajomy odgłos dzwonka. Podeszedł do ekspresu z kawą.

Para starszych Murzynów stała przy ladzie, sprzecząc się ze sprzedawcą o przeterminowany kupon na mleko. Prócz nich w sklepiku nie było nikogo.

Matt zrobił sobie kawę i wziął gazetę. Kiedy stanął przy kasie, staruszków już nie było. Zapłacił i wyszedł ze sklepu.

Dzieciak był na swoim miejscu. Obserwował. Beasley chciał zapytać go, dlaczego nie jest w szkole. Zrezygnował jednak, by nie drażnić smarkacza. Zbyt dobrze wiedział, jak się czuje zapytany o coś takiego. Przeszedł na drugą stronę ulicy, do swojego motocykla.

Włożył gazetę pod ramię i już miał wyciągnąć kluczyki, kiedy coś szturchnęło go w tył głowy. Zerknął przez ramię i zobaczył chłopaka, który stał za nim.

– Ten pistolet to nie zabawka. Dawaj kluczyki! Natychmiast! – Chłopak docisnął broń do czaszki Beasleya.

– Spokojnie, kolego. Właśnie je wyciągałem.

– Podaj mi je. I nie odwracaj się.

– Dobra.

Matt powoli sięgnął do kieszeni, wyczuł w niej kluczyki.

A potem wyszarpnął rękę z kieszeni płaszcza, przedramieniem podbił w górę lufę broni chłopaka i wyrwał mu ją z dłoni.

Oślupiały chłopak cofnął się. Chciał zwiać, ale pośliznął się na kałuży.

Beasley pokręcił z dezaprobatą głową.

– Nie ruszaj się, kolego.

Przerażony chłopak obrócił się, by spojrzeć Mattowi w twarz. W oczach miał łzy.

– Co ty wyrabiasz?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Co robisz ze swoim życiem? Marnujesz je, próbując mnie obrobić?

Beasley chciał powiedzieć gówniarzowi, że trzeba mieć jakieś aspiracje. Że on sam

siedział kiedyś na tym parapecie, a jednak został sierżantem sekcji Duchów. Chciał odmienić tego chłopaka, ale już wiedział, że on i tak go nie posłucha.

Nagle zapiszczała komórka Marta, oznajmiając przychodzącą wiadomość. Chłopak wykorzystał tę chwilę nieuwagi, zerwał się na równe nogi i zwiął.

Beasley już miał za nim pobiec, ale coś go podkusiło, żeby spojrzeć na wyświetlacz.

– O cholera... – wymamrotał pod nosem.

Siłownia Golda Anchorage, Alaska kwiecień 2012

Sierżant Bo Jenkins skończył właśnie swój zwykły trening obciążeniowy i zamierzał wybrać się na zajęcia grupowej jazdy na rowerkach. Przy stu dziewięćdziesięciu sześciu centymetrach wzrostu i stu dwudziestu siedmiu kilogramach wagi wiedział, że na rowerku będzie wyglądał idiotycznie, co jednak nigdy nie powstrzymało go przed dołączeniem do tej zabawy.

Właściwie wszystko zamieniał w zabawę. Gwizdał i buczał, kiedy instruktorka Marcy puszczała swoje ulubione przeboje rockowe, a pozostali rowerzyści, głównie gospodynie domowe w średnim wieku, wyładowywali swój stres i frustrację, wywołane mieszkaniem w miejscu, gdzie noc panowała przez kilka miesięcy w roku.

Dobiegająca czterdziestki Marcy lubiła dotykać wycieniowanej fryzury Jenkinsa. Powiedział jej kiedyś, że gdyby nałożył odpowiednią ilość pianki, mógłby utrzymać na głowie całą butelkę wody mineralnej i nie dotknęłaby ona jego skóry.

Właśnie miał rozpocząć zajęcia, kiedy zadzwoniła jego komórka. To była ciotka Judy.

– Bo, przyjedź do szpitala. Ja już tu jestem. Twojego tatę znowu przyjęto na oddział.

Serce mu zamarło.

– Już pędzę. – Pognał do przebieralni, żeby zabrać swoją torbę.

Po rozwodzie rodziców czternastoletni Jenkins zamieszkał w Anchorage z ojcem, który pracował tam jako rybak. Jego tata większość życia spędził na łodziach. Ciężka praca i nadużywanie alkoholu zrobiły swoje. Miał chorą wątrobę i wiele innych problemów zdrowotnych. Gdyby nie ciocia Judy, która pomogła wychować Bo, nie wiadomo, jak by sobie poradził.

Patrzeć na powolną śmierć ojca było znacznie trudniejsze niż te wszystkie wojskowe misje na Filipinach, w Indonezji, Erytrei czy na Kubie. Były one niczym w porównaniu z siedzeniem w szpitalnym pokoju i trzymaniem ojca za rękę. Jenkins pamiętał, co tata mu kiedyś powiedział.

„Bo, sądzę, że powinieneś wstąpić do wojska. Musisz się na czymś skupić, a oni ci to zapewnią”.

Jenkins był najbardziej imponującym fizycznie członkiem sekcji Ghost Recon. Żartował, że swoje płatki posypywał łuskami naboju zamiast borówkami. Nie był jednak aż tak silny, by poradzić sobie z tym, co się teraz działo.

Ledwo dyszał, kiedy opuścił siłownię i ruszył w kierunku swojego samochodu. Telefon odezwał się po raz kolejny. Tym razem nie była to ciocia Judy. Serce Jenkinsa zamarło.

– No nie. Tylko nie teraz.

Massachusetts Institute of Technology
Cambridge, Massachusetts
kwiecień 2012

– Alex, jestem ci naprawdę wdzięczny. Pomyślałem, że byłoby dobrze zobaczyć, jak wyglądałoby moje życie w innej wersji.

Sierżant Alex Nolan uśmiechnął się i palcem poprawił na nosie okulary. Ten tik pojawiał się zawsze, gdy ktoś go wprowadził w zakłopotanie. Nawet szczere podziękowanie Hume’a mogło wywołać taką nerwową reakcję.

– Spoko, chłopie – odparł. – Nie ma sprawy. Ja też nie miałem jeszcze okazji tu być.

Kolega Nolana, John Hume, był starszym plutonowym, celowniczym karabinu przeciwpancernego i ekspertem od wyburzeń w sekcji Ghost Recon. Należał do Piątej Brygady Piechoty w Iraku, pełnił funkcję plutonowego sapera w siłach specjalnych, walczył na Filipinach i płynnie mówił w języku tagalog. Jako jeden z pierwszych zaprzyjaźnił się z Nolanem, kiedy został on mianowany starszym sanitariuszem Duchów. Obaj mieli kilka lat więcej, niż wynosiła średnia wieku w sekcji Ghost Recon i szybko zostali przyjaciółmi. Hume chciał spędzić pierwsze dni swojego urlopu z Nolanem w jego rodzinnym Bostonie.

Hume zapytał go, czy mogą zwiedzić MIT i po przejściu przez miasteczko uniwersyteckie udali się do muzeum, aby obejrzeć wystawę *Nie tylko roboty*, prezentującą dokonania tutejszego Laboratorium Sztucznej Inteligencji.

Pomimo wielu ciekawych eksponatów, Hume nie mógł skupić na niczym uwagi. Jego brat Billy zadzwonił do niego z San Francisco. Był wkurzony, że John nie przyleciał prosto do domu, by spotkać się z ich starą matką. Brat Hume’a był chyba jej prawnym opiekunem. John popełnił wielką gafę, decydując się na spędzenie kilku pierwszych dni wolnego z kumplem. Nolan widział, że jego przyjaciel gryzie się tym. Uspokajał go nawet, mówiąc, że nie obrazi się, jeśli będzie musiał wyjechać.

Jednak Hume chciał zobaczyć MIT. Został tu przyjęty na studia i był z tego bardzo dumny. Niestety jego ojciec miał wylew, a John musiał przejąć rodzinną farmę w Salt Lake City i porzucić swoje marzenia. Wkrótce ojciec zmarł. Kilka lat później Hume spotkał kumpla ze szkoły średniej, który wstąpił do wojska. Ten przedstawił mu całkiem inną perspektywę kariery.

Hume wskazał głową tłum ludzi, którzy przyglądali się prezentacji interfejsu dotykowego, pozwalającego robotom symulować zmysł dotyku.

– Popatrz, Alex, te roboty przejmą władzę nad światem. Jeśli zastąpią mnie robotem, nigdy nie zostaniesz wojskowym lekarzem, bo nie trzeba już będzie ratować takich facetów jak ja. Będziesz musiał zostać mechanikiem od robotów.

– No co ty? Znajdzie się robota dla sanitariuszy. Pamiętasz, jak kilka lat temu ćwiczyliśmy z jednym z tych bezzałogowych pojazdów? Nazywają je SUGV. Małe, ale dają czadu.

– Tak, pamiętam. Chciałbym coś takiego wysadzić w powietrze.

Nolan zachichotał.

– Pewnie już jako dziecko lubiłeś fajerwerki?

– Razem z ojcem daliśmy kilka profesjonalnych pokazów sztucznych ogni. Ludzie przyjeżdżali z całej okolicy, żeby je zobaczyć. – Tu głos mu się załamał. – Tata na pewno też chciałby pozwiedzać to muzeum.

Telefon Nolana zaczął wibrować w tej samej chwili, gdy zadzwoniła komórka Hume'a. Obaj spojrzeli na wyświetlacze. John westchnął.

– Teraz to mój brat oszaleje.

– Chłopie, musimy lecieć do Subic Bay, poganiają nas – powiedział Nolan. – Chodź!

ROZDZIAŁ 20

USS „Montana” (SSN-823) Morze Południowochińskie trzysta mil morskich na południowy zachód od Subic Bay na Filipinach kwiecień 2012

USS „Montana”, atomowy okręt podwodny szybkiego reagowania klasy Virginia, obrał kurs na japoński port Sasebo po tygodniowej obserwacji supertankowców przepływających przez Cieśninę Malakka, łączącą oceany Indyjski i Spokojny. Cieśnina była najkrótszą drogą morską do Indii, Chin i Indonezji oraz kluczowym punktem azjatyckich szlaków morskich. Aby ją ominąć, należało nadłożyć dziewięćset czterdzieści cztery mile.

– Zanurzenie awaryjne – zarządził kapitan Kenneth Gummerson.

Zespół kontroli okrętu „Montana” natychmiast rozpoczął manewr zanurzania. Silniki ruszyły z pełną mocą i wkrótce osiągnęły głębokość czterdziestu pięciu metrów – wystarczającą, by uniknąć zderzenia z nowoczesnymi supertankowcami. Znajdowali się zarazem na tyle płytko, że w razie awarii łatwo dałoby się ewakuować załogę.

– Wszystko w porządku, panie kapitanie – zaraportował bosman odpowiedzialny za manewry – sterujemy za pomocą ekranu dotykowego, nie ma konieczności stosowania elektronicznego drążka sterowego.

Było to już czwarte zanurzenie ćwiczebne w ciągu dwudziestu czterech godzin. Upewniło ono Gummersona, że odłączenie modułu komputerowego poprawiło funkcjonowanie interfejsu cyfrowego między siłownikami sterów rufowych a pokładowym komputerem obsługującym system fly-by-wire (FBW).

Dwukrotnie rozwiedziony, czterdziestosiedmioletni Gummerson, ofiara długich rozstań i krótkich powrotów, dochrapał się podczas tej misji kapitańskich szlifów. Awans oznaczał jednak ustąpienie ze stanowiska dowódcy okrętu. Wszyscy członkowie załogi wiedzieli, że jego następca będzie na nich czekał na pirsie w Sasebo. Zmiana dowódcy budziła w ludziach mieszane uczucia.

– Pilna wiadomość radiowa, do wyłącznej wiadomości dowódcy jednostki, panie kapitanie – zameldował dyżurny radiowiec.

Gummerson skinął głową.

– Przynieś mi ją do mojej kajuty.

Kilka minut później, kiedy Gummerson został już sam, uważnie przyjrzał się nowym rozkazom:

100938ZAPR2012

PILNE

FM: COMSUBPAC

DO: USS „Montana” SSN-823

INFO: COMPACFLT

USSOC

DOT: ROZ.OP 2012-0410-TS-OO1

ŚCIŚLE TAJNE

//BT//

1. Po otrzymaniu przerwać bieżącą operację, kurs na Subic Bay. Przybycie nie później niż o 10.00 czasu miejsc.
2. Po przybyciu uzupełnić prowiant na 30 dni.
3. Wyładować ASDS i zaokrętowany oddz. SEAL minus 2 wykwalifikowanych instruktorów obsługi komory we/wy.
4. Zaktualizować wszystkie mapy morskie i pomoce nawigacyjne, ze szczeg. uwzględnieniem wsch. wybrzeża Chin, Cieśn. Tajwańskiej i okolic.
5. Zaokrętować sekcję sił spec. Armii USA, przygotować się na przyjęcie 1 kobiety.
6. Wszystkie transmisje radiowe oznaczone COMSUBPAC, COMPACFLT, USSOC.
7. Powiadamiać nadawcę w trybie pilnym o wszystkich kwestiach zw. ze sprzętem/personelem zagrażających misji.
8. Zameldować o gotowości wyjścia w morze nie później niż o 00.01 czasu miejsc, 15.04.08.
9. Szczegóły misji wkrótce.
10. Potwierdzić odbiór wiadomości przez SLOT.
11. Wysłał admirał Hendricks.

//ET//

Gummerson dwukrotnie przeczytał wiadomość, pokwitował odbiór i uśmiechnął się szeroko. Miał nadzieję, że jego zastępca ma dobrą kwaterę, bo poczeka sobie troszkę dłużej, nim przejmie dowodzenie nad okrętem.

Isofac Ghost Recon
strefa wolnościowa Subic Bay, Filipiny
kwiecień 2012

Kiedy w 1992 roku zamknięto amerykańską bazę marynarki w Subic Bay, cały ten obszar przekształcono w strefę wolnościową, podobnie jak w Hongkongu i Singapurze. Pomimo likwidacji bazy, amerykańskie okręty wojenne wykorzystywały głęboką zatokę do uzupełnienia zapasów i wysadzania załogi na ląd.

Strefą tą zarządzała organizacja Subic Bay Metropolitan Authority. To od niej USSOCOM wdzierzał stary budynek biurowy, należący niegdyś do marynarki, który był obecnie odnawiany z myślą o przekształceniu w sklep wolnościowy.

Kapitan Scott Mitchell stał przy drzwiach pomieszczenia pełniącego niegdyś funkcję sali konferencyjnej. Obok znajdowały się sterty różnych rupieci, narzędzi i materiałów budowlanych. Spojrzał przez tumany kurzu na ośmiu pozostałych komandosów. Byli zgrzani i zmęczeni tak jak on, ale chcieli poznać szczegóły operacji „Widmo Wojny”, odpowiedź Duchów na „Atak Smoka”.

Pomimo znużenia spowodowanego zmianą strefy czasowej, bolących mięśni, przekrwionych oczu i łupiącego bólu głowy Mitchell udawał, że czuje się świetnie. Podobnie zachowywali się jego ludzie.

Wraz z Ramirezem (teraz już starszym sierżantem) zdążyli ustawić komputer i rzutnik tak, aby można było zacząć omawiać pakiet TIP, pobrany kilka godzin wcześniej. Mitchell zaczął od raportu sytuacyjnego.

Raport sytuacyjny: Chińscy spiskowcy chcą wywołać wojnę na Pacyfiku.

Zadanie: Infiltracja do Chin i zlikwidowanie grupy Wiosennych Tygrysów, ulokowanej w zamku Hakka.

Cel: Udaremnić „Atak Smoka” – plan Wiosennych Tygrysów.

Metoda: Przeniknąć do Chin na okręcie podwodnym, nawiązać kontakt z agentami CIA chińskiego pochodzenia, którzy ułatwią rozpoznanie i zajęcie pozycji na zamku, gdzie spiskowcy spotkają się 22 kwietnia o 8.00.

– Panie kapitanie, kiedy wyjdziemy już na brzeg, jak daleko będzie stamtąd do celu? – zapytała Diaz.

Mitchell pokazał im kilka zdjęć satelitarnych zamku Hakka, z czterema przypominającymi silosy budynkami i jedną prostopadłościenną budowlą.

– Omówimy wszystkie szczegóły naszej infiltracji. Ale teraz spójrzcie. Takie zamki są rozsiane po całym rejonie. Dobrze, że Tygrysy wybrały ten, który znajduje się zaledwie trzy

godziny jazdy samochodem od wybrzeża. Od zachodu są wysokie góry, na wschodzie teren pagórkowy. Lasy wyglądają na dość gęste.

Brown podniósł rękę.

– Kapitanie, na zdjęciach jest dużo cywilów.

Mitchell westchnął.

– Tak. Według TIP na zamku mieszka i pracuje co najmniej sto osób.

To zdanie wywołało chór jęków.

– Istnieje szansa, że Tygrysy usuną cywilów na czas ich spotkania, ze względów bezpieczeństwa, ale szczerze mówiąc, wątpię w to – stwierdził Mitchell.

– Mamy przynajmniej jeden atut, który pozwoli nam ograniczyć liczbę ofiar – wtrącił Ramirez. Myszka kliknął na zrobione z ukrycia zdjęcie chudego siwego faceta w spodniach podciągniętych po same pachy. – To Huang. Należy do starszyny plemienia zamieszkującego zamek. Agenci CIA dotarli do niego. Będzie naszymi oczami wewnątrz budynku.

– Dobra – rzekł Mitchell. – Zakładamy, że większość Tygrysów przyleci dzień przed spotkaniem. Zostaną ulokowani w różnych pokojach. Początkowo problem polegał na odnalezieniu tych facetów, którzy mogli znajdować się w pięciu różnych budynkach. Wiele ryzykowalibyśmy i niepotrzebnie tracili czas. Jeśli Huang dobrze się spisze, będzie mógł zlokalizować sypialnie wszystkich dowódców, zanim uderzymy.

– A jeśli mu się nie uda? – zapytał Beasley.

– Wówczas będzie to długa noc. Tak czy siak, rzućmy okiem na nasze cele.

Ramirez pokazał kolejną fotografię. Przedstawiała pyzatego pięćdziesięcioletniego Chińczyka w ciemnym garniturze i grubych okularach.

– TIP sugeruje, że tego kolesia nie będzie na zamku, chociaż jest ich szefem. To wiceminister Wang Ya z wydziału politycznego Centralnej Komisji Wojskowej. Jego attache wojskowym jest agent DIA, który dostarczył nam te informacje.

– Podoba mi się jego fryzura – odezwał się Nolan, patrząc na lśniącą, łysą głowę Wanga. Sanitariusz znany był z wygłaszania ciętych uwag. Mitchell pozwalał mu na żarty – do czasu.

– Drugi pod względem rangi to ten osobnik, generał dywizji Chen Yi. Ukończył Akademię Dowodzenia i jest dowódcą całego Regionu Militarne Nankin.

Chen był kilka lat młodszy od Wanga. Z upozowanej fotografii z chińską flagą w tle spoglądał mężczyzna o poważnym spojrzeniu.

– Kiedy Tygrysy się spotykają, wszystkim zawiaduje Chen – ciągnął Mitchell. – Dalej mamy tego faceta...

Ramirez wyświetlił zdjęcie młodego ciemnowłosego mężczyzny o wydatnym nosie, długiej szyi i poważnym wzroku. Stał obok jednej z nowych chińskich terenówek wojskowych.

– To pułkownik Xu Dingfa. Ukończył Akademię Łączności Wojskowej w Wuhan.

Okazuje się, że był gimnastykiem reprezentującym Chiny na olimpiadzie w 2008 roku. Nie zdobył żadnego medalu, ale upewnijmy się, że nie będzie nam fikał.

Kilka osób zaśmiało się pod nosem. Mitchell spojrzał na Nolana, który skinął głową.

Kolejne zdjęcie przedstawiało niskiego, muskularnego mężczyznę w szlafroku i kapciach. Na smyczy trzymał pieska. W tle widać było piękny ogród.

– Poznajcie się z wiceadmirałem Cai Mingiem. Jest dowódcą Floty Wschodniej w NMR. Na zdjęciu wyprowadza swojego pieska przy kwaterze głównej w Ningbo.

– Podoba mi się psinka – odezwał się Nolan. – Pekinczyki smakują świetnie z dobrym cabernetem.

– Wolę pinot noir – stwierdziła Diaz, szczerząc zęby do Nolana.

– W końcu mamy generała dywizji Wu Huia. Ukończył Akademię Dowodzenia Obroną Powietrzną w Zhengzhi.

Na fotografii Wu opuścił właśnie swój myśliwiec i zdjął hełm. Miał minę charakterystyczną dla mistrzów walki wręcz, takich jak Bruce Lee. Zdaniem Mitchella ze wszystkich Tygrysów to on wyglądał na prawdziwego twardziela.

– Reasumując, mamy cztery główne cele: dowódca NMR Chen, łącznościowiec Xu, admirał Cai i as lotnictwa Wu. Dla lepszej orientacji oznaczymy tych gości jako cele Alpha, Bravo, Charlie i Delta.

Ramirez pokazał slajd, na którym widniała cała czwórka mężczyzn z podpisami:

Chen: cel Alpha Cai: cel Charlie

Xu: cel Bravo Wu: cel Delta

– Kapitanie, naprawdę pan sądzi, że tych czterech facetów może wywołać III wojnę światową? – zapytał Paul Smith, drapiąc się po głowie.

– Czterech? Wystarczy jeden z palcem na spuście – odparł Nolan.

– Paul, ci goście pracowali nad „Atakiem Smoka” przez wiele lat. Mają swoje wtyki w całym wojsku – dodał Mitchell. – W Chinach ostateczną decyzję w sprawie wszczęcia wojny podejmuje politbiuro, a ten Wang ma tam całkiem mocną pozycję. Kiedy ta machina ruszy, nawet chiński rząd jej nie powstrzyma.

– Jaki mają plan ataku? – zapytała Diaz.

– Nie ma tego w pakiecie TIR. Być może nawet góra tego nie wie. A wracając do pytania Paula, to owszem, tych czterech dowódców może podpalić lont.

– Panie kapitanie, mówiliśmy o cywilach – odezwał się Beasley. – A co z rozmieszczeniem wrogich sił?

– Chodzi ci o goryli strzegących zamku? – zapytał Brown, którego śmieszył zbyt formalny język Beasleya. Plutonowy nie odzywał się zbyt często, kiedy jednak już to robił,

wszystko musiało być zgodne z przepisami.

Mitchell chrząknął, szybko uspokajając chichoczących. Spojrzał na Beasleya.

– Matt, możemy założyć, że Tygrysy sprowadzą własną ochronę. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, pewnie ograniczą się do dwóch, trzech drużyn. Miejmy nadzieję, że nie będzie to więcej niż dwudziestu ludzi. Poprosiłem o filmowanie zamku z satelity, żebyśmy mogli dokładnie ocenić zagrożenie, jeśli tylko ochrona przybędzie przed Tygrysami. Przeprowadzimy operację w trzech sekcjach. – Mitchell skinął głową w kierunku Ramireza, który wyświetlił listę personelu:

SEKCJA ALPHA

Mitchell (dowódca sekcji i strzelec)

Ramirez (zastępca dowódcy sekcji, łącznościowiec i strzelec)

Smith (zastępca do spraw operacyjnych i snajper)

Nolan (sanitariusz i celowniczy RKM-u)

SEKCJA BRAVO

Beasley (dowódca sekcji i strzelec)

Jenkins (saper)

Hume (saper, obsługa ciężkiego sprzętu)

Brown (łącznościowiec i celowniczy RKM-u)

SEKCJA CHARLIE

Diaz (strzelec wyborowy)

– Zadaniem sekcji Alpha będzie przeniknięcie do zamku i zlikwidowanie naszych celów. Matt, wy zdejmiecie ochronę i uniemożliwicie ucieczkę z obszaru działań. Alicia, zostajesz sama. Oczyszczysz drogę dla sekcji Alpha.

Jenkins uniósł dłoń. Na jego twarzy malowało się powątpiewanie.

– Co jest, Bo? – spytał Mitchell.

– Nie wątpię, że Bravo zdoła utworzyć kordon zewnętrzny. Ale jeśli nawet mamy wewnątrz naszego człowieka, który pomoże zlokalizować nasze cele, będziecie musieli przejść się po kilku piętrach, być może na dziedzińcu natkniecie się na psy albo na starsze osoby, które w nocy muszą skorzystać z wychodka. Tysiące innych rzeczy mogą spowodować to, że zostaniemy zdemaskowani.

– Czyli normalka.

– Chodzi mi o to, że jeśli miejsce będzie wyglądało podejrzanie, może ja i Johnny wystrzelimy kilka pocisków rakietowych. Zburzymy cały zamek i będzie po krzyku.

– Świetny pomysł – wtrącił John Hume, który zawsze lubił efekty pirotechniczne.

– Zgadzam się, to bezpieczniejsze rozwiązanie – przyznał Beasley. – Ale gdyby generał chciał narobić hałasu, nie wzywałby nas.

– Racja – odezwał się Mitchell. – Rozumiem jednak twoje obawy, Bo. Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli powiem innym, jak poświęciłeś się, godząc się na udział w tej akcji. Ojciec Bo został zabrany do szpitala tuż przed telefonem od nas. Jego stan jest stabilny, ale Bo nie miał nawet czasu pożegnać się z nim.

Jenkins odwrócił wzrok i skinął głową.

Ramirez oderwał oczy od komputera.

– Dzwoni generał Keating.

Mitchell westchnął z irytacją.

– Sądziłem, że zadzwoni później. Połącz go.

Gdy generał pojawił się na ekranie, wszyscy komandosi stanęli na baczność.

– Mitchell, to dobrze, że dotarliście na czas.

– Dziękuję, panie generale. Będziemy szczęśliwi, kiedy przestaniemy wdychać ten azbest i wreszcie wyruszymy.

– Rozumiem. Dostaliśmy wiadomość od waszego kontaktu z CIA. Przygotowali już samochody i łajbę.

– Właśnie mieliśmy omówić szczegóły infiltracji.

– Bardzo dobrze. Nie ma żadnych zmian. Wasza prośba o przekaz na żywo z zamku została zaakceptowana. Poprosiłem również DIA o kontakt z ich agentem. Może być potrzebny w czasie ewakuacji. Mam przecucie, że kiedy rozpęta się piekło, będziemy potrzebować każdego wsparcia.

– Panie generale, mam zamiar tam wejść, zdjąć nasze cele i wrócić do domu, zanim zorientują się, kto im zrobił koło pióra.

– Podoba mi się twój styl.

– Tak jest.

Keating podniósł palec wskazujący.

– Słuchajcie, Duchy. Polegam na was. Ci maniacy planują najechać na Tajwan, a jeśli to zrobią, Stany rozpoczną wojnę z Chinami. Zginą miliony ludzi. Gospodarka naszego kraju popadnie w ruinę. Nie daj Boże, żeby jeszcze nad Białym Domem zawisła chińska flaga.

– Wiemy, o co toczy się gra – odpowiedział grobowym głosem Mitchell.

– Dobrze. Operacja ma być czysta. Żadnych śladów. Dopilnowałem, żeby cała amunicja pochodziła od naszych przyjaciół z Teksasu. Te naboje są nieoznaczone, nie do wyśledzenia, i to bardzo dobrze, bo nie chcę wam dawać na tę misję pistoletów na wodę *made in China*. Macie zabrać najlepszą broń. A jeśli któryś z was zginie bez mojego pozwolenia, naprawdę się wkurzę. Jeszcze bardziej wściekać się będą dzwigający zwłoki. Bo nikogo nie zostawiamy, żywego czy martwego, rozumiecie?

– Tak jest – odpowiedzieli jednogłośnie.

– Bardzo dobrze. Drugi oficer z „Montany” skontaktuje się z wami, kiedy tylko dopłyną do pirsu. Wszystkie prośby o dane wywiadowcze kierujcie prosto do mnie. To tyle na razie. Pamiętajcie, że chcemy być z was dumni.

– Tak jest – odpowiedział za wszystkich Mitchell.

Ramirez rozłączył rozmowę.

– Marudził jak mój stary – odezwał się Smith.

– Przynajmniej nie każe nikomu iść na studia ani objąć posady szeryfa – zauważył Mitchell, unosząc brwi.

Smith skinął niechętnie głową.

– Dobra, przerwa na drinka. Kiedy wrócicie, zapoznam was z planem infiltracji. Jakbym o czymś zapomniał, powiedzą wam o tym ludzie z SEAL.

Kiedy ruszyli w kierunku drzwi, Ramirez powiedział:

– Kapitanie, to nie Europa. To nawet nie Afganistan. To są Chiny.

Mitchell poczuł nagły dreszcz.

– Dobrze wiem, co masz na myśli, Joey.

ROZDZIAŁ 21

Kwatera Główna Trzydziestej Pierwszej Grupy Armii (NMR) Biura Jednostek Sił Specjalnych Xiamen, Chiny kwiecień 2012

Pułkownik Xu Dingfa dopiero co spędził kilka dni z rodzicami. Coraz trudniej było ukrywać przed nimi, że wkrótce zobaczą się z dziećmi. Mógł tylko powiedzieć, że szykuje im wielką niespodziankę i że zazną radości, jakiej nie mieli od lat. Jednak jego ojciec dobrze wiedział o obecnej eskalacji konfliktu między stanami Zjednoczonymi, Tajwanem i Chinami.

– Kochany synu – powiedział – mam nadzieję, że nie masz na myśli wojny.

Xu nie odpowiedział.

Żałował, że nie może podzielić się wspaniałym planem Wiosennych Tygrysów. Jednak on sam i jego współpracownicy zbyt długo już czekali na uwolnienie smoka.

Za kilka dni Trzecia i Szósta Flota ustanowią blokadę morską wszystkich głównych tajwańskich portów, przerywając dostawy żywności i ropy. Tygrysy zakładały, iż Waszyngton nie da zgody na atak na chińskie okręty patrolujące wody międzynarodowe. Co więcej, dowódcy lotniskowców nie mogli odesłać jednostek eskorty, by kontrolowały chińskie okręty, ponieważ naraziłoby to ich okręty na ataki jednostek podwodnych, nawodnych i powietrznych. Amerykańscy oficjele będą szaleć z wściekłości, ale ich własne zasady prowadzenia działań wojennych wykluczały w tym przypadku wszelką reakcję.

Kiedy jednostki nawodne Trzeciej i Szóstej Floty dopłyną już na miejsce, samoloty Czwartej i Szóstej Eskadry Marynarki przeprowadzą precyzyjne naloty na tajwańskie lotniska, centra dowodzenia oraz nowo zainstalowane stanowiska pocisków balistycznych Patriot. Dwa szybkie ciosy i łączność Tajwanu z amerykańskimi protektorami zostanie przerwana, a raczkujący system obrony raketowej wyspy przestanie istnieć.

W tym samym czasie siły specjalne Xu wylądują już w Datongu i połączą się z dwiema kompaniami chińskich „spiochów”, by przeprowadzić akcje mające na celu zniszczenie urządzeń radarowych i jeszcze bardziej zakłócić strukturę dowodzenia. Następnie ruszą na południe, żeby zająć pałac prezydencki.

W tym momencie szala może przechylić się na jedną ze stron. Mogą się włączyć Amerykanie albo też Tajpej może ustąpić. Xu wyobrażał sobie, jak cały Pacyfik zamiera w oczekiwaniu. Jedyne działania dyplomatyczne potrafiłyby utrzymać kruchą równowagę, jednak Xu przewidział i to.

Cztery atomowe okręty podwodne klasy Shang z Dwudziestej Drugiej i Czterdziestej Drugiej Floty Podwodnej pod dowództwem wiceadmirała Cai zajmą kluczowe pozycje na wodach Cieśniny Tajwańskiej. Głównym celem ich ataku będą amerykańskie lotniskowce.

Generał dywizji Chen argumentował, że jeśli tylko okrętom podwodnym uda się uszkodzić lub zatopić choćby jeden lotniskowiec, amerykańska marynarka wojenna będzie musiała wykonać uderzenie odwetowe z całą mocą, by ocalić twarz. Amerykanie ruszą w pogoń za okrętami podwodnymi, a tymczasem generał dywizji Wu rozkaże wystrzelić pociski LACM* Dong Hai-10. Mając zasięg około tysiąca pięciuset kilometrów, bez trudu dolecą z Regionu Militarnego Nankin na Tajwan, uderzając w główne porty.

Atak pociskami LACM wywrze jeszcze większą presję na Tajpej, zmuszając do kapitulacji, a jednocześnie podniesie stawkę w rozgrywce ze Stanami Zjednoczonymi. Stany będą zmuszone do ataku na Chiny, aby zneutralizować pociski Wu. Oba kraje znajdą się na krawędzi wojny nuklearnej. Oczyma duszy Xu widział, jak cały świat wstrzymuje oddech.

A jeśli Tygrysy zechcą, by uwolniony przez nie smok uderzył jeszcze mocniej, mogą wystrzelić więcej pocisków, celując w amerykańskie bazy lotnicze Yokota, Kadena i Misawa w Japonii oraz Kunsan i Osan w Korei Południowej. Wszystkie one znajdowały się w raporcie Rand Corporation sprzed kilku lat. Jego tłumaczenie leżało na biurku Xu.

I tak Stany Zjednoczone będą musiały zaangażować się w otwartą wojnę z Chinami – albo oddać im Tajwan.

Jednakże trwająca od lat wojna Ameryki z terroryzmem niebezpiecznie rozproszyła jej wojska i nadwreżyła ich budżet. Co więcej, amerykańska opinia publiczna wciąż domagała się całkowitego wycofania z Bliskiego Wschodu i była w dalszym ciągu przewrażliwiona na punkcie ofiar wśród żołnierzy. Urzędnicy, którzy chcieli wyboru na kolejną kadencję, nie zagłosują za wojną.

I tak Wiosenne Tygrysy doszły do wniosku, że Stanów Zjednoczonych nie będzie stać na dotrzymanie obietnicy obrony Tajwanu.

A kiedy „Atak Smoka” już się rozpocznie, rząd chiński nie będzie mógł sobie pozwolić na jego powstrzymanie – bez względu na to, czy się do niego przyzna, czy nie.

Ponadto plan sprytnie unikał angażowania dużych sił desantowych. Wszyscy członkowie Wiosennych Tygrysów zgodzili się, że atak taki byłby zbyt przewidywalny, zbyt nieefektywny, a wreszcie zbyt skomplikowany pod względem łączności i wsparcia.

* ang. Land Attack Cruise Missiles – pociski balistyczne do atakowania celów naziemnych.

Xu dopił herbatę i wyszedł z biura. Pojechał na poligon na tyłach bazy, by przekonać się naocznie, jak Fang radzi sobie z siłami ochrony – dwiema ośmioosobowymi drużynami, które jutro po południu wyruszą do zamku Hakka.

Poligon obejmował tor przeszkód z mostkami, zasiekami i ściankami. Na drugim końcu poligonu stało kilka budynków używanych do ćwiczenia walki w pomieszczeniach zamkniętych. Tam właśnie Xu zauważył stojących w kręgu mężczyzn.

Kiedy podjechał bliżej, przekonał się, że w środku grupy stoi Fang. Jeden z żołnierzy leżał na ziemi, z głową przyciśniętą do piersi, podczas gdy Fang okładał go po plecach sztyletem wydobytym ze swojej laski.

Xu zaparkował, wysiadł z samochodu i podszedł do grupy. Żołnierze natychmiast stanęli na baczność. Fang zatrzymał się w pół uderzenia, po czym opuścił broń.

– Co się tutaj dzieje, towarzyszu kapitanie? – zapytał Xu, spoglądając na żołnierza, który zaryzykował podniesienie wzroku na Xu. Po jego twarzy spływała krew.

– Mamy problem z dyscypliną, towarzyszu pułkowniku – odpowiedział Fang, próbując złapać oddech. – Temu żołnierzowi nie podoba się, że jestem jego dowódcą.

– Co macie na myśli?

– W jakiś sposób niektórzy z nich dowiedzieli się, że urodziłem się na Tajwanie. Obecny tu plutonowy Chung określił mnie mianem szpiega.

Xu tak się pochylił, że znalazł się twarzą w twarz z zakrwawionym żołnierzem.

– Czy to prawda?

– Przepraszam, towarzyszu pułkowniku.

Xu ze zmarszczonymi brwiami oświadczył:

– Lojalność kapitana Fanga nie wzbudza żadnych wątpliwości. Czy jest tu ktoś, kto się z tym nie zgadza?

Żołnierze stali nieruchomo, niczym posągi.

– Doskonale. Proszę kontynuować, kapitanie. Macie niecałe dwadzieścia cztery godziny na przygotowania.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

Wsiadając z powrotem do samochodu, Xu pomyślał, że Fang Zhi nie zna umiaru w swoim gniewie, jednak zyska sobie szacunek podwładnych.

Mimo wszystko taki gniew mógł zmienić się w coś nieoczekiwanego. Należy bacznie obserwować Fanga.

Kiedy Xu opuszczał poligon, rozdzwoniła się jego komórka. Telefonował jeden z pakistańskich przemytników. Kolejny transport broni pomyślnie sprzedano talibom. Xu pogratulował swojemu człowiekowi. Tygrysy przekształciły szmugiel broni w zyskowny biznes. Pochodzące z niego pieniądze służyły do opłacania milczenia i lojalności coraz większej liczby dowódców wojskowych w regionie. Ludzie ci, choć nie należeli do grupy, zrobią, co do nich należy, kiedy przyjdzie na to czas.

**Zamek Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Budda stał na grani z widokiem na zamek. Patrzył, jak Huang wspina się górską drogą, wijącą się niczym brązowy wąż – a raczej jak nitka makaronu. Na samą myśl o jedzeniu Buddzie zaburczało w obwisłym brzuszysku.

Budda tak naprawdę nazywał się Hsieh Chia-hsien, ale upodobał sobie kryptonim nadany mu przez CIA. Pracował dla agencji od ponad dwudziestu lat. Zwerbowano go, kiedy miał czterdzieści jeden lat, a w Białym Domu zamieszkiwał Bill Clinton.

O tak, czasy się zmieniły. Teraz Agencja przydzieliła mu jakiegoś studencika. Zarówno CIA, jak i DIA zatrudniały zbyt wielu takich skautów, jak nazywali ich Amerykanie. Przez dwóch takich omal kiedyś nie wpadł.

By wyrazić swoją pogardę, przewał nowego partnera, Chana Chiyao, Skautem. Taki będzie miał kryptonim, chce tego czy nie.

Na twarzy Skauta malował się wieczny grymas niezadowolenia. Sądził widać, że ukryje w ten sposób swój brak doświadczenia. Miał dwadzieścia cztery lata. O życiu wiedział tyle, co kot napłakał. Ale nie rezygnował z żadnej okazji, by przypomnieć, jaki jest sprytny. Biedaczek. Może za jakieś pięćdziesiąt lat zda sobie sprawę z tego, jakim głupcem był za młodu. Może zrozumie, że powinien był mieć więcej szacunku dla starszych. Ech, ci młodzi... jakby się wychowali w dżungli.

Budda wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła. Potem poprawił okulary. Temperatura była całkiem znośna, ale pocił się bez względu na to, co robił.

Skaut zerknął na niego i pokręcił głową.

– Zastanawiałeś się nad dietą? – zagadnął.

Porozumiewali się dialektem mandaryńskim, ale Budda od czasu do czasu wtrącał jakiś angielski zwrot, by sprawdzić młodego. Tak jak teraz.

– Za przyjemności się płaci. Tak to już jest. A ja za stary jestem na dietę.

Chłopak zmarszczył brwi. Chyba nie załapał. A przecież mówił, że jest specjalistą od amerykańskiego slangu... Cóż, wydało się.

Ich człowiek w zamku, Huang, wreszcie dotarł na górę. Skaut zagwizdał z cicha. Staruszek wszedł między drzewa i skinął głową na przywitanie.

– Jak poszło? – zapytał Budda.

Huang wzruszył lekko ramionami.

– Chyba dobrze – odparł.

– Co chcesz przez to powiedzieć, staruszkule? – warknął Skaut. – Powiedziałeś im czy nie?

– Powiedziałem, ale i tak chcą się z wami spotkać. Nie ufają mi.

– Bądź przez chwilę cicho – skarcił chłopaka Budda. – Huang, powtarzaj im, że ci ludzie,

którzy przylecą jutro, to przemytnicy narkotyków współpracujący z wojskiem. Powiedz, że przyjedzie ich aresztować tajna policja i że wszyscy mają zostać w swoich pokojach. Kiedy skończymy, obiecuję, że ci ludzie nie będą już nigdy nękać ciebie ani twojej rodziny.

– Chciałbym ci wierzyć.

– Rób tylko to, co mówię. A kiedy już będziesz wiedział, gdzie dokładnie zatrzyma się każdy z nich, zadzwonisz do nas i przekażesz nam tę informację.

– A jak nie?

– To wtedy...

Budda zakrył dłonią usta Skauta.

– Wtedy uznamy, że nie żyjesz. Jeśli chcesz uratować swoją wioskę, pomóż nam.

– Ale wy tak naprawdę nie jesteście z tajnej policji, prawda?

– Skąd taki pomysł?

Huang zerknął na Skauta.

– On jest za młody i za głupi.

Budda się uśmiechnął.

– Nie przeczę. Ale policja cierpi na braki kadrowe. Bierzemy, kogo się da.

– Niech będzie. Pamiętaj jednak o naszej umowie. Ten człowiek, o którym wam mówiłem...

– Fang Zhi, tak? – upewnił się Budda.

Huang skinął głową.

– Zabijecie go.

– Oczywiście. A teraz lepiej już idź. Fang wkrótce cię wezwie.

Huang stał jeszcze przez chwilę, gapiąc się na nich. Buddzie żal było faceta. Ten prosty rolnik wplątał się w coś o wiele bardziej niebezpiecznego, niż mógł sobie wyobrazić.

Fang Zhi był jakoby jednym z pomagierów Wiosennych Tygrysów – jakimś strażnikiem czy szefem ochrony. Bez większego znaczenia. Nie warto nawet wspominać o nim tej sekcji sił specjalnych, która dokona desantu. Choć Budda obiecał go zabić, zrobił to tylko po to, by spławić Huanga.

Spojrzał na partnera, po czym wskazał głową na drogę.

– Wracaj do auta, maleńki.

Skaut spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie waż się tak więcej do mnie zwracać.

– Widzę, że twoi rodzice źle cię wychowali, zaś Amerykanie zabili w tobie resztkę szacunku dla starszych. Nic nie szkodzi. Będziesz robił, co mówię, albo tak cię przyduszę, że zrobisz się siny, potem błydy, a wreszcie wyciągniesz kopyta. Zamelduję Langley, że doszło do nieszczęśliwego wypadku. – Budda groźnie ściągnął brwi, a Skaut zamarł bez ruchu.

Naraz Budda ze śmiechem objął młodego ramieniem.

– Przez kilka następnych dni będziemy mieli dobrą zabawę. Pozwól, że cię o coś spytam.

Nie licząc szkolenia, czy kiedykolwiek do ciebie strzelano?

– Nie.

– To niedobrze.

– Niby czemu? Przecież wszystko ma się odbyć szybko i cicho.

Budda znów się zaśmiał.

– Drogi chłopcze, kiedy do gry wchodzi Amerykanie, nic nie jest ciche.

ROZDZIAŁ 22

Pirs 3E
strefa wolnocłowa Subic Bay, Filipiny
kwiecień 2012

Kapitan Scott Mitchell ominął stojące w porcie kontenery. Wraz z prowadzącym drugi samochód Ramirezem jechali wzdłuż rzędu grubych lin cumowniczych supertankowca, stojącego po drugiej stronie pirsu. Wreszcie zaparkowali przy okręcie podwodnym, którego kadłub błyszczał w świetle księżycy niczym czarna skóra orki.

Ich broń i sprzęt zapakowano do kilkunastu ciężkich toreb, upchniętych w bagażnikach samochodów. Jenkins ze Smithem już zabierali się do rozładunku, jednak Mitchell polecił im wstrzymać się do czasu, gdy pogadają z załogą.

– Kapitan Mitchell? – odezwał się wysoki, barczysty mężczyzna, podchodząc do nich.

– Tak, to ja.

– Jestem komandor podporucznik Sands, drugi oficer „Montany”, a to bosman sztabowy Suallo.

Mitchell uścisnął ich ręce.

– Cieszę się, że będę miał pana na pokładzie, kapitanie – powiedział Sands.

Mitchell parsknął śmiechem.

– Bardzo mi miło, ale będziecie o wiele szczęśliwsi, kiedy już nas wysadzicie.

Sands zaśmiał się pod nosem.

– No dobra, słuchajcie – zwrócił się podniesionym głosem do całej grupy. – Witamy na pokładzie „Montany”. Bosman Suallo wyda każdemu z was termoluminescencyjny dozymetr, taki jak te, które sami nosimy. – Tu sięgnął do pasa i pokazał urządzenie nieco mniejsze od talii kart. – Dozymetr rejestruje dawkę promieniowania otrzymaną podczas przebywania na pokładzie. Nie wolno go zdejmować. Kiedy bosman już go wam przydzieli, zostaniecie zaprowadzeni przez ten właz do mesy na górnym pokładzie.

– Chyba najpierw coś zjemy – szepnął Mitchellowi do ucha Ramirez.

– Wątpię.

– Są jakieś pytania, kapitanie Mitchell? – zapytał Sands.

– Nie ma.

– No i dobrze. Zostaniecie poinstruowani, gdzie nie wolno wam wchodzić, jakie procedury obowiązują na okręcie i, co najważniejsze, jak sflukiwać po sobie wodę.

Mitchell i jego Duchy zachichotali.

Ale Sands wcale nie żartował.

– Tymczasem załoga rozładuje wasz sprzęt i przeniesie go na pokład. Będzie na was czekać w przedziale torpedowym.

Zwracając się do Mitchella, Sands dodał:

– Kapitan Gummerson zaprasza pana do swojej kabiny w dogodnym dla pana czasie.

– Jestem do jego dyspozycji – odrzekł Mitchell. – Proszę mi wskazać drogę. Tylko najpierw wezmę jeden z tych liczników Geigera.

– Schodzę! – krzyknęła zgodnie z instrukcją snajperka Alicia Diaz. Przyjrzała się szerokiej na niecałe sześćdziesiąt pięć centymetrów ciemnej dziurze i chwyciła za krawędź wjazdu. Szczelbel po szczelblu zeszła na dół, tuż za bosmanem sztabowym Sualllem.

W towarzystwie Smitha, Hume'a i Sualla stała teraz w dole, czekając na pozostałych.

– Co tak śmierdzi? – zapytał Hume.

– To Smith – odrzekła ze śmiechem Diaz. – Próbuje odór swojego cielska zabić wodą kolońską, ale taka mieszanka cuchnie jeszcze gorzej.

Smith zmarszczył brwi.

– To mój naturalny piżmowy aromat. Doprowadza kobiety do szaleństwa. Chyba masz katar, Alicio.

Bosman wyrecytował najwyraźniej przygotowane wcześniej wyjaśnienie:

– To, co czujecie, to połączenie powstającego pod wysokim napięciem ozonu, oleju napędowego i smarów oraz pochodnych amoniaku, nazywanych aminami, z naszego systemu uzdatniania powietrza. Przywykniecie do tego.

– A co mi tak dzwoni w uszach? – zapytał Smith.

Bosman się uśmiechnął.

– To szum urządzeń elektronicznych, działających z częstotliwością czterystu herców, który zmienia naszą łódkę w ósmy cud świata. Wszystkie nasze systemy komputerowe korzystają z prądu o częstotliwości czterystu zamiast sześćdziesięciu herców. Dzięki wyższej częstotliwości wszystko jest mniejsze, lżejsze, dokładniejsze i nie rozgrzewa się tak bardzo podczas pracy. Nie przejmujcie się. Do tego brzęczenia też przywykniecie – mówiąc to, zerknął w kierunku jednego ze stołów w mesie. – Wiecie co? Kłapnijcie sobie, a ja zaczekam na pozostałych.

Diaz zrobiła, jak mówił. Hume poszedł w jej ślady, po czym nachylił się do niej, by oznajmić:

– Jesteś jedyną kobietą na całym tym okręcie. Rozumiesz?

– I co z tego?

- Chodzi o to, że... będziemy musieli cię pilnować.
- Wielkie dzięki, Johnny – odpowiedziała, robiąc do niego jedną z najpaskudniejszych swoich min.
- Mówię tylko...
- O wiele za dużo – ucięła.

Mitchell wszedł do kajuty dowódcy okrętu. Była o wiele mniejsza, niż to sobie wyobrażał. Stało tu, co prawda, biureczko, ale ściany były gołe jak w pozostałych pomieszczeniach.

Kapitan Gummerson wyszedł mu na spotkanie. Uśmiechał się promiennie. Poprzetykane siwizną włosy nadawały jego głowie wygląd granitowej skały.

– Dobry wieczór, kapitanie – odezwał się głębokim, czystym głosem. – Jestem Ken Gummerson. Witam na pokładzie.

– Dziękuję, kapitanie. Proszę mi mówić Scott – odparł Mitchell, ściskając mu dłoń.

– Tak tu pusto, bo jestem już spakowany. Kiedy dostaliśmy wezwanie, byliśmy właśnie w drodze do Japonii, gdzie mieliśmy wziąć na pokład mojego zmiennika. To chyba moja ostatnia misja na pokładzie „Montany”.

– No cóż, mam nadzieję, że się uda.

– Ja również.

– Muszę też powiedzieć, że choć bywałem tu i ówdzie, pierwszy raz jestem na pokładzie atomowego okrętu podwodnego klasy Virginia. Robi wrażenie.

Gummerson z uśmiechem skinął głową.

– Pływam na okrętach podwodnych od trzydziestu lat, ale „Montana” wciąż jeszcze mnie zadziwia – mówiąc to, kapitan wskazał fotel obok swojej koi. – Proszę odpocząć. Muszę załatwić parę rzeczy. Trzeba powiedzieć, żeby przyniesiono panu biuletyn radiowy. Macie nowe wiadomości od szefa. Kiedy się już zanurzymy, będą panu przynosić biuletyn za każdym razem, gdy odbierzemy adresowaną do was wiadomość.

– Rozumiem.

– Panie Scott, w tej chwili znajdujemy się na pokładzie środkowym. Nazywam go Main Street. Naprzeciw mojej kajuty znajduje się centrum dowodzenia. Dalej w kierunku rufy znajdują się latryna przeznaczona dla mnie i drugiego oficera, jego kajuta i kajuta VIP-ów. Za nią jest gródz z włazem prowadzącym do przedziału reaktora. Pomieszczenia rufowe za tym włazem dostępne są tylko dla personelu technicznego – zaznaczył Gummerson.

– Rozumiem.

Kapitan znów się uśmiechnął.

– Zresztą i tak zostanie pan oprowadzony po okręcie.

Mitchell odwzajemnił uśmiech.

– Doskonale.

– Usunąłem oficera operacyjnego z kajuty dla VIP-ów i oddaję ją na użytek plutonowej Diaz.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewnił go Mitchell. – Plutonowa Diaz potrafi sobie radzić w życiu. Nigdy nie traktujemy jej w jakiś szczególny sposób.

– Doceniam to, ale „Montana” to nowoczesny okręt z upartymi dziwakami hołdującymi starym morskim tradycjom. Dopóki nie trafili do szkoły dla podwodniaków w New London, nigdy nie słyszeli o Rickoverze. Myśleli, że to Juliusz Verne był ojcem atomowego okrętu podwodnego. Pan chyba tak nie sądzi, co?

Mitchell z uśmiechem pokręcił głową.

– Ufff. No więc kiedy już wypłyniemy, nie przestrzegamy jakichś szczególnych zasad dotyczących ubioru. Ubieramy się... hm... swobodnie, a czasem wcale, zwłaszcza w kajutach. Diaz będzie dzielić toaletę z drugim oficerem i ze mną. Ułożymy jakiś harmonogram dla naszej trójki.

– Rozumiem. Naprawdę to doceniam.

– Nie ma sprawy. – Gummerson zerknął do notatnika, po czym ciągnął: – A teraz co do desantu. Komora wyjściowa mieści dziewięć osób, czyli będziecie musieli opuścić okręt za jednym razem. Trzeba to jednak przećwiczyć z pomocą komandosów z SEAL. Powiedziałem o tym generałowi Keatingowi.

– Nie zamierzam oponować.

– Skontaktujecie się z bosmanami SEAL Tannerem i Phillipsem. Nim dopłyniemy do Chin, przećwiczycie dwa warianty, z oświetleniem i w całkowitej ciemności.

Gummerson miał zamiar mówić dalej, gdy do drzwi zapukał radiowiec z dwoma biuletynami.

– Na tym na razie skończymy – oznajmił kapitan. – Wracajmy do mesy oficerskiej. Napijemy się kawy, przedstawię pana innym oficerom i zapoznamy się z tymi najnowszymi informacjami.

– Doskonale – odrzekł Mitchell, podnosząc się z miejsca. – Kapitanie, jeszcze jedno. Czy to prawda, że macie najlepsze żarcie w całej marynarce?

– Proszę się nie martwić, sami się o tym przekonacie.

Po przedstawieniu pozostałym oficerom, Mitchell zasiadł przed terminalem komputerowym. Wyświetlił nagraną przez generała Keatinga wiadomość w postaci pliku filmowego. Jego szef potwierdzał, że rozpoczęto obserwację satelitarną zamku Hakka. Zarejestrowano, jak agenci CIA spotykają się ze swoim człowiekiem na zamku.

Generał poinformował też o wzmożonej aktywności w okolicach baz pocisków balistycznych w regionie Nankinu. Wspomniął, że sytuacja na Tajwanie się pogarsza. Wprowadzenie stanu wojennego zaowocowało wieloma przypadkami naruszenia praw człowieka przez wojsko i policję. Mimo aresztowań, demonstranci pikietowali pałac

prezydencki. Na ekranie pojawiły się obrazy pałowanych do krwi cywilów.

Mitchell mógłby się założyć o roczny żołd, iż generał powtórzy, że wszystko zależy od niego – od tego, czy Duchy powstrzymają członków sprzymierzenia Wiosennych Tygrysów od wprowadzenia w życie ich planu.

– Tak, wiem. Wszystko zależy ode mnie – burknął po zakończeniu transmisji.

Druga wiadomość była przykrym zaskoczeniem. Pochodziła z Czerwonego Krzyża. Zmarł ojciec Bo Jenkinsa. Zgodnie z poprzednim raportem jego stan był stabilny, ale sprawy nagle przybrały zły obrót. Mitchell chciałby odwlec zakomunikowanie tego Bo, żeby nie odciągać jego uwagi od misji. Uważał jednak, że to nie byłoby w porządku, Bo zasługiwał, by natychmiast się o tym dowiedzieć.

Z drugiej jednak strony, zważywszy na to, o co toczyła się gra, Mitchell potrzebował każdego Ducha w szczytowej formie.

Siedział tak przez kilka chwil, starając się postawić na miejscu Bo.

Mimo woli zaczął myśleć o własnym ojcu, który pewnie heblował teraz trumnę dla siebie.

Młody porucznik miał na głowie fryzurę, którą plutonowa Alicia Diaz określała jako plażowy jeź – rozjaśniane włosy z pasemkami. Oficer patrzył, jak wychodzi z kajuty dla VIP-ów obok mesy oficerskiej. Uśmiechnęła się, patrząc na złote skrzydła nad kieszonką na lewej piersi porucznika. Ładny chłopiec z tego oficera.

– Jesteś pilotem? – zapytała.

– Awiatorem marynarki wojennej. A to zasadnicza różnica – mówiąc to, wyciągnął do niej rękę. – Jeff Moch.

– Mach, jak ten od prędkości?

– Nie, pisze się przez „o”.

– Fajniej byłoby przez „a”, tak jak moje nazwisko: Alicia Diaz.

– Też ładnie. Doszły mnie słuchy, że wszyscy chcecie przejść do marynarki.

– Robota złośliwych języków – odparowała, po czym umilkła, nie wiedząc, co powiedzieć. – Niech mi pan wyjaśni, poruczniku – rzuciła wreszcie – jaka jest różnica między pilotem a awiatorem?

Zachichotał.

– Awiatorów wystrzeliwuje się z przodu lotniskowca. Do lądowania potrzebujemy haków i lin. Piloci tak sobie jakoś podlatują.

– Rozumiem...

– Awiatorzy muszą za każdym razem ustalić, gdzie popłynęło ich lotnisko, które mogło nawet zatonać. Piloci mają je tam, gdzie je zostawili. Nigdy też nie spotkałem pilota, który potrafiłby zatrzymać pociąg, nie używając działek ani bomb.

– Zatrzymać pociąg?

– Masz czas, żeby wysłuchać mojej opowieści?

– Utknęłam tu na dwadzieścia kilka godzin, póki nie dopłyniemy do cieśniny.

– Racja. No dobra, kiedy więc lataasz już samodzielnie, tradycja wymaga tego, żeby w ciągu trzech dni zatrzymać pociąg. Nie możesz tego zrobić, zanim nie zaczniesz latać samodzielnie, bo to nielegalne, a wcześniej zawsze masz ze sobą jakiegoś instruktora.

– Jak więc to się robi?

– Floryda jest płaska jak naleśnik. Łatwo znaleźć trzydziestokilkukilometrowy kawałek prostych torów kolejowych. Znaleźć i obserwować. A oto i on, spóźniony wieczorny pociąg linii Seaboard Coast.

– On jest spóźniony, ale ty jesteś o czasie – przekomarzała się.

– A jakże. Nadlatuję wysoko, nad wierzchołkami drzew. W ostatniej chwili schodzę w dół. Spadam z nieba jak kamień. Wyłączam światła nawigacyjne, ograniczam prędkość do minimalnych dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę i wlatuję nad tory na wysokości sześciu metrów.

– Czy już mam wydać okrzyk podziwu?

– Pozwól mi skończyć. Dopiero wtedy włączam światło lądowania. Teraz jesteśmy tylko ja i pociąg. Dwa światła naprzeciwko siebie.

– Naprawdę to zrobiłeś?

Skinał głową.

– Maszynista widzi zbliżające się pojedyncze światło i zaczyna się zastanawiać. Czyżby kontroler ruchu coś spieprzył? Pomylił się zwrotnicowy? Może to jeden z tych zwariowanych gnojzków z Pensacoli? Hamuje, nie może przecież ryzykować. Słyszy, jak przelatuję mu nad głową niczym błyskawica, i już mnie nie ma. Jak UFO.

Moch nie wydawał się jej już taki uroczy. Woda sodowa uderzyła mu do głowy tak, że mógłby robić za syfon.

– Nie wierzę, żeby coś takiego uchodziło wam na sucho – stwierdziła.

– Dostałem nagane, którą anulowano, gdy skończyłem szkołę. Marynarka doszła do wniosku, że jestem wystarczająco popieprzony, żeby wystrzeliwać mnie z lotniskowca.

– I w nagrodę wsadzili cię na okręt podwodny.

– Ależ skąd. Jestem tu z twojego powodu. Porucznik Schumaker i ja latamy predatorem.

– My mamy własnego UAV-a – skwitowała, wzruszając ramionami. – Prawdę powiedziawszy, nasz kapitan przeprowadzi podczas tej misji test bojowy nowego drona.

– Obiło mi się o uszy. Ale nasz predator mimo wszystko lata szybciej i dalej niż wasze drony. Wystrzeliwujemy go z pionowej wyrzutni rurowej. Można powiedzieć, że okręty z takim wyposażeniem mają peryskopy długie na trzy tysiące metrów. Wierz mi, jeszcze będziesz się cieszyć, że nad wami latamy. A co ty mi powiesz ciekawego?

Diaz postanowiła nieco się zabawić kosztem tego macho.

– Cóż – zaczęła łagodnym głosem – z pewnością nie mam zdolności awiatora, ale lubię obliczać sobie w myśli szybkość opadania pocisku, biorąc pod uwagę zasięg strzału i

uwzględniając poprawkę na wiatr. Lubię wstrzymywać oddech i naciskać spust między jednym uderzeniem serca a drugim. Lubię słuchać starych piosenek Bee Geesów i patrzeć, jak mózgi wrogów rozchlapują się w promieniu kilkunastu metrów po uderzeniu pocisku. Jak to mówią, tu trzeba kobiecej ręki.

Moch zrobił wielkie oczy.

– Alicia, może zajdziemy do mesy oficerskiej, ty sobie klapniesz w fotelu, a ja przyniosę ci kubek pysznej marynarskiej kawy?

Zaśmiała się z cicha.

– Burbona nie macie?

Mitchell znalazł Jenkinsa w luku torpedowym, razem z Beasleyem, Hume'em i Smithem. Po raz kolejny sprawdzali sprzęt i akumulatory.

– Bo – zagadnął – mogę z tobą pomówić?

– Tak jest, kapitanie.

Odeszli w kąm pomieszczenia. Mitchell oparł się o gródź.

– Powiedzmy, że przenieśliśmy się do przyszłości – rzekł – a ty jesteś dowódcą sekcji Ghost Recon.

Jenkins przez chwilę był całkiem zdezorientowany.

– Czy to znaczy, że ukończyłem wcześniej college?

– Tak.

– Cholera. Nieźle.

– Jesteś więc dowódcą i nadchodzi dzień poprzedzający wielką operację. Wiesz, że każdy z twoich ludzi musi mieć jasny umysł. Wiesz, że nie możesz sobie pozwolić, by ich cokolwiek rozpraszało. Ale wiesz też, że nadeszły wieści z kraju, które źle wpłyną na kilku członków twojego zespołu. Co zatem robisz? Przekazujesz im te wieści? Czy też czekasz na zakończenie misji?

Jenkins przełknął ślinę. Wziął głęboki oddech. Nie potrafił dłużej patrzeć Mitchellowi prosto w oczy.

– Nie powiedziałbym nic, kapitanie. Misja jest ważniejsza. Te wieści mogą poczekać.

Mitchell zamyślił się na chwilę, po czym wolno skinął głową.

– Bo, nie staram się tu wykręcić.

– Wiem. Śniłem o nim zeszłej nocy. Wierzy pan w życie po śmierci?

– Jeszcze się nie zdecydowałem. Tymczasem jesteśmy jednak jedynymi duchami, w jakie wierzę.

– A co z przeznaczeniem?

– Liczy się to, co sami robimy. Nie sądzę, by ktoś nas w tym wyręczał. Mogłem zostać w domu i naprawiać samochody lub strugać sobie mebelki, ale zdecydowałem się zmieniać świat. To moja własna decyzja.

– No tak, ale może są w naszym życiu takie drzwi, przez które przechodzimy. Niektóre zamykają się za nami, niektóre nie. Czasami sami je zamykamy. Czasem robi to ktoś za nas.

– Kto to wie.

– Kiedy opuściłem rodzinny dom, zatrzasnąłem za sobą te drzwi. Wiedziałem, że mój ojciec umrze. Od dawna chorował. Jakoś sobie z tym poradzę.

– Jesteś pewien?

– Jeśli już coś mogę dla niego zrobić, to właśnie być tutaj. Gdyby nie on, nie zostałbym Duchem.

Dłoń Mitchella opadła na masywne ramię Bo.

– Równy z ciebie facet, Bo. Przykro mi z powodu twojego taty.

– Dziękuję, kapitanie – powiedział i wrócił do innych.

Mitchell przymknął oczy i westchnął, zastanawiając się, czy aby na pewno podjął właściwą decyzję.

ROZDZIAŁ 23

USS „Montana” (SSN-823) w drodze do Cieśniny Tajwańskiej Morze Południowochińskie kwiecień 2012

System fly-by-wire „Montany” utrzymywał liczący sto piętnaście metrów długości okręt na głębokości trzydziestu metrów. Mitchell ze swoimi ludźmi przeciwiczył zatapianie komory, opuszczanie jej i powrót do niej, zarówno ze światłem, jak i w całkowitej ciemności. Ćwiczenia przeprowadzono w ciągu pierwszych sześciu godzin po wypłynięciu z Subic Bay – kiedy wciąż jeszcze byli na ciepłych wodach.

Trzeba przyznać, że kosztowało ich to nieco nerwów – stać tak w całkowitej ciemności, czując, jak podnosi się poziom wody. W tych ostatnich sekundach Mitchell myślał tylko o wypadkach i ostrzeżeniach komandosów z SEAL.

Poza tym dwudziestjednogodzinna podróż do zatoki Xiamen przebiegała spokojnie. Mitchell i jego ludzie słuchali morskich opowieści i dzielili się wspomnieniami z własnych akcji. Wskazówka licznika kłamstw na milę morską przekroczyła skalę.

Kiedy zbliżyli się do zatoki stanowiącej kres ich podróży, „Montana” weszła w tryb ultracichy. Wnętrze okrętu oświetlane było czerwonym światłem. Ci, którzy nie pełnili wachty, nie opuszczali swych koi. Oglądanie telewizji i inne formy rozrywki były wzbronione. Zamknięto nawet mesę.

Kapitan powiadomił Mitchella, że przeczesują całą zatokę. Głębokościomierz i sonar przeciwminowy przeszukiwały przestrzeń pod okrętem i wokół niego całkiem bezkarnie dzięki hałasowi generowanego dzień i noc przez liczne jednostki pływające i maszyny stoczniove.

Właśnie zaszło słońce. Pod osłoną nocy wysunęli maszt fotonowy, aby zrobić zdjęcia i pomiary laserowe miejsc nadających się do lądowania.

Korzystając z tych zdjęć, Mitchell z Gummersonem ustalili lokalizację. Wybrali miejsce w pobliżu południowo-wschodniego krańca niezamieszkanego piaszczystego mierzei.

– Wygląda nieźle – orzekł Mitchell.

– Faktycznie. Nie bójcie się, podejdę na jakieś trzysta metrów, żebyście nie musieli

daleko płynąć, a i tak będę miał pod sobą jakieś siedemdziesiąt pięć metrów wody.

Kapitan wyjaśnił następnie, że nawet z kilem na głębokości trzydziestu metrów czubek kiosku „Montany” znajdowałby się ponad czternaście metrów pod powierzchnią morza. Oznajmił też, że nie widział w zatoce żadnego statku, który przy pełnym obciążeniu miałby takie zanurzenie.

– W dodatku mamy przyływ, i to wiosenny – dodał.

– To dobrze?

– Doskonale. Wiosenne przyływy są bardzo wysokie. Słońce znajduje się na jednej linii z księżycem i zwiększa jego oddziaływanie grawitacyjne. Ty nie musisz tak daleko płynąć do plaży, a ja mam więcej wody pod kilem.

– Świetnie.

– Jeszcze jedno. Słońce wschodzi o piątej dwadzieścia cztery. Jeśli do tego czasu nie znajdziecie się w wodzie, będziemy wracać po was każdej nocy o tej samej porze, aż NCA* wyda nam wyraźny rozkaz przerwania operacji. Nie zwykłem zostawiać ludzi na pastwę losu.

– Ja również nie. Doceniam to. Ale jeśli będziecie musieli nas zostawić, porwiemy po prostu jakąś riksę i ruszymy na zachód.

– Nie wątpię – odparł z uśmiechem kapitan. – Teraz zaś muszę przekazać punkt lądowania do dowództwa, a oni już poinformują o nim agentów, którzy skontaktują się z wami na brzegu.

– Dziękuję.

Piętnaście minut później Mitchell wraz z innymi ośmioma członkami sekcji stał już w chłodnym metalowym wnętrzu komory ewakuacyjnej.

– Wszyscy gotowi? – spytał.

Odpowiedziało mu osiem uniesionych kciuków.

Założyli już kombinezony i gogle. Na piersiach mieli przypięte aparaty tlenowe Draeger LAR-V.

LAR-V był autonomicznym aparatem tlenowym, zaprojektowanym specjalnie z myślą o operacjach w płytkiej wodzie. Mitchell i jego Duchy będą wdychać stuprocentowy tlen, zaś wydychane przez nich powietrze zostanie przepuszczone w obiegu zamkniętym przez filtr usuwający dwutlenek węgla. Dzięki temu aparaty Draeger pozwalały pływać bez wypuszczania baniek powietrza, jakie wytwarzał konwencjonalny sprzęt nurkowy.

Każdy komandos miał też przy sobie plecak z ekwipunkiem, pistolet Px4 Storm SD oraz wybrany przez siebie karabin – a nawet dwa.

Po drugiej stronie wjazdu stał bosman SEAL Tanner, błękitnooki osiłek zbudowany chyba z samych mięśni. Teraz uniósł w górę kciuk.

* ang. National Command Authority – najwyższe dowództwo wojskowe, w praktyce termin ten oznacza prezydenta i sekretarza obrony.

– Proszę pamiętać, kapitanie – odezwał się – żeby wsunąć ten nadajnik w jeden z aparatów pozostawionych na plaży. Bosman Phillips i ja wynurzymy się dziesięć minut po was, żeby pozbierać sprzęt.

– Zrozumiałem, bosmanie.

Tanner zamknął właz i dał rozkaz zalania komory. Poziom wody zaczął się podnosić. Nie była zbyt chłodna – miała temperaturę dwudziestu czterech stopni Celsjusza. Wsunęli między zęby ustniki aparatów. Kiedy woda wypełniła komorę, otworzył się drugi właz i cała dziewiątka wypłynęła w falującą ciemność.

Przeptywając krótki dystans dzielący ich od plaży, Mitchell pamiętał o instrukcjach bosmana Phillipsa. Musieli się rozproszyć, utrzymując między sobą odległość około dwudziestu metrów. Dzięki temu wynurzą się pojedynczo – i tak też wyjdą z wody.

Przydzielono więc każdemu z komandosów numer, poczynając od Jenkinsa, a na Mitchellu kończąc. Kapitan wolno uniósł głowę, gdy kolanami otarł się o dno. Patrzył, jak jego komandosi jeden po drugim wychodzą na pusty brzeg, zgodnie z ustaloną kolejnością.

Za ich plecami na południowym wschodzie znajdowała się słynąca z kurortów wyspa Gulangyu. Oświetlające ją wielokolorowe światła mrugały we mgle. Mitchell przesunął maskę na czoło i skrzywił się, czując ohydny odór wody. Podpełzł bliżej brzegu i zdjął płetwy, zostając w mokrych butach, po czym pobiegł do brzegu.

Tam wraz z innymi zdjął sprzęt nurkowy i pozostawił go do zabrania przez SEAL. Następnie włączył nadajnik i ruchem ręki nakazał wymarsz.

Pośpieszyli na zachód, przez gęsty las, ku przeciwległemu końcowi mierzei, gdzie długi pirs wcinał się w kanał między nimi a stałym lądem.

U jego końca przycumowano samotny drewniany kuter rybacki. Choć światła miał wyłączone, silnik chodził głośno na jałowym biegu, wypływając kłęby czarnego dymu. Na łódce ledwo mogło się zmieścić sześć osób, a co dopiero dziewięć czy dziesięć.

Mitchell dał kolejny znak ręką i cała sekcja wypadła z lasu. Pochyleni dobiegli do pirsu.

Kiedy dotarli do łódki, do burty podszedł łysy Chińczyk w okularach, z wydatnym brzuchem.

– Wchodźcie na pokład! – odezwał się, całkiem dobrze po angielsku, przekrzykując silnik. – Szybko, szybko! Który to kapitan Mitchell?

– To ja! – odparł Mitchell. Przelazł przez reling i znalazł się na pokładzie.

– Witam, mówią na mnie Budda. Zabieram was na drugą stronę kanału. Zacumujemy przy pirsie, z którego korzystają tylko rybacy. Czekają na nas dwa samochody. Przebierzecie się w nich.

– Doskonale. Niezłą masz ksywkę.

– Też tak uważam. – Budda stanął za sterem, pokrzykując na Nolana i Hume'a, żeby ściągnęli cumy. Potem zwiększył obroty i odpłynął od pirsu.

Siedzieli, nie wychylając się za burtę, z dala od wścibskich oczu. Mitchell wydobyl z

plecaka monokl Cross-Comu ze słuchawką. Zaczepił aparat za lewym uchem, włączył zasilanie i wydał komendę głosową:

– Aktywować Cross-Com.

W trzy sekundy połączył się z siecią.

Gdy ekran ożył, kapitan natychmiast zaczął wydawać kolejne polecenia. Wywołał pierwszy element wsparcia – obraz z satelity filmującego zamek. Jeszcze obraz nie nabrał ostrości, dając noktowizyjny widok z góry na cztery wieże i prostopadłościenny budynek centralny, a Mitchell już zauważył śmigłowiec lądujący na polu obok.

– Zgodnie z rozkładem – wyszeptał.

Przeplnięcie kanału zajęło im ledwie piętnaście minut. Kiedy podpływali do rybackiego pirsu, Budda nieco za późno wyłączył silnik. Walnęli w jeden ze słupów tak mocno, aż pękł reling.

– Przepraszam – tłumaczył się Budda – jestem stworzony do miłości, nie do żeglowania.

– Przydałyby ci się jednak jakieś lekcje – orzekł Nolan, pomagając rzucić cumy.

Młody człowiek, na oko niewiele po dwudziestce, czekał na nich przy samochodach. Zdusił papierosa i kciukiem wskazał osłonięte plandekami platformy ciężarówek.

– Jaja sobie chyba robicie – powiedział z niedowierzaniem Brown.

– Ładuj się – warknął Mitchell.

Silniki samochodów nie chodziły wiele ciszej niż motor łodzi. Sądząc po kształcie błotników i dużych, okrągłych przednich lampach, wyprodukowano je zapewne w latach pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych zeszłego wieku.

– Nie mogli skombinować czegoś lepszego? – zagadnął Ramirez, przechodząc obok Mitchella.

– A skąd ja to mam wiedzieć? Spytałem ich.

Kiedy inni ładowali się do samochodów, kapitan odciągnął Buddę na bok i zadał to pytanie.

– Kapitanie – padła odpowiedź – te stare jiefangi często spotyka się na górskich drogach i po wioskach. Armia chińska sprzedała wiele z nich rolnikom. Nowiutka terenówka zwracałaby uwagę.

– A dadzą radę podjechać pod górę?

– Tak sędzę.

– Nie możemy się spóźnić.

Budda otworzył szeroko oczy.

– To czemu gadamy po próżnicy?

Mitchell pokiwał głową i ruszył do samochodu.

– Kapitanie – zawołał za nim Budda – jeśli nas zatrzymają, wszyscy mają mieć założone maski i nikt się nie może odzywać! Udajemy tajniaków. Przygotowałem potrzebne papiery. A, jeszcze jedno, mój partner nazywa się Skaut.

– W porządku.

Mitchell sięgnął do klapy i podciągnął się do góry. Na platformie siedzieli już Diaz, Nolan, Smith i Ramirez. Na kombinezony zakładali jednakowe czarne mundury i czarne kominiarki, zakrywające całą twarz z wyjątkiem oczu.

– Jak tam? – zagadnął.

– Dobrze – odparła Diaz. – Nawet mój mundur pasuje.

– Doskonale. A zatem witamy w Chinach.

USS „Montana” (SSN-823)
Cieśnina Tajwańska
Morze Południowochińskie
kwiecień 2012

Pięć mil od brzegu kapitan Gummerson podłączył się do zabezpieczonego satelitarnego kanału danych taktycznych i obserwował, jak dziewięć zielonych plamek centymetr po centymetrze przemieszcza się po ekranie.

Wyobrażał sobie, że dwanaście stref czasowych dalej najpotężniejszy przywódca wolnego świata siedzi samotnie, obserwując te same zielone punkciki.

– Kapitanie, predator gotowy do wystrzelenia – oznajmił drugi oficer.

– Bardzo dobrze. Musimy zmieścić się w czasie, tak by Mitchell i jego ludzie mogli maksymalnie wykorzystać naszego ptaszka.

– Tak jest. Ale... wciąż niepokoi mnie możliwość wykrycia podczas wystrzelenia.

– Mamy czas, by odpłynąć stąd dwadzieścia mil. Nie da się zmniejszyć rozbłysku z silnika nośnego predatora, ale nie ma potrzeby budzić sąsiadów.

– Czyta mi pan w myślach, kapitanie.

– Obaj lepiej sypiamy, gdy wiemy, że otacza nas morskie pustkowie. Tego by tylko brakowało, żeby jakiś obdarzony sokolim wzrokiem obserwator ze statku handlowego wypatrzył predatora.

– Tak jest, kapitanie. Pozwoli pan, że zauważę, iż kapitan Mitchell to prawdziwy profesjonalista.

– Też tak uważam. Świetny byłby z niego podwodniak. Nie możemy sobie pozwolić na utratę takiego gościa.

– Tak jest. Jeśli oni zrobią, co do nich należy, my także nie zawiedziemy. Ma niezwykle sprawny zespół!

Gummerson zmrużył oczy, wpatrując się w ekran. Czasem bycie sprawnym nie wystarczało.

**Zamek Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Kapitan Fang Zhi odebrał właśnie meldunki radiowe od swoich trzyosobowych zespołów usytuowanych przy północnym, południowym, wschodnim i zachodnim budynku. Byli już na miejscach. Żadnych problemów, poza tym że jednego z nich podczas zajmowania posterunku pogryzł pies.

Fang wciąż czekał na meldunek dwuosobowego zespołu w środkowym budynku, gdzie Wiosenne Tygrysy zbierały się właśnie, by powitać wiceadmirała Cai, który przybył ostatni. Sam Fang znajdował się na czwartym piętrze tego samego budynku, skąd szybko mógł dostać się na dach i obejrzeć cały zamek. Nie on jeden miał taki punkt widokowy.

Na wzgórzach rozmieścił dwóch snajperów. Jeden znajdował się na wschodnim grzbiecie, drugi na stromym zboczu na północy. Oni pierwsi skontaktowali się z nim. W nocy mieli meldować się co piętnaście minut.

Fang poradził swoim ludziom, by wyspali się na zapas poprzedniego dnia, jednak sam nie zastosował się do tej rady.

Większość dnia spędził, wspominając incydent na wyspie Basilan. Znow przeżywał swoje upokorzenie, chwile, gdy oznajmiono mu, że zostaje wydalony z wojska, bo nie potrzebują takich tchórzy. Wszystkie stare rany się otwały.

Teraz, w przeddzień wymierzenia sprawiedliwości, nie mógł opanować ziewania, gdy słuchał raportu plutonowego Chunga – tego głupca, który oskarżył go o szpiegostwo.

– Tu Tygrys Dwanaście. U mnie czysto.

Fang już miał przemówić do wiszącego przy ustach mikrofonu, kiedy odwrócił się i omal na kogoś nie wpadł.

– Przepraszam, kapitanie, ale przyszedłem panu powiedzieć, że wszyscy przeszli do jadalni. Posiłek przygotowano dokładnie według pana zaleceń.

Naprzeciw niego stał Huang. Pobity i pokonany. Może któregoś dnia nadejdzie jego czas. Jednak dzisiejszy dzień należał do Fanga.

– Dziękuję, Huang.

– Jeszcze jedno, panie kapitanie. Nie chcę pana niepokoić, ale elektrownia od dwóch tygodni modernizuje transformatory. Za kilka godzin odłączą zasilanie, ale tylko na niecałe pół godzinki.

Fang zmarszczył brwi.

– Czemu nie powiedziałeś o tym wcześniej?

– Nie sądziłem, że to ważne.

Fang syknął przez zęby.

– Wszystko jest ważne. Ale i tak dobrze się spisaleś. Po jutrzejszym spotkaniu zostawię ci

moją terenówkę.

Huang spuścił głowę i czmychnął.

Fang żałował, że ten człowiek nie potrafił mu się postawić. Nie miał najmniejszego zamiaru pozostawiania mu swojego samochodu. Ani też pozostawiania Huanga przy życiu.

ROZDZIAŁ 24

W drodze do zamku Hakka Xiamen, Chiny kwiecień 2012

Stara ciężarówka zagulgotała i zaczęła zwalniać. Mitchell wywołał na swoim wyświetlaczu HUD mapę taktyczną, by przyjrzeć się krętej górskiej drodze wiodącej do zamku. Droga świeciła na zielono. Zamek oznaczono żółtym kwadratem i słowami „Główny cel”.

Dojechali do rozwidlenia. Ciężarówka z sekcją Bravo, za kierownicą której siedział Chińczyk nazywany Skautem, skręcała właśnie w prawo, na szlak o długości prawie dwóch kilometrów, wiodący do stacji transformatorowej.

– Beasley do dowódcy Duchów. Wspinamy się. Skontaktuję się z wami, kiedy dotrzemy do drugiego celu.

– Zrozumiałem.

– Kapitanie?

Mitchell sięgnął po otrzymany od Buddy telefon komórkowy z funkcją krótkofalówki.

– Nadawaj.

– Dobre wieści czekają na drodze przed wami.

– Zebrało ci się na filozofowanie czy wiesz coś, czego my nie wiemy?

– Mam małą niespodziankę.

– Doprawdy? No to dawaj. Oby tylko była dobra.

– Myślę, że się panu spodoba.

– Słyszeliście to? – spytał Mitchell swoich ludzi. – Ma niespodziankę.

Diaz pokręciła głową.

– Nie cierpię niespodzianek.

– Całkiem tak jak ja – dodał Ramirez.

Mitchell pokiwał głową.

– Kiedy się zatrzymamy, miejcie się na baczności.

Sierżant sztabowy Bo Jenkins nie powiedział nikomu o swoim ojcu. Nie zrobił też tego kapitan. Jenkinsowi to odpowiadało. Nie ma sensu, by ktoś zaczął powątpiewać w jego umiejętności lub też czuł się przy nim niezręcznie. Był profesjonalistą. Dobrze rozumiał, jak istotne jest trzymanie emocji na wodzy.

Jednak takie oczekiwanie w ciężarówce było niebezpieczne. W każdej chwili mógł zatracić się w przeszłości. Przypomnieć sobie dzień, kiedy wraz z ojcem rąbali drewno na opał, czy noc, gdy tata usiłował mu wytłumaczyć, czemu rozwodzą się z mamą.

Jenkins wzdrygnął się i spojrzął na wszystkie te ładunki, które wcześniej przyszykowali. Ty masz C-4, ja mam C-4, C-4 każdy z nas ma – ogółem grubo ponad dwadzieścia kilo. Budda i jego młody pomagier dostarczyli materiały wybuchowe. Teraz Jenkins i Hume musieli tylko przypomnieć sobie dawne szkolenia saperskie, by w razie potrzeby zaimprovizować spektakularną dywersję.

Stacja transformatorowa zbudowana była na zalesionym terenie u podnóża łańcucha wzgórz, co najmniej ćwierć kilometra od najbliższego domostwa. Przysłany przez CIA kierowca prowadził samochód z wyłączonymi światłami, posługując się goglami noktowizyjnymi. Zaparkował samochód jakieś sto metrów na południe.

Jenkins poczuł, jak przyspiesza mu tętno. Czas ruszyć do tańca.

Beasley i Brown pierwsi zeskoczyli z ciężarówki i pognali zabezpieczyć teren. Jenkins i Hume zarzucili sobie na ramię worki C-4 i czekali na sygnał.

– Bezpieczniki po lewej. Pamiętaj – przypomniał Hume.

– Nie ma sprawy.

Trzy minuty potem Beasley dał sygnał. Wyskoczyli z ciężarówki, Jenkins na przedzie, Hume za nim. Pobiegli bitą polną drogą i dotarli do ogrodzenia z siatki zwieńczonego drutem kolczastym. Za płotem znajdowała się stacja transformatorowa. Wyrastała z ziemi niczym wypatroszone flaki jakiegoś elektronicznego stwora – słupy niczym jelita, kable i druty niczym arterie i żyły, łączące większe metalowe organy.

Brown przeciął już kłódkę zamykającą bramę. Jenkins w ślad za Hume'em wszedł do środka.

Ich HUD-y wyświetlały schemat całej stacji transformatorowej – przełączników, połączeń i urządzeń kontrolnych. Obaj zabrali się więc do roboty. Najpierw podłożyli mały, precyzyjnie umieszczony ładunek, który wysadzi bezpieczniki i odetnie zasilanie zamku i terenu wokół niego. Następnie rozmieścili większe ładunki, które mogły zniszczyć całą stację i pograć w ciemnościach większą część prowincji.

Tymczasem Beasley i Brown z ulgą opróżnili plecaki. Nieśli ze sobą będącego na wyposażeniu sekcji SUGV-a* – naprowadzanego robota zwiadowczego, mającego kamery termowizyjne i cyfrowe oraz system głośników. Po wyjęciu go z wodoodpornego opakowania rozpoczęli montaż. SUGV był nieco tylko większy od zabawkowego zdalnie sterowanego

* ang. Small Unmanned Ground Vehicle – mały bezzałogowy pojazd naziemny.

czołgu. Na spoczywającym na gumowych gaśnicach korpusie zamontowano teleskopowy wysięgnik kamery. Jego jedynym uzbrojeniem były granaty dymne, mogące co najwyżej spowolnić wroga. Jednak to właśnie SUGV miał stać na straży stacji transformatorowej i pilnować, by nikt nie dobrał się do ładunków. Robota kontrolował Beasley. SUGV automatycznie ostrzeże go, jeśli wykryje ruch, źródło ciepła czy jakiegokolwiek inne oznaki świadczące o wtargnięciu w strefę określaną przez operatora.

Kiedy Jenkins i Hume skończyli zakładać ładunki, SUGV był już włączony i podłączony do sieci. Każdy z członków zespołu mógł teraz zobaczyć obrazy z jego kamer na swoim wyświetlaczu HUD. Jenkins natychmiast z tego skorzystał. Przed jego oczami zaczęły przesuwać się obrazy ogrodzenia widzianego kamerami robota.

Brown założył na bramie nowiutką kłódkę – niemal identyczną z oryginalną. Tymczasem Beasley za pomocą kieszonkowego bezprzewodowego kontrolera ustawił robota za dwoma słupami. Pozostawał tam w ukryciu, miał jednak dobry widok na okolicę. Kiedy już znajdą się poza zasięgiem, komendy sterujące robotem popłyną przez sieć – choć SUGV będzie wówczas reagował wolniej, z powodu opóźnienia, spowodowanego przez łączność satelitarną.

Cała operacja zajęła dwadzieścia minut bez piętnastu sekund. Beasley dał znać kapitanowi, że opuszczają teren i udają się do zamku.

– Na pana rozkaz odetniemy zasilanie – dodał.

Kiedy już znaleźli się znów w ciężarówce, Jenkins zdjął słuchawkę z monoklem Cross-Comu i ściągnął z głowy kominiarzkę, by otrzeć pot z twarzy i rozmasować zmęczone oczy.

– Wszystko w porządku, Bo? – zapytał Hume.

– Pewnie. A czemu pytasz?

– Po prostu wyglądasz tak, jakbyś był zmęczony.

– Nic mi nie jest. Zabierajmy się na górę i róbmy dalej swoje.

Mitchell wziął głęboki oddech.

– No to jazda.

Ciężarówka zjechała z drogi w wąską przecinkę między drzewami. Budda zatrzymał się i oznajmił:

– Jesteśmy na miejscu. Wsiadka.

Poprowadził ich w głąb lasu. Znaleźli tam dwa wozy: nowoczesne terenówki z napędem na cztery koła. Czarne samochody zaparkowano pod siatką maskującą.

– Podjeżdżamy na górę w gównianych wozach, żeby się dobrze zamaskować. Ale wracamy szybko i stylowo – oznajmił Budda.

– Piękna niespodzianka. – Mitchell się rozpromienił.

– Ucieczka to poważna sprawa. – Budda mrugnął porozumiewawczo. – Zerknijcie no na mapę. Zamek jest zaraz za tym wzgórzem. Ukryję ciężarówkę i zostanę tutaj. Poczekam na

was razem ze Skautem, kiedy już odstawi na miejsce drugi zespół. Jeśli chcecie, żebyśmy weszli na górę, to wejdziemy, ale wolałbym tego uniknąć. Ostrzegam też, że mój partner to żółtodziób.

– A zatem miłej niespodziance towarzyszy przykra – burknął Mitchell. – Chcesz mi powiedzieć coś jeszcze?

– Ależ skąd, kapitanie. – Budda uśmiechnął się krzywo i potruchtał w swoją stronę.

– No dobra, ruszamy do naszego orlego gniazda – zakomenderował Mitchell. Ruszył z powrotem w kierunku drogi, przywołując gestem swoich ludzi. Jego dłoń powędrowała do słuchawki.

– Cross-Com aktywny.

Przekazywana na żywo transmisja wideo z zamku ukazywała dziesiątki oświetlonych okien wszystkich pięciu budynków. Mitchell zrobił zbliżenie każdej budowli, odnotowując w myśli ustawionych przed nimi ludzi. Były to zaledwie sylwetki, trudne do odróżnienia od kręcących się w pobliżu kilkudziesięciu cywilów. Od czasu do czasu spostrzegał lufę karabinu. Wszystko to przypominało kopiec mrowiska. Ich cele kryły się zaś głęboko wewnątrz tego kopca.

Kiedy doszli do linii drzew, Mitchell poprowadził ich w górę zbocza. Kiedy zbliżyli się do szczytu wzgórza, ukryli się głęboko w zaroślach i wpatrzyli w dolinę – ciemnozielony dywan, obsypany żółtawymi diamentami.

– Na żywo wygląda na znacznie większy – orzekła Diaz.

– A te budowle faktycznie przypominają silosy rakietowe – dodał Smith.

– Paul, przyszykuj drona do wypuszczenia – rozkazał Mitchell, uciszając ich.

– Robi się, szefie.

Paul Smith sięgnął do plecaka Mitchella i wydobyl MAV4mp Cypher – nowo zaprojektowanego przenośnego drona, jeszcze cichszego niż UAV3.

Mitchell nadal przyglądał się uważnie obrazom z satelity. Tymczasem Smith aktywował drona kontrolerem, po czym oznajmił, że jest gotów do startu.

– Dowódca Bravo, tu dowódca Duchów – wywołał przez radio Mitchell. – Szykujcie się do odcięcia zasilania.

– Przyjąłem – odparł Beasley, który właśnie wysiadał z ciężarówki ze swoimi ludźmi. – Zmierzamy do śmigłowców i wozów.

Mitchell przełączył się na sytuacyjny widok taktyczny. Przedstawiał on cztery zielone diamenty sekcji Bravo zmierzające ku północnej stronie zamku, gdzie na płaskim terenie posadzono dwa śmigłowce i zaparkowano kolejne dwie terenówki. Mapa również oznaczona była kolorami. Teren zajmowany przez wroga świecił na pomarańczowo, teren zabezpieczony był niebieski, natomiast tereny niedostępne – szare. Sekcja Bravo miała dyskretnie dopilnować, by żaden z tych pojazdów nie ruszył z miejsca. Gdyby którykolwiek z Tygrysów chciał uciec – to tylko na piechotę.

Nagle okno połączenia satelitarne ożyło z trzaskiem. Pojawił się w nim obraz młodego mężczyzny z rozjaśnionymi włosami, na których osadzono zestaw słuchawkowy.

– Kapitanie Mitchell, tu porucznik Moch.

No tak, to o nim mówiła Mitchellowi Diaz.

– Słucham, poruczniku.

– Wystartowaliśmy bez problemu. Za minutę będzie pan miał wsparcie predatora.

– Przyjąłem. Pamiętaj, żeby trzymać się w odpowiedniej odległości. Skanujesz obszar w poszukiwaniu zagrożeń z zewnątrz. Uzupełniasz satelitę. Obszar działań kontrolujemy sami.

– Przyjąłem.

Mitchell uśmiechnął się pod nosem. Moch był zawiedziony, ale sam przyznał jeszcze na okręcie, że silniki predatora mogą ich zdradzić. Mimo to dodatkowy zwiad lotniczy nad górami zawsze się przyda.

– Dowódca Duchów, tu dowódca Bravo. Widzimy kierowców i pilotów w pobliżu pojazdów. Jesteśmy na stanowiskach. Czekamy na pana, szefie.

– Zrozumiałem. – Mitchell zerknął na czas na wyświetlaczu. – Jeszcze trochę za wcześnie – uznał.

Znów zerknął na obrazy z satelity. Odczekał chwilę, po czym przełączył się na czujniki termiczne predatora – zaraz po tym, jak dron się włączył.

Natychmiast zauważył dwóch snajperów rozstawionych na wzgórzach. Dwa świeące czerwone diamenty.

– Diaz, zerknij no na swojego HUD-a. Predator wykrył tam dwa cele.

– Widzę. W porządku, zajmę się nimi.

– Alicia, kiedy zasilanie zostanie wyłączone, a ja dam sygnał, masz się uwinąć szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Najpierw snajperzy, potem strażę przy głównej bramie. I ruszasz dalej.

– Rozumiem. – Diaz wycofała się z zarośli i pomknęła w las po przeciwnej stronie ścieżki.

Mitchell odpiął od pasa komórkę i zadzwonił do Buddy.

– No dobra – odezwał się – gdzie moje cele?

– Przykro mi, kapitanie. Jeszcze nie oddzwonił.

– Czemu się spóźnia?

– Nie wiem.

– To zadzwoń do niego!

– To zbyt ryzykowne. Musimy czekać. W końcu zadzwoni.

– A jak się rozmyślił?

– Dobrze rozpracowałem tego człowieka. Boi się, ale nam pomoże. Chce tylko tego, co najlepsze dla jego wioski.

– Budda, ja tu mam sprzęt w powietrzu i ludzi czekających na ziemi.

– Kapitanie, może pan zaatakować już teraz, ale wygląda na to, że jeszcze nie wszyscy w zamku śpią. Nie mogę obiecać, kiedy będziemy mieli informacje.

Mitchell zdusił przekleństwo.

– Rozumiem.

– Czy mam wypuścić drona? – zapytał Smith.

– Nie, zaczekamy na odcięcie zasilania. Miałem nadzieję, że wcześniej namierzemy cele. Niech to szlag.

W przeciwnym razie będą szukać czterech igieł w pięciu stogach siana. Tyle że każda sekunda spędzona tutaj zwiększała groźbę ich wykrycia.

Zgasły światła w kilku kolejnych oknach zamku.

Kanał połączenia satelitarnego na wyświetlaczu Mitchella przełączył się na widok z miniaturowej kamery zamontowanej na głowie Diaz.

– Kapitanie – odezwała się – mam na celowniku pierwszego snajpera. Żeby dorwać drugiego, będę musiała się przemieścić.

– Czekaj.

– Tak jest.

– Kapitanie, wciąż tu czekamy – niecierpliwił się Beasley ze swojego stanowiska w lesie obok śmigłowców i terenówek.

– Przecież wiem. Cierpliwości.

Tymczasem na zamku Huang, z psem na smyczy, ruszył do głównej bramy.

– A ty dokąd? – zapytał jeden ze stojących na warcie ludzi Fanga.

– Na spacer – odparł Huang.

Strażnik zmarszczył brwi.

– Spaceruj z nim tutaj.

– Tutaj nie chce się załatwić. Muszę go wyprowadzić na zewnątrz.

– Nie.

– Mam zawołać kapitana Fanga?

Żołnierz przełknął ślinę.

– Znasz go?

– Wyprowadzam psa – oznajmił Huang, po czym odwrócił się na pięcie. Podszedł do bramy, otworzył ją i wyszedł na zewnątrz. Z pełną premedytacją nie zamknął bramy za sobą.

Kiedy dotarł do końca ścieżki i skręcił w pole, wydobył z kieszeni telefon. Nerwowo wybrał numer.

Czterdzieści trzy minuty później pułkownik Xu Dingfa leżał w swojej kwaterze w środkowym budynku, skonstruowanym na planie prostokąta. W wazonach stały świeże

kwiaty, a na łóżkach znajdowały się pachnące świeżością prześcieradła. Kapitan Fang zapewnił też dziewczęta „do towarzystwa”. Jedna z nich już robiła Xu masaż erotyczny. Pozostali trzej członkowie Tygrysów zapewne również zażywali nocnych przyjemności przed czekającymi ich rano sprawami decydującymi o życiu lub śmierci.

Kiedy planowali spotkanie, Xu zasugerował, by zebrali się w ciągu pierwszej godziny po przybyciu, jednak Chen natychmiast ostudził jego niecierpliwość. Generał uważał to spotkanie za okazję do przedłużenia sobie weekendu. Chciał nie tylko pracować, ale również świętować, odprężyć się. Tak więc Xu zamówił dziewczęta i zorganizował prawdziwą ucztę zamiast skromnego posiłku.

Rankiem ustalały szczeble dowodzenia, dopracują harmonogram, wreszcie jasno określały poszczególne typy i numery okrętów i samolotów zaangażowanych w operację. Nadadzą kryptonimy i przydzielą obszary działania. Chen rozda karty do szyfrowania łączności w ramach Głównej Sieci Taktycznej Atakującego Smoka, czyli GSTAS, jak sam ją nazwał.

Xu westchnął, gdy dziewczyna mocniej nacisnęła delikatnymi dłońmi jego ramiona.

Naraz światło zamigotało i zgasło.

Dziewczyna pisnęła z przestraszeniem.

Xu podniósł się z łóżka. W ciemności wymacał radio i wywołał Fanga.

Kapitan sprawiał wrażenie poirytowanego.

– Huang mówi mi, że każdej nocy pracują przy transformatorach. Powinni przywrócić zasilanie w ciągu trzydziestu minut. Nie ma powodu do obaw.

– Nie podoba mi się to, Fang. Bezpieczeństwo to twoja działka. Nie zawieź nas.

– Nie zawiodę.

Xu wyłączył radio. Pomyślał, żeby skontaktować się z generałem Chenem i przekazać mu tę wiadomość. Ale Chen mógł już spać. Po co alarmować go czymś, o czym pewnie nigdy się nie dowie?

Xu obrócił się na drugi bok i objął dziewczynę, która zachichotała.

ROZDZIAŁ 25

**Zamek Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Starszy sierżant sztabowy Matt Beasley był zazwyczaj cierpliwym facetem. Po latach studiów nad ludzką naturą nauczył się wypatrywać i nasłuchiwać jak drapieżnik polujący na ofiarę.

Tyle tylko, że światła już zgasły. A kapitan... nie wydał żadnego rozkazu.

Odczekali kolejnych dziesięć minut, by ochrona Tygrysów nabrała fałszywego poczucia bezpieczeństwa.

Uderzenie na zamek od razu po zaciemnieniu było zbyt konwencjonalne. Przeciwnicy byłiby czujni bez względu na to, co powiedział im ich człowiek, umieszczony przez CIA na zamku.

Dlatego też Beasley, Brown, Jenkins i Hume nadal leżeli na brzuchach w rowie na skraju lasu, niecałe sto metrów od dwuosobowych cywilnych śmigłowców.

Zdjęcia śmigłowców, zrobione kamerą Beasleya, zostały już przesłane do sieci. W ciągu minuty zidentyfikowano je jako Brantly B-2B – wyprodukowane przez teksańską firmę wykupioną przez Chińczyków. Do informacji wywiadowczych dołączono szczegółowe schematy, z zaznaczeniem tego, w jaki sposób skutecznie można zniszczyć elektronikę śmigłowców.

W pobliżu śmigłowców zaparkowano dwie terenówki. Nowy model, Brave Warrior. Beasley nie potrzebował instrukcji z centrali, by wiedzieć, jak je unieruchomić.

Kilkaset metrów dalej znajdował się zamek. Teraz, kiedy napęczniałe chmury obniżyły pułap niczym wielkie sterowce i przysłoniły gwiazdy, wydawał się jeszcze bardziej mroczny. W jednym z okien widać było niewyraźne światło latarki.

Wzrok Beasleya znów spoczął na śmigłowcach. Żałował, że Tygrysy nie wybrały większych maszyn, którymi Duchy mogłyby szybko ewakuować się na wybrzeże dzięki uprzejmości chińskich pilotów trzymanyh na muszce.

Jednak zgodnie z prawem Murphy'ego i logiką Tygrysy zdecydowały się na przylot małymi, cywilnymi maszynami.

Zaczął padać deszcz. Beasley miał nadzieję, że kapitan nie ma zamiaru czekać dużo dłużej. Kiedy burza rozpuła się na dobre, cele poszukają schronienia w pojazdach, co jeszcze utrudni ich eliminację.

Tymczasem dwóch pilotów i dwóch kierowców zebralo się przy samochodach. Trzech popijało coś i paliło papierosy. Jeden grał w coś na kieszonkowej konsoli.

Beasley zdążył już wiele razy przećwiczyć w myślach rajd sekcji Bravo. Z początku brał pod uwagę atak z dystansu. Usunęliby wszystkich po kolei po cichu jak snajperzy. Mogliby przy tym w pełni wykorzystać zalety kamer zamontowanych na swoich MR-C*. Kiedy jednak przeciwnicy zgromadzili się w jednym miejscu, zdał sobie sprawę z tego, że należy działać szybciej. Trzeba położyć wszystkich czterech za jednym zamachem.

Aby mieć pewność sukcesu, muszą podejść blisko. Jak najbliżej.

– To już dziesięć minut – wyszeptał Jenkins na kanale radiowym sekcji Bravo.

– Dowódca Bravo do dowódcy Duchów – wywołał kapitana Beasley na kanale głównym.

– Wciąż na pana czekamy, szefie.

– Tak... wiem. Cierpliwości.

– Na co on, do ciężkiej cholery, czeka? – zastanawiał się na głos Brown.

– Kapitan wie, co robi – odparł Beasley, sam nie do końca w to wierząc.

– Szkoda tylko, że nam tego nie wyjaśnił.

– Wydaje się czymś zdekoncentrowany – zauważył Jenkins.

– Wszyscy jesteśmy zdekoncentrowani – warknął Beasley.

– Myślę, że coś się dzieje – oznajmił Brown.

– I owszem, operacja „Widmo Wojny” – uciał Beasley.

– Nie, coś tu nie gra – stwierdził Hume. – Za każdym razem, kiedy współpracujemy ze szpiegami, jest coś, czego nam nie mówią. Mam wrażenie, że kapitan otrzymał właśnie jakieś dane, które mu stanowczo nie pasują.

Beasley westchnął ciężko. Im dłużej będą czekać, w tym większą popadną paranoję.

Posługując się kieszonkową latarką, Huang zaprowadził starszyznę wioski do komnaty, w której zazwyczaj się spotykali. Kiedy mówił, jedenastu pozostałych mężczyzn patrzyło nań niespokojnym wzrokiem.

– Wszyscy są w swoich pokojach. Brama jest otwarta. Nasi goście śpią. Fang ze swoimi ludźmi są na stanowiskach. Powiedziano mi, że możemy spodziewać się czterech mężczyzn ubranych na czarno. Musimy tylko nie wchodzić im w drogę. Wkrótce będzie po wszystkim.

Jeden ze starszych popatrzył na niego z niechęcią. Nazywał się Pan. Nigdy nie lubił Huanga – z powodu niesnasek między ich synami, teraz już dorosłymi.

– Powiem to raz jeszcze – odezwał się. – Wierzyć mi się nie chce, że zawarłeś układ z

* ang. Modular Rifle Caseless – karabin modułowy na amunicję bezłuskową.

tajniakami. Jeśli ktoś ucierpi, obarczę cię całą winą, Huang. Tylko ciebie.

– Co jest gorsze? Układ z tajniakami czy konieczność przyjmowania tutaj tych typów? Dziś w nocy wszystkie nasze problemy skończą się raz na zawsze. Idźcie na stanowiska. Nie wychylajcie się. Obserwujcie. Powiedziano mi, że to już wkrótce.

Pan wycelował w niego palec wskazujący.

– Wiem, że zamierza dać ci swój wóz, ale lepiej go nie bierz. To jak prezent od złodzieja.

Huang spojrzał na niego spode łba.

Fang postawił samochód na dziedzińcu, pod płócienną markizą, gdzie nie rzucał się w oczy. Wyglądało to tak, jakby go porzucił.

Huang wyszedł na dwór i zerknął na terenówkę. Potem jego wzrok powędrował w górę, ponad balkony, ku stojącemu na pochyłym dachu Fangowi, którego laska była stąd dobrze widoczna.

Huang stęzał. Konieczność dokonania zemsty – *baochou* – była podyktowana odwieczną tradycją. Nie wyręczy go w tym żaden bóg, żadne prawo, żadna ziemską siłą.

Baochou to jedyna możliwość. Huang i pozostali starsi ocalą w ten sposób twarz. Huang doszedł do wniosku, że jeśli tajniacy nie dotrzymają obietnicy, sam będzie musiał zabić Fanga. Tę plamę na honorze trzeba usunąć.

Nie ma innego wyjścia.

Mrużąc oczy w mżawce, Diaz sprawdziła prognozę pogody na kanale satelitarnym Cross-Comu. Cholera, radar pogodowy wskazywał, że będzie tylko gorzej. Zwiększała się prędkość wiatru, który zmienił kierunek na południowo-zachodni.

Jej celowi też nie przypadła do gustu ta pogoda. Dwukrotnie zmienił pozycję. Tylko karabin Type 88 spoczywał nieruchomo na dwójnogu. Dziwne, że nie miał lepszej broni. Chociaż według jej wiedzy armia chińska miała na stanie mało osiemdziesiątekósemek. Może więc to jego ulubiona broń.

Diaz posługiwała się karabinem snajperskim DSR1 z tłumikiem^{*}. Broń wyprodukowała niemiecka firma AMP Technical Services. Karabinem tym posługiwały się jednostki antyterrorystyczne GSG 9 oraz kilka innych elitarnych europejskich agencji. W rękach Diaz broń ta była niezwykle groźna.

Karabin miał konstrukcję typu bull-pup, co oznacza, że magazynek znajdował się za uchwytem pistoletowym i spustem. Konstrukcja taka zwiększa długość lufy w stosunku do ogólnej długości broni. Przyczynia się to do zmniejszenia wagi i zwiększenia poręczności. Dwójnóg zamontowany był na górnej, zaś regulowany uchwyt przedni na dolnej szynie. Diaz wprowadziła już nieznaczne modyfikacje kolby i poduszki policzkowej oraz włożyła zapasowy magazynek na cztery naboje w uchwyt z przodu osłony spustu. Dodatkowy

^{*} DSR to skrót od Defensive Sniper Rifle – defensywny karabin snajperski.

magazynek tuż pod ręką znacznie przyspieszał przeładowywanie. Dzięki temu nie musiała odrywać wzroku od strefy strzału. Dwójnóg karabinu spoczywał pewnie na plecaku Diaz, który służył jej za podpórkę.

DSR wyposażono dodatkowo w regulowany monopod, wysuwany z kolby za pomocą mechanizmu zębatkowego. Dzięki temu karabin spoczywał stabilnie, podtrzymywany dwójnogiem z przodu i monopodem z tyłu.

Wersja karabinu Diaz została wyposażona w zintegrowany tłumik. Wykorzystywała amunicję poddźwiękową 7,62 x 51 mm NATO zamiast popularniejszej 338 Lapua Magnum. Diaz wolała ten drugi rodzaj amunicji, ale szczególny charakter misji wymagał tego, że musiała korzystać z nieoznaczonych nabożów dostarczonych przez generała.

Zamrugła gwałtownie i znów przyłożyła oko do lunety z noktowizorem. Jej cel nigdzie się nie ruszył. Lada moment odezwie się do umocowanego przy ustach mikrofonu. Kiedy to zrobi, Diaz da znać kapitanowi, że gość właśnie zameldował się przez radio.

USS „Montana” (SSN-823)
Cieśnina Tajwańska
Morze Południowochińskie
kwiecień 2012

Na co ten Mitchell czeka? – po raz kolejny zapytał sam siebie kapitan Gummerson. – Światło wyłączone, deszcz się rozpadał, zna już położenie celów...

Gummerson stał w oświetlonym czerwonym światłem centrum dowodzenia. Słuchał kolejnego komunikatu. Ludzie od kontrprzeciwdziałania i rozpoznania radioelektronicznego oraz obsługa sonaru na pokładzie „Montany” sondowali sferę działań, obejmującą powietrze, powierzchnię morza i głębiny, szukając najmniejszych oznak reakcji wroga.

Tymczasem maszty wielofunkcyjne OE-538, stanowiące „uszy” „Montany” śledziły każdego z członków Ghost Recon i monitorowały wszystkie rozmowy, jakie prowadzili. Całościowa ocena sytuacji dzięki wymianie informacji w ramach wspólnego planu taktycznego była sednem wojny sieciowej.

– Ruszyli już? – spytał pierwszy oficer, wchodząc do centrum dowodzenia.

Gummerson pokręcił głową.

– Nie, ale Mitchell zajął pozycje.

– Może czeka na właściwy moment.

– Czas, żeby się już zdecydował – odparł Gummerson.

USSOCOM
Baza Sił Powietrznych Macdill

Tampa, Floryda kwiecień 2012

Generał Joshua Keating przechadzał się przed rzędami ekranów wyświetlającymi dane z sieci, od wywiadu satelitarnego aż po kamerę zamontowaną na głowie kapitana Scotta Mitchella.

Keating nie rozumiał, czemu Mitchell poświęca tyle czasu na analizowanie tych cholernych zdjęć z drona.

Miał już ochotę osobiście opieprzyć Mitchella za opóźnienie.

Tyle tylko, że generał lubił Mitchella. Chciał mu ufać. Chciał, by wątpliwości działały na jego korzyść.

Doktor Gail Gorbatova z DIA, siedząca razem z jednym ze swoich analityków z wywiadu, podniosła się z miejsca i podeszła do Keatinga.

– Generale, zastanawia nas...

– Opóźnienie – dokończył za nią, wciągając głęboko powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Nasi koledzy z CIA też się nad tym zastanawiają. Ich ludzie nie potrafią im tego wyjaśnić. Nasz kret wciąż czeka.

– Świetnie. Wciąż jednak zbieramy dane wywiadowcze, więc może zechciałyby pani wrócić na miejsce, doktor Gorbatova.

Keating powrócił do swojego komputera. Wywołał dane docierające z sekcji Ghost Recon Mitchella: ziarniste zielonkawe zdjęcia zamku, śmigłowców, ciężarówek, a nawet obrazy z punktu widzenia Diaz, z siatką celownika nałożoną na jednego z dwóch chińskich snajperów. Wszystko wyglądało idealnie.

No dalej, chłopcze! Wydaj ten rozkaz. Ruszajcie!

Tymczasem w pomieszczeniu rozległ się głos:

– Dowódca Bravo do dowódcy Duchów. Nasze cele w każdej chwili mogą schronić się przed deszczem. Kapitanie, musimy ruszać. I to już!

– Diaz do dowódcy Duchów. Prędkość wiatru się wzmaga. Coraz trudniej będzie trafić.

Wydajże ten rozkaz, Mitchell!

– Dowódca Duchów do dowódcy Bravo – odezwał się Mitchell. – Zostańcie w pogotowiu. Diaz, wstrzymaj się jeszcze.

– Kapitanie Mitchell. Tu porucznik Moch, obsługa predatora. Zidentyfikowaliśmy ciężarówkę z elektrowni, jadącą do tej waszej stacji transformatorowej. Szacowany czas przybycia na miejsce: dziesięć minut.

Keating zacisnął dłoń w pięść, wyobrażając sobie, jak wydziera się na Mitchella: „Co to za wyczekiwanie?! Masz mi zdjąć te Wiosenne Tygrysy i to już!”

Mimo to Keating wiedział, że wycucie sytuacji i intuicja znajdującego się na miejscu działań dowódcy są znacznie istotniejsze niż wszelkie cyfrowe obrazki przesyłane tysiące

kilometrów dalej.

Stara prawda o siłach specjalnych: człowiek jest zawsze ważniejszy niż sprzęt. Co więcej, ocena taktyczna Mitchella może znacznie różnić się od tego, co widzą w USSOCOM-ie. Jeśli kapitan na coś czeka, ma po temu ważny powód.

Mimo wszystko nawet nie próbował się wytłumaczyć. Było to dziwne, całkiem niepodobne do Mitchella.

Niech to diabli, Scott! Atakuj!

**Zamek Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

W słuchawce Mitchella dźwięczały kolejne głosy. Na jego wyświetlaczu pojawiały się kolejne twarze. On jednak ciągle leżał beczynn timer.

W chwili, kiedy odcięto zasilanie, Mitchell rozkazał Smithowi wypuścić drona MAV4mp Cypher. W ciągu kolejnych kilku minut osobiście naprowadził go wysoko nad środkowy budynek. Udało mu się zidentyfikować pozycje wszystkich strażników: trzech przy każdym z silosów, dwóch przy środkowym budynku, jeden na dachu i dwóch snajperów. Ocena zagrożenia, uzupełniona o migające czerwone punkciki, została zakończona i od tego momentu była dostępna dla wszystkich jego ludzi.

Mitchell sprowadził drona tak nisko, jak tylko się ośmielił. Kiedy już dotykał joysticka, by go zawrócić, strażnik na dachu odwrócił się, ukazując przypiętą do pasa laskę.

Drżącymi dłońmi Mitchell zrobił zbliżenie kamerą drona. Chciał dojrzeć więcej szczegółów z profilu. Nie, to niemożliwe. Wojskowi często nosili laski i inne kije do walki wręcz. Minęło dziesięć długich lat. Do diabła, niemożliwe, żeby ten gość na dachu – i to w Chinach – był kapitanem Fangiem Zhi.

Tyle tylko że funkcja zoomu kamery działała nadszpiewanie dobrze. Mitchell znał tę laskę. Tę twarz. Te oczy.

Czy był to nadzwyczajny zbieg okoliczności? A może przeznaczenie? Czy trzeba przejść przez drzwi, których nigdy się za sobą nie zamknęło?

Co, do diabła, Fang robi w Chinach? Mitchell celowo się nim nie interesował. Musiał żyć własnym życiem. Takiej rady udzielił Rutangowi i sam się do niej stosował.

Nigdy jednak nie zapomniał tchórzostwa Fanga. Nie potrafił usunąć z pamięci kapitana Foyte'a nadzianego *na pundzi* ani chorążego Alvarada trzymającego się za kark, z którego sterczała strzałka... czy wreszcie nieszczęsnego Carlosa, który wykrwawiając się, prosił go, by wrócił po Billy'ego. Nigdy nie zapomni całego rzędu ciał leżących na równinie.

Dwunastu ludzi weszło do dżungli na wyspie Basilan. Tylko trzech z niej wyszło. Po części była to wåtpliwa zasługa Fanga Zhi.

Blizna na piersi Mitchella rozgorzała nowym ogniem.

Znów stanął oko w oko z Fangiem, tyle że tym razem Fang nie miał okazji sięgnąć po broń. Tym razem to Mitchell przystawił pistolet do czoła Fanga. Kiedy jednak nacisnął spust, usłyszał głos w słuchawce.

– Kapitanie, musimy się ruszyć. I to już! – krzyczał Beasley.

ROZDZIAŁ 26

**Zamek Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Mitchell westchnął ciężko i wrócił do rzeczywistości.

– Dowódca Bravo do dowódcy Duchów! – znów wywołał go Beasley. – Niech pan o nas nie zapomina, kapitanie! Czekam na rozkaz!

Mitchell poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Zerknął na kanał z obrazem z kamery Beasleya. Zrobił zbliżenie. Wyostrzył. Cele sekcji Bravo szukały schronienia przed deszczem.

Górze nad emocjami wzięły odruchy wypracowane przez lata walki. Mitchell zaczął przetwarzać informacje. Zimnym spokojnym głosem wydawał rozkazy:

- Sekcja Bravo, atakujcie.
- Przyjąłem – odparł Beasley. – Przechodzimy do ataku.
- Diaz, snajperzy, potem brama główna. Strzelaj!
- Przyjęłam, kapitanie. Namierzam pierwszy cel.
- Smith? Ściągnij drona, potem dołącz do nas. Ramirez? Nolan? Ruszamy!

Mitchell wypadł ze swojej kryjówki. Ramirez już pędził przed nim. Trzymał w pogotowiu karabin MK14 EBR z tłumikiem. Pobiegli wzdłuż drogi, potem ruszyli w dół do zamku, omijając strumienie wody spływającej po zboczu.

Nolan deptał po piętach Mitchellowi. Niósł pistolet maszynowy P90 SD konstrukcji belgijskiej. Uważał, że najlepszą metodą działania jest przewaga ogniowa.

– Mam drona – zameldował Smith, po czym pośpieszył za nimi z karabinem MR-C w dłoni. MR-C strzelał amunicją bezłuskową z szybkością dziewięciuset pocisków na minutę. Choć regularne oddziały nie używały go na polu walki, Duchy były jego gorącymi zwolennikami.

O tak, mieli broń. Dużo broni.

Jednak tak naprawdę liczyły się tylko cztery strzały: po jednym w łeb każdego Wiosennego Tygrysa.

A może jednak pięć strzałów?

Mitchell zastanawiał się, czy nie krzyknąć do pozostałych: „Widzicie tego kolesia z laską

przy boku? Jest mój!”

Nie mógł jednak ujawnić osobistych uprzedzeń. Natychmiast podważyłoby to jego autorytet dowódcy. Pierwszeństwo mieli misja i jego ludzie. Dobrze o tym wiedział. Oni również. Jeśli Fang zginie podczas strzelaniny, niech i tak będzie.

Ale nie oszukujmy się... chciał, żeby to była jego kula. Chciał tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Gniew, niczym dzika bestia, szarpał szponami jego wnętrzości. Wciąż na nowo wyobrażał sobie, jak przystawia Fangowi lufę do karku i naciska spust. Mitchell wciągnął gwałtownie powietrze, wzdrygnął się, jakby otrząsając się z tej myśli – i pognął dalej.

Beasley pobiegł sprintem wzdłuż krawędzi lasu, zachodząc śmigłowce i samochody z lewej flanki.

Dwóch pilotów skryło się głębiej z tyłu jednej z ciężarówek. Klapę pozostawili otwartą. Dwaj kierowcy szukali schronienia w kabinie drugiego brave'a wojownika.

Pilotów dosięgną bez problemu. Trudniej może być z kierowcami w kabinie.

Dał znak, żeby Jenkins i Hume podkradali się do kierowców. Tymczasem on sam i Brown podbiegli do drugiej ciężarówki, tej z otwartą klapą. W osłoniętych rękawicami dłoniach ściskali pistolety.

Jeden z pilotów miał właśnie zapalić papierosa. Drugi unosił szklanekę, by się napić.

Brown strzelił w głowę pijącego.

Beasley oddał dwa strzały w klatkę piersiową palacza. Skoczył do przodu i złapał gościa, nim ten się przewrócił.

– Pomóż mi go postawić! – wyszeptał do Browna.

– Co ty wyprawiasz?

– Muszę sprawdzić, co tam słychać u naszego robota. Ta ekipa z elektrowni może się tam zjawić w każdej chwili.

– Dobra. Chyba już załapałem.

Rozkaz kapitana, żeby strzelać, nadszedł tak nagle, że nie od razu dotarło to do Diaz.

Wstrzymując oddech, nieznacznie skorygowała celownik, nim nacisnęła spust.

Choć wątpiła, żeby kliknięcie karabinu było na tyle głośne, by usłyszeli je strażnicy rozstawieni wokół zamku, mógł je jednak usłyszeć drugi ze snajperów. Zmrużywszy oczy, patrzyła, jak pierwszego snajpera spowija obłoczek krwi.

Czysty strzał.

Krawędzią dłoni bez wysiłku przesunęła rygiel zamka, wyrzucając pustą łuskę. Włożyła kolejny nabój do komory, zerwała się na równe nogi, pobiegła wzdłuż grani.

Musiała przebyć zaledwie jakieś dziesięć czy piętnaście metrów na zachód, żeby snajper

po północnej stronie znalazł się na jej linii strzału. Już sobie wyobrażała, jak zajmuje stanowisko i zdejmuje go jednym pociskiem.

Deszcz zmienił się w ulewę. Niebo przeciął pierwszy zygzak błyskawicy, oświetlając powykęcane, ociekające wodą gałęzie na jej drodze.

Oddychała coraz szybciej.

Była jednocześnie przerażona do granic możliwości i pijana adrenaliną. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie doświadczyła. Odwiedziła już wiele krajów, ale żaden z nich nie był tak tajemniczy i złowieszczy jak Chiny.

Szkoda, że nie było czasu na zwiedzanie. Przyjechała tu poznawać egzotycznych ludzi – i strzelać do nich.

Kapitan Mitchell wraz z resztą sekcji Alpha zmierzali już do bramy. Trzeba było usunąć strażników przy wejściu. Liczyła się każda sekunda. Tyle że Diaz wciąż jeszcze nie znalazła dobrego stanowiska.

Z frustracji aż zazgrzytała zębami. Jej kominiarka, z małym otworem na słuchawkę Cross-Comu, była mokra od potu. Zaczynała drapać jej twarz. Diaz zakłęła. Nie przerywając biegu, zdjęła słuchawkę z monoklem i zerwała z głowy kominiarkę.

Wreszcie zajęła dobrą pozycję do strzału. Kominiarkę wetknęła za pas. Cross-Com wrócił na swoje miejsce.

Zimny, mokry metal karabinu idealnie dopasował się do policzka. Wycelowała w drugiego snajpera.

Czas, żeby się zameldował.

Tyle że... cholera! Już był w ruchu. Jego czerwony punkcik przesunął się na jej wyświetlaczu HUD.

Zduśliła kolejne przekleństwo i znów ruszyła w drogę.

Mitchell, Ramirez, Smith i Nolan szli przez pole, po kostki w błocie.

W tym deszczu w czarnych mundurach powinni być niemal niewidzialni. Jednak zygzaki błyskawic co chwila rozjaśniały niebo przy wtórze donośnych grzmotów. Podczas jednego z tych rozbłysków któryś obdarzony bystrym wzrokiem strażnik mógł odwrócić głowę we właściwym kierunku, dać znać przez radio i otworzyć ogień. I nici z niespodzianki.

Długi wał ziemny, wysoki na ponad metr, okalał z obu stron bramę z kutego żelaza. Pierwszy dotarł do niego Ramirez. Tuż za nim – Mitchell, Smith i Nolan.

Mitchell przykucnął w błocie i aktywował kamerę na swoim karabinie MR-C. Potem podniósł się i wsunął broń na mur, zerkając w wyświetlacz kamery, podobny do wyświetlacza przenośnej kamery wideo. Dzięki temu mógł strzelać zza rogu albo ponad murami – teraz jednak tylko korzystał z możliwości rozpoznania, jakie dawał taki ekran. Przesunął karabin w prawo, potem w lewo. Mimo ziarnistości obrazu, zobaczył wystarczająco wiele, by westchnąć z rezygnacją. Dwaj strażnicy, ustawieni na zewnątrz głównego budynku, wciąż tam byli.

Należy zaryzykować i podejść bliżej, aby mieć pewność czystego strzału. Pozostało pytanie: co się działo z Diaz?

Zsunął karabin z wału i pokręcił głową, dając znak swoim ludziom. Następnie zerknął na wyświetlacz HUD. Przełączył się na obraz z kamery Diaz. Była w ruchu.

– Diaz, melduj!

– Na chwilę straciłam z oczu drugiego snajpera. Mam go już na wyświetlaczu. Zajmuję pozycję. Możecie na mnie poczekać?

– Nie. Muszę mieć zdjętych strażników.

– Zrozumiałam. Zostańcie w pogotowiu.

Schemat budowy ciężarówki nie zawierał informacji, czy szyby są kuloodporne. Jenkins i Hume dużo ryzykowali, próbując je przestrzelić.

Czas na plan zastępczy, na wykorzystanie ciała wroga do swoich celów. Beasley i Brown podkradli się do ciężarówki, niosąc przed sobą niczym kukłę martwego pilota. Oparli go o samochód. Hume, skulony obok tylnych drzwi po stronie kierowcy, wychylił się do przodu i zastukał w szybę. Facet przy kierownicy odwrócił głowę.

Podczas lejącego deszczu, w nocy, nie mógł dobrze się przyjrzeć martwemu koledze. Na to właśnie liczył Beasley. Kierowca opuścił szybę. W tej samej sekundzie Beasley i Brown puścili ciało, które upadło na ziemię. Przyczajony tuż przy przednim kole Jenkins wykorzystał tę sposobność, by podnieść się i wetknąć swój pistolet do kabiny. Px4 Storm SD wydał z siebie dwa stłumione kasznięcia. Po bocznych oknach spłynęła krew. Jenkins sięgnął do środka i otworzył drzwi samochodu.

– Doskonale – mruknął Beasley. – Teraz zabierajcie się do śmigłowców, a ja zajmę się botem.

Otworzył tylne drzwi ciężarówki i wspiął się na platformę, by schronić się przed deszczem. Na wyświetlaczu HUD wywołał obraz z głównej kamery. Za pomocą kontrolera bezprzewodowego skierował kamerę na główną bramę. W oddali ujrzał zbliżające się światła samochodu.

Wycofał robota z kryjówek i zaczął wystrzeliwać wszystkich sześć granatów dymnych, jeden po drugim, rozrzucając je po całej stacji. Nowa kłódka oraz zagrożenie pożarem, spowodowanym spięciem – o którym musiał przecież świadczyć dym – powinny trochę opóźnić ekipę naprawczą.

Nim skończył i zawrócił robota na stanowisko, Hume dał znak, że wszystkie pojazdy zostały unieruchomione i zaminowane C-4, gdyby trzeba było wywołać kolejną dywersję.

Teraz czas ruszyć na zamek i zdjąć jak najwięcej strażników, nim trzeba będzie wycofać się, osłaniając odwrót sekcji Alpha. Beasley zdał raport kapitanowi, po czym rozkazał sekcji Bravo ruszyć na budynek po zachodniej stronie zamku.

Diaz miała na oku snajpera na przeciwległym zboczu i dwóch strażników poniżej. Musiała trzykrotnie zmieniać stanowisko, nim wreszcie namierzyła pierwszego gościa.

W dodatku diabli nadali ten deszcz. Musiała jednak strzelać.

Pierwszy ze strażników padł. Poturlał się pod mur i zniknął jej z oczu. Drugi strażnik stał tuż za rogiem. Trząsał się z zimna, kuląc pod nawisem dachu. Odwrócił głowę, jakby coś usłyszał.

Zaczął coś mówić przez radio.

Diaz odczekała, aż skończył. Naraz niespodziewany podmuch wiatru targnął karabinem w chwili, gdy naciskała spust.

Pocisk wbił się w ścianę tuż ponad lewym ramieniem strażnika.

Diaz jednym płynnym ruchem przeładowała broń, podczas gdy strażnik padł na brzuch w poszukiwaniu kryjówki.

Jednak Diaz wciąż miała go na celowniku. Kiedy się czołgał, drugi strzał trafił go w środek pleców. Więcej się już nie poruszył.

– Kapitanie, tu Diaz. Droga wolna!

Mitchell i Smith podbiegli do głównego wejścia do środkowego budynku. Tymczasem Ramirez i Nolan skręcili w prawo, ku długiej, wygiętej ścianie wschodniego budynku z prostokątnymi oknami. Kiedy już się do niej zbliżyli, muszą usunąć dwóch strażników, nim tamci skryją się w środku.

Zgodnie z informacjami otrzymanymi od kreta CIA pułkownik Xu znajdował się w środkowym budynku, podczas gdy pozostali mieli kwatery w budynkach południowym, wschodnim i północnym. Analityk wywiadu Ghost Recon ustalił ich lokalizacje i przesłał je na wyświetlacz HUD Mitchella. Dzięki temu kapitan i pozostali musieli tylko podążać za wskaźnikami, by odnaleźć swoje cele.

Mitchell wybrał sobie Xu, ponieważ pamiętał, że Fang stał na dachu zajmowanego przezeń budynku. Kiedy wzmógł się deszcz, Fang zszedł ze stanowiska, jednak Mitchell zakładał, że drań jest gdzieś w środku.

Ramirez brnął przez błoto na czworakach do pierwszego strażnika. Facet pociągał nosem i kulił się z zimna przy drzwiach. Broń miał wycelowaną w ziemię. Ramirez chciał, żeby gość odwrócił nieco głowę.

– Hej! – krzyknął po prostu.

Strażnik spojrzał w dół, ale nie dostrzegł Ramireza. Zmarszczył brwi, zamrugał...

Jeden pocisk w głowę położył go na miejscu.

Ramirez kiwnął ręką na Nolana. Przemykając się pod ścianą, przebiegli na drugą stronę budynku, gdzie przy drzwiach stał kolejny strażnik.

Zbliżając się do niego, przypadli do ziemi. Nolan oderwał się nieco od ściany i uniósł pistolet, dokładnie w momencie, gdy strażnik uniósł głowę i spojrzał wprost na nich.

Pocisk przewrócił go na plecy.

Ramirez podniósł się i podbiegł do ciała. Celny strzał, prosto w głowę. Zerknął w tył, na Nolana. Uniósł kciuk. Spróbowali otworzyć drzwi – zamknięte na klucz. Ramirez wydobył swój zestaw narzędzi i zabrał się do pracy, osłaniany przez Nolana.

Pozostał im jeszcze jeden strażnik. Stał oczywiście u drzwi kwatery admirała Cai Minga.

Nagle Nolan zaklął pod nosem i wystrzelił. Ramirez obrócił głowę. W samą porę, by ujrzeć, jak pada martwy strażnik spod południowego budynku.

– Wychodził właśnie zza rogu – wyjaśnił Nolan. – Mógłbyś się pospieszyć z łaski swojej.

Ramirez wepchnął jedno z narzędzi w zamek.

– Jestem artystą, brachu. Cierpliwości.

Huang wyjrzał przez okno i ujrzał martwego strażnika przy środkowym budynku. Zaczęło się. Nie mógł już zatrzymać biegu wydarzeń.

Sam znajdował się w zachodnim budynku, na czwartym piętrze. Zerknął na pogrążoną w głębokim śnie żonie. Światło świecy rzucało cienie na jej twarz.

Ktoś zapukał do drzwi. Huang zmarszczył brwi i podszedł, aby je otworzyć.

Za drzwiami stał Pan. W jednej ręce trzymał latarkę, w drugiej pistolet.

– Wyjdź na balkon – polecił.

– O co chodzi?

– Dobrze wiesz, o co.

– Nie, nie wiem.

– Dobrze to sobie przemyślałem. Twój układ z policją daje mi idealną okazję.

Huang pokręcił głową.

– Chyba sobie żartujesz.

Pan uniósł pistolet.

– Pomyślą, że postrzelił cię przypadkiem tajniak albo jeden ze strażników Fanga. Twoja rodzina nie ma pieniędzy na sekcję zwłok. Śledztwa więc nie będzie.

– Pan, słuchaj mnie uważnie. Jeśli wystrzelisz z tego pistoletu, wszystko zaprzepaścisz. Czy zabicie mnie jest dla ciebie aż tak ważne? Pomyśl o swoich synach.

Pan postąpił krok naprzód. Lufa pistoletu celowała w czoło Huanga.

– To jedyny sposób, by zachować twarz przed radą.

– Nieprawda. Wcale nie. Kiedy to się skończy, sam odejdę, dobrze? Nie ma powodu, żeby do mnie strzelać.

Pan oddychał coraz ciężiej. Huang niemal słyszał, jak obracają się trybiki w jego głowie.

– Pan, wracaj do łóżka – powiedział.

Fang stał pod drzwiami Xu. Promień latarki oświetlał podłogę. Poza tym balkony na

czwartym piętrze pogrążone były w ciemnościach. Próbował skontaktować się z sierżantem Chungiem, który jednak uparcie się nie odzywał. Co ten głupiec wyprawiał? Schronił się w środku, żeby zapalić papierosa? Fang był o krok od tego, żeby zejść na dół i pobić go swoją laską.

Zerknął na zegarek. Wkrótce powinni przywrócić zasilanie. Im szybciej, tym lepiej. Od tego deszczu i błyskawic prawie oślepl. Dach budynku aż ugiął się pod ciężarem wody, spadającej strumieniami na zabłocony dziedziniec pięć pięter niżej.

Po kolejnej nieudanej próbie połączenia się przez radio Fang zdecydował się skontaktować ze swoimi snajperami. Pierwszy nie odpowiadał.

Drugi odezwał się głosem ściśniętym z wysiłku:

– Kapitanie, chyba dostrzegłem kogoś na południowej grani. Może innego snajpera. Muszę to potwierdzić, odbiór.

– Dowiedz się, kto to taki.

– Tak jest.

Fang natychmiast wywołał pierwszą sekcję straży we wschodnim budynku. Pod długiej ciszy odpowiedział jedynie sierżant Keng, stojący u drzwi pokoju admirała Cai. Fang zapytał, co dzieje się z pozostałymi, jednak Keng tego nie wiedział. Ze swojego stanowiska widział tylko środek dziedzińca.

Fang ruszył biegiem na klatkę schodową. Rozkazał jednemu z ludzi sierżanta Chunga zając swoje miejsce, ale w odpowiedzi usłyszał jedynie szum.

Mitchell największym wysiłkiem zmusił się do pozostania na miejscu. Wyglądał zza drzwi, gdy Fang Zhi przebiegł tuż przed nosem.

Owszem, Mitchell mógł zaryzykować atak. Jednak każdy hałas, nawet najmniejszy, zaalarmowałby pułkownika Xu – a przecież to on był prawdziwym celem.

Stojący za plecami Mitchella Smith trzymał na muszce młodego wieśniaka z żoną. Położył palec na ustach, wcześniej rozkazawszy im po chińsku, by byli cicho.

Przez dłuższą chwilę Mitchell nie ruszał się z miejsca. Oddychał powoli, a jego myśli błądziły daleko stąd.

– Szefie? Możemy zaczynać?

Mitchell wpatrywał się w jakiś punkt za plecami sierżanta. Docierało do niego tylko jedno: pozwolił Fangowi odejść.

– Szefie?

– Tak, tak. Trzecie drzwi. Ruszamy.

Mitchell wstał, nasunął monokl Cross-Comu, po czym jednocześnie ze Smithem sięgnął do plecaka i wyjął z niego noktowizory ENVG*. Co prawda ich oczy przystosowały się do

* ang. Enhanced Night-Vision Goggles – udoskonalone gogle noktowizyjne.

mroku panującego na zewnątrz, ale nie mogli ryzykować w jeszcze ciemniejszym wnętrzu pokoju Xu.

Mitchell otworzył drzwi i wrócił na balkon. Skradał się wzdłuż ściany. Smith podążał za nim jak cień. Dotarli do drzwi Xu i zajęli pozycje po obu ich stronach. Mitchell skinął Smithowi głową.

W chwili, gdy sierżant kopnął drzwi, w oddali rozległ się huk wystrzału. Zdezorientowany Mitchell patrzył, jak drzwi otwierają się na oścież. Rzucił się na podłogę.

W łóżku po przeciwnej stronie pokoju leżała kobieta. Krzyczała, podciągając koc pod szyję. Obok niej, bliżej Mitchella, znajdował się młody pułkownik. Obrócił się właśnie ku nocnemu stolikowi, na którym spoczywała w kaburze jego broń.

ROZDZIAŁ 27

**Zamek Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Po ponad godzinie namiętnego seksu pułkownik Xu Dingfa opadł na łóżko bez tchu, ale odprężony. Głowa dziewczyny spoczywała na jego piersi. Obiecał sobie, że rankiem spyta, jak się nazywa i załatwi, żeby znowu mu ją przysłano.

Pomyślał, że śni, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem, a nikły płomień stojącej przy łóżku świecy oświetlił dwie postacie. Maski skrywały ich twarze. Noktowizory wystawały z głów jak anteny. Jeden był skulony, drugi stał wyprostowany. Xu otworzył szerzej oczy i dojrzał ich broń.

Instynktownie sięgnął po własny pistolet. Był to gest bez znaczenia, ale pułkownik nie mógł tak beczynnie leżeć.

Kiedy dziewczyna się rozwrzeszczała, uciszył ją pierwszy pocisk. Xu zastanowił się, kto odpowiada za jego śmierć. Kto go zdradził? Fang? Czyżby jego zaufany człowiek czekał przyczajony przez ostatnie cztery lata – sam jak tygrys? Nie, to niemożliwe. A może jednak?

Strzały rozerwały pierś Xu. Sekundę później poczuł ból – niczym szpon rozdzierający mu bebechy powolnymi, równomiernymi szarpnięciami. Zakaszłał i usta natychmiast wypełniła krew.

Xu nie żałował siebie – tylko swoich ukochanych rodziców, których zawiódł. Nie ujrzą już utraconych dzieci. To było największą tragedią.

Kiedy intruzi wzięli się do przeszukiwania jego rzeczy, Xu chciał jeszcze unieść pięść w ostatnim akcie oporu, jednak obraz pokoju już pociemniał mu w oczach. Starczyło mu siły jedynie na ostatni oddech.

Stojąc naprzeciw Pana na balkonie, Huang zrozumiał, że nie ma on najmniejszego zamiaru odejść, zaraz do niego strzeli.

Huang złapał Pana za rękę. Chciał odtrącić pistolet. Pan usiłował uwolnić się z uchwytu Huanga, drugą ręką uderzając go w głowę latarką.

Cios rozbrzmiał echem pod czaszką Huanga. Jednocześnie pistolet wypalił. Kula wbiła się w ramię staruszka.

Pan, z trudem łapiąc oddech, wymamrotał coś pod nosem, nie wierząc, że faktycznie strzelił. Broń wysliznęła mu się z ręki. Huang kopnął ją w bok i popchnął Pana na balustradę z taką siłą, że przegniłe drewno załamało się pod jego ciężarem.

Pan zamachał rękoma i z krzykiem spadł w strumieniach wody, by spotkać się ze śmiercią pięć pięter niżej.

Żona Huanga podbiegła do niego z krzykiem. W dole, na dziedzińcu, jeden ze strażników Fanga podbiegł do leżącego na ziemi Pana. Sprawdził puls. Potem uniósł wzrok.

– Słyszałem strzał! – krzyknął na widok Huanga. – Co tam się dzieje?

Huang, trzymając się za krwawiące ramię, już miał odpowiedzieć, kiedy z dołu dobiegło kliknięcie. Głowa strażnika poleciała do tyłu, po czym on sam padł na ziemię.

Huang z wrażenia aż zachłysnął się powietrzem. Na dziedzińcu rozbrzmiał głośny terkot broni maszynowej.

Silnik terenówki pracował na jałowym biegu. Budda siedział za kierownicą, jedząc czekoladowy baton i gapiąc się na przekaz wideo z zamku, odbierany na laptopie. Skaut co chwila wtrącał banalne komentarze na temat rozgrywających się tam wydarzeń.

Z tej odległości pierwszy strzał był ledwo słyszalny, ale Budda nastawił uszu. Wychylił się przez okno, krzywiąc się na odgłos kanonady.

– Miałeś rację – odezwał się głos Skauta z leżącej na fotelu komórki.

– Co do hałasu, niestety tak – odparł Budda.

– Powinniśmy podjechać bliżej. Kowboje wkrótce będą nas potrzebować.

– Zostajemy tutaj.

– To błąd, staruszku.

– Stul dziób i rób, co każę. – Budda wytarł dłonie w dzinsy, patrząc na stojącą z przodu terenówkę Skauta.

Jeśli młody będzie taki w gorącej wodzie kąpany, nie pożyje długo.

Beasley zastrzelił strażnika, który wbiegł na dziedziniec. Potem zatrzymał się na moment. Zmarszczył brwi. Leżały tu dwa ciała. Zerknął w górę i ujrzał parę staruszków, gapiącą się na niego z balkonu na czwartym piętrze, zza połamanej balustrady.

Dwóch kolejnych strażników pojawiło się od strony północnego wejścia do budynku. Jeden z nich zaczął ostrzeliwać Jenkinsa i Hume'a, którzy znajdowali się jakieś dziesięć metrów za Beasleyem, pod ścianą.

– Niech to szlag, widzi cię, Jenkins! – krzyknął Beasley. – Rusz się i zdejmij go!

Właśnie wtedy porucznik Moch podał przez Cross-Com aktualizację danych

wywiadowczych ze swojego predatora: ekipa z elektrowni była już przy ogrodzeniu. Męczyli się z kłódką. Nadjeżdżał też kolejny samochód.

Słyszając to, Beasley wywołał kapitana:

– Dowódca Bravo do dowódcy Duchów. Muszę natychmiast rozwalić ten transformator.

Kiedy Mitchell ze Smithem dotarli do południowego budynku, dzięki Nolanowi na zewnątrz stał już tylko jeden strażnik. Smith wyeliminował drugiego godnym podziwu strzałem. Drzwi rozpięły się pod uderzeniem stopy Mitchella, jakby wykonano je z balsu. Oto, jakie efekty dają lata treningu w sztukach walki.

Wreszcie znaleźli się na klatce schodowej, wiodącej do kwatery generała Wu i stojącego tam ostatniego strażnika. Mitchell wziął głęboki oddech i spokojnie powiedział przez radio do Beasleya:

– Wstrzymaj się z fajerwerkami jak najdłużej. Wygląda na to, że Chen przemieszcza się w północnym budynku. Zmiana planów. Wkraczasz i go zdejmujesz.

– Przyjąłem. Ruszam.

– Diaz? – wywołał ją Mitchell. – Pomóż mu.

– Przyjęłam – odparła.

Mitchell i Smith dotarli na balkon na trzecim piętrze. Przykucnęli przy ścianie. Po kilkunastu krokach byli już pod drzwiami generała.

Naraz drzwi te otworzyły się na oścież i wypadł z nich jeden ze strażników. Zaraz za nim wyłonił się generał Wu Hui we własnej osobie. Miał na sobie tylko majtki. W dłoni dzierżył pistolet. Obaj popędzili prosto w kierunku komandosów.

Wyraz ich twarzy zmienił się, gdy dostrzegli dwóch ludzi przykucniętych przy ścianie. Było już jednak za późno.

Smith oddał pierwszy strzał. Trafił strażnika, kiedy ten unosił karabin.

Mitchell długą serią z MR-C posłał muskularnego Wu na deski.

Mitchell również rzucił się na podłogę, gdy Wu zaczął strzelać, klnąc na czym świat stoi.

Smith wydał z siebie zduszony krzyk.

Mitchell przetoczył się na bok i usiadł przy nim. Smith trzymał się za prawy biceps.

– Strasznie mnie boli – poskarżył się.

– Zaraz to opatrzę.

Mitchell sięgnął do plecaka po apteczkę, jaką każdy z Duchów miał zawsze przy sobie. Sanitariusz Nolan dźwigał całą torbę medykamentów. Kapitan w dwie minuty opatrzył i obwiązał ramię Smitha.

– Zajrzyjmy tam – odezwał się Smith, podbródkiem wskazując kwaterę Wu.

Mitchell kiwnął głową. Podbiegł do Wu. Krew generała utworzyła na podłodze ciemną, oleistą kałużę. Mitchell uniósł jego głowę, żeby w Stanach wszyscy mogli mu się dobrze przypatrzeć. Potem wstał.

- Sekcja Ghost Recon! Cele Bravo i Delta zlikwidowane. Zostały jeszcze dwa.
- Kapitanie, mamy tu więcej szpargałów! – zawołał Smith zza otwartych drzwi Wu. Wcześniej zabrali kilka kart pamięci i dwie teczki dokumentów z pokoju Xu.
- Bierz wszystko – rozkazał Mitchell.

Podczas tej kanonady dobiegającej z dołu Diaz usiłowała uspokoić oddech i wycelować w żyjącego jeszcze snajpera.

Kiedy ona namierzała przeciwnika, on namierzał jej towarzyszy broni w zamku.

Już słyszała w myślach trzask jego karabinu. Skurwiel ukrył się za skałą. Deszcz nie robił na nim najmniejszego wrażenia, jakby zawsze na nim siedział, i – wyciszony przez duchy przodków – czekał na okazję do oddania celnego strzału.

Deszcz trochę zelżał. Uciszył się szelest listowia. Znów usłyszała głosy Carlosa i Tomasa. Nie teraz!

Zamrugła, potem zaczerpnęła głęboko powietrza i wstrzymała oddech. Siatka celownika nałożyła się na głowę snajpera.

Adios. Strzeliła. Wróg padł na ziemię. Kawalki czaszki pofrunęły w powietrze.

Obróciła karabin, mierząc w północny budynek. Ustawieni przed nim dwaj strażnicy weszli do środka, zapewne chcąc bronić generała Chena Yi – dowódcy NMR.

Mimo grubych ścian, Diaz widziała strażników jako czerwone punkciki nałożone na obraz budynku. Zaczęły się przemieszczać, gdy ruszyli po schodach.

Mogła ich zdjąć, ale w komorze został jej tylko jeden nabój, a magazynek był pusty.

Oszacowawszy kąt strzału, ustawiła celownik. Strzeliła przez ścianę, kładąc trupem pierwszego strażnika. Czerwony punkcik znikł z wyświetlacza. Przez kręgosłup Diaz przebiegł dreszcz.

Ślicznie.

Nie było jednak czasu na świętowanie.

Wyrzuciła pustą łuskę, opuściła o pięć centymetrów dłoń, której palec naciskał spust, wyjęła pusty magazynek, sięgnęła do przodu po pełny, włożyła go, przeładowała broń i wycelowała w następnego przeciwnika. Wszystko to zajęło jej trzy sekundy. Miała cel jak na widelcu.

Wtedy jednak poczuła dziwne mrowienie twarzy, a włosy na karku stanęły jej dęba.

Z wyświetlacza HUD zniknął obraz. Piorun uderzył niecałe pięć metrów od niej.

HUD powrócił do życia. Pokazywał teraz zielony punkcik w miejscu zajmowanym do tej pory przez czerwony.

Dwa kolejne zielone punkciki pojawiły się tuż pod pierwszym.

O mój Boże! Nie!

Diaz była tak oszołomiona przez uderzenie pioruna, że odruchowo nacisnęła spust. Grom rozbrzmiał pół sekundy po trzasku karabinu.

Plutonowy Marcus Brown prowadził resztę w górę klatki schodowej. Gestem ręki nakazał Beasleyowi i Jenkinsowi, by się zatrzymali.

Idący przed nimi strażnik podbiegł kilka stopni w górę, do swojego koleśka, którego właśnie wyeliminował jeden z tych niesamowicie precyzyjnych strażów Diaz.

Brown dopadł drugiego strażnika od tyłu. Mięśnie ud bolały go niczym podczas meczu futbolowego. Wymierzył swój lekki karabin maszynowy MK48 – broń tyleż piękną, co potężną – przy użyciu której głosił niewiernym dobrą nowinę demokracji. Wystrzelił krótką serię, która powaliła strażnika na schody.

Kiwnął ręką na pozostałych. Dotarł do martwego strażnika i właśnie przestępował ciało, kiedy ściana za nim eksplodowała. Kilka odłamków trafiło go w głowę. Potem zapadła ciemność.

Zbliżając się do drzwi kwatery admirała Cai na czwartym piętrze wschodniego budynku, Ramirez z Nolanem poczuli zapach spalenizny.

Z półotwartych drzwi wydobywał się dym.

Ramirez przemknął przez balkon, mijając uchylone drzwi, zza których wyglądali przerażeni cywile.

Dotarł do kiwających się na zawiasach drzwi pokoju admirała, kopnięciem otworzył je i wpadł do środka. Mrużąc oczy, uniósł rękę, by osłonić się przed żarem.

Płomienie buchały z łóżka i lizały osmalony już sufit. Wyglądało na to, że admirał spalił tajne dokumenty i zwiął. Ale gdzie, u diabła, się podział?

Nolan chyba znał już odpowiedź.

– Joey! – zawołał. – Na dół!

Ramirez wypadł na zewnątrz. Przez leżący poniżej dziedziniec biegł kolejny strażnik wraz z jeszcze jednym mężczyzną – zapewne admirałem.

Nolan uniósł lufę pistoletu maszynowego P90. Broń zaterkotała cicho, ale byli już poza zasięgiem strzału i wkrótce znikli pod markizami.

Ramirez już miał wezwać przez radio pomoc, ale Beasley właśnie zgłosił, że Brown dostał. Ramirez odczekał sekundę, aż Beasley skończy meldunek, po czym krzyknął:

– Dowódco Duchów, tu Ramirez! Mam kolejne złe wieści! Mój cel wyszedł ze wschodniego budynku przez południowe drzwi! Powtarzam, wyszedł przez południowe drzwi!

Fang Zhi zszedł, by sprawdzić, co z jego ludźmi, i znalazł ich ciała. Pognał z powrotem, by zaalarmować Xu, który nie odbierał telefonu.

Teraz zaś Fang w osłupieniu spoglądał na ciała Xu i dziewczyny do towarzystwa. W uszach dzwoniły mu krzykiem meldunki radiowe jego ludzi – tych kilku, którzy pozostali

przy życiu.

To koniec. Mógłby wezwać pozostałe Wiosenne Tygrysy, pomóc im uciec – ale nie dostał ich numerów telefonów. Miał tylko numer Xu. Nie należał do ich kręgu. Brak zaufania przypłaca życiem.

Pozostało teraz jedno. Pod markizami stał zaparkowany brave warrior.

Czy znów okrzykną go tchórzem, bo zdecydował się uciekać, zamiast stawić czoło przeciwnikom i walczyć aż do śmierci?

Co z nim teraz będzie? Jego jedyni sprzymierzeńcy w tym kraju albo już nie żyli, albo wkrótce umrą.

Fang wyszedł z pokoju i wpatrzył się w padający deszcz. Ying Long był najsłynniejszym chińskim smokiem – bogiem deszczu. Fang poprosił go w myślach, by sprowadził w góry jeszcze potężniejszą burzę – by zapewnić mu bezpieczną ucieczkę.

Plutonowy John Hume miał osłaniać północne schody, na wypadek gdyby generał Chen próbował skorzystać z tej drogi ucieczki. Rozchwiane drewniane stopnie prowadziły jakieś pięć metrów w górę, zakręcając na platformie. Hume wspinał się możliwie cicho, oburącz ściskając swój pistolet. Drogę wskazywały mu gogle ENVG. Zazwyczaj zabierał ze sobą wyrzutnię pocisków naprowadzanych radiem Zeus T2. Nie nadawała się jednak na taką tajną misję jak ta. Wielka szkoda. Element zaskoczenia i tak już diabli wzięli. Solidna eksplozja podniosłaby go na duchu.

Z góry dobiegł go tupot nóg.

Zatrzymał się. Wydawało mu się, że na górze ktoś wystawił głowę. Nagle oślepiło go światło latarki.

Strzelił. Posypały się drzazgi.

Coś z łoskotem potoczyło się po stopniach. Granat!

Hume obrócił się na pięcie i głową naprzód skoczył ze schodów. Wybuch rzucił nim o ścianę.

Kiedy spadały na niego kawałki potrzaskanych schodów, przeturlał się i przycisnął do ściany. W opadającym wolno pyłe zamajaczyły dwie postaci.

Nie mam zamiaru tu umrzeć, pomyślał mimo dotkliwego bólu w rękach i nogach.

Zagryzł zęby, zmrużył oczy i opróżnił magazynek, celując w nadchodzących ludzi. Wykrzyknął tryumfalnie, kiedy stoczyli się po schodach do jego stóp.

Uniósł głowę jednego z mężczyzn. To był on – generał Chen. Na wpół przytomny Hume zerwał swoje gogle i wywołał Beasleya:

– Dowódco Bravo, tu Hume. Cel Alpha zlikwidowany. Został jeszcze jeden. Potrzebuję pomocy. Jestem na schodach.

ROZDZIAŁ 28

**Stacja transformatorowa
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Inspektor serwisu Tang Chia-jun zakasłał i zmrużył oczy, wpatrując się w rzedniejące kłęby dymu, unoszące się wokół stacji transformatorowej.

Kiedy wraz ze swoimi ludźmi dotarł już do bezpieczników, które według jego przypuszczeń były przyczyną problemu, spojrział na wyrządzone szkody i otworzył szeroko usta ze zdumienia.

Tang pracował w elektrowni od ponad dwudziestu dwóch lat. Znał swój fach.

Na pierwszy rzut oka potrafił rozpoznać sabotaż. Nowa kłódka na bramie i dym były pierwszymi oznakami, że czeka go znacznie więcej niż tylko rutynowa naprawa.

Promień światła z jego latarki przebił się przez dym niczym promień lasera. Zobaczył trzy szare kostki przymocowane do głównych linii. Z wrażenia stracił oddech.

Naraz zastępca Tanga zawołał go z drugiego końca stacji. Zdjął kask i – razem z trzema innymi – stał nad małym, podobnym do robota urządzeniem z kamerą. Maszyna cicho szumiała.

Naraz kamera obróciła się, ku zaskoczeniu wszystkich. Maszyna przetoczyła się na gąsienicach, jakby chciała się im wszystkim przyjrzeć. Jej „głowa” obracała się to prawo, to w lewo.

– Co to jest? – zapytał zastępca Tanga.

– Pojęcia nie mam – odparł Tang.

– Jak to „pojęcia nie masz”? – zdziwił się jeden z serwisantów. – To jakiś nowy sprzęt?

Tang odwrócił się, by spojrzeć na kostki poprzyczepiane do linii, potem znów popatrzył na robota. Zaczął trząść się ze strachu.

**Zamek Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Jakieś trzy kilometry dalej, na jednej z klatek schodowych północnego budynku, Beasley zmarszczył brwi na widok chińskiej ekipy remontowej na wyświetlaczu HUD. Zbierali się do ucieczki? Nie był pewien – a musiał się ich pozbyć. Pasek danych w prawym rogu HUD-a wyświetlał listę poleceń w języku chińskim, które mógł wydać przez głośnik SUGV-a. Wybrał najbardziej oczywistą: „Odejdźcie! Szybko!”

– *Kuai Zou! Kuai Zou! Kuai Zou!*

Robotnicy wycofali się powoli. No dobra, chyba do nich dotarło.

Beasley nacisnął przycisk na bezprzewodowym kontrolerze. Na ekranie wyświetlił się zegar odmierzający czas do detonacji. Zamrugały cyfry: 00.00.20, 00.00.19, 00.00.18...

Nie dość, że eksplozja wysadzi w powietrze resztę stacji, to jeszcze zniszczy samego SUGV-a. Założone w nim ładunki chemiczne stopią jego komponenty tak, by nie można ich było rozpoznać.

– Dowódca Bravo do dowódcy Duchów. Ładunki na stacji aktywowane. Ale dwóch moich ludzi dostało.

**Stacja transformatorowa
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Tang w końcu odzyskał mowę.

– Uciekajcie! Ale już! – wrzasnął i sam pognał ku bramie. Inni podążyli jego śladem. Wciąż jeszcze wykrzykiwali pytania, gdy za ich plecami rozległa się seria ogłuszających eksplozji.

Z walącym sercem, bez tchu w piersi, Tang dopadł do ogrodzenia, kiedy fala uderzeniowa uniosła go na moment w powietrze, po czym rzuciła na bramę.

Tam dołączyła do niego reszta ekipy. Wszyscy razem obrócili się, by z zapartym tchem podziwiać kule ognia.

**Zamek Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Diaz zignorowała stłumione wybuchy na północnym wschodzie, celując w drzwi wskazane przez Ramireza.

Trzech z czterech Wiosennych Tygrysów było martwych. Jeśli tylko przydybie admirała Cai – cel Charlie – misja dobiegnie końca.

Tyle tylko że... biedny Marcus. Czyżby go zabiła? Była zbyt przerażona, by o to pytać.

A Beasley nie odezwał się ani słowem.

Ciężko dyszała. Zdawało się, że słyszy własne rozdygotane nerwy. Drzwi się otworzyły...

Nie, to nie on. To jego strażnik. Admirał też jest, tuż za strażnikiem. Skręca w prawo...

Dała mu czas, by się trochę oddalił.

„A więc nie dość, że nie trafiłaś wroga, Alicio, to jeszcze zabiłaś jednego ze swoich!”

Zamknij się, Tomas!

Strzeliła, ale pocisk trafił w ziemię u stóp admirała Cai. Zaklęła, przeładowując broń. Przez cały czas nie spuszczała admirała z oczu.

On tymczasem padł na ziemię i zaczął czołgać się za róg budynku, gdzie znalazł się poza zasięgiem jej wzroku. Jednak czerwony punkcik wciąż pokazywał go na ekranie.

Naraz dołączył do niego zielony.

– Diaz, mówi dowódca Duchów. Wstrzymaj ogień! Mam go.

Mitchell i Smith wyłonili się z południowego budynku i padli na ziemię. Mieli admirała na muszce. Jego strażnik czołgał się tuż za nim. Mitchell wstrzymał oddech i przygotował się do strzału.

Smith zareagował jednak pierwszy. Wypalił ze swojego MR-C. Ciało strażnika i admirała zadrgały gwałtownie, przeszyte kulami Smitha. Mało chwalebna śmierć.

– Ładnie – szepnął Mitchell.

– Dzięki – mruknął Smith.

Mitchell wywołał na wyświetlaczu kamerę Beasleya. Sierżant biegł właśnie przez dziedziniec.

– Dowódco Bravo, melduj.

– Jestem tu, kapitanie. Brown padł, ale żyje. Jestem w drodze na pozycję Hume’a. Nie wiem jeszcze, co z nim. Jenkins ma Marcusa.

– Potrzebujesz pomocy?

– Myślę, że sobie poradzimy.

– Przyjąłem. Wszystkie cele zostały wyeliminowane. Wycofujemy się do samochodów! Szybko, szybko!

– Łatwo mu mówić – narzekał Jenkins.

Plutonowy Marcus Brown wciąż leżał na schodach. Pocisk Diaz chybił go o centymetr, jednak odłamki rozbitej ściany uderzyły go w głowę. W połączeniu z upadkiem z kilkunastu stopni spowodowało to utratę przytomności.

Jenkins sprawdził już źrenice Browna. Upewnił się, że są jednakowej wielkości i reagują na światło. Sprawdził też, czy z uszu Browna nie sączy się żaden płyn. Na szczęście były czyste. W normalnych warunkach unieruchomiono by kark Browna i wyniesiono go na

noszach.

Tutaj Jenkins sam musiał wynieść na plecach swojego kolegę.

Ostrożnie podniósł Browna i ruszył w dół po schodach. Drewniane stopnie skrzypiały i uginały się przy każdym kroku. Ze względu na muskulaturę Browna i jego uzbrojenie, zniesienie go wymagało nie lada wysiłku.

Kiedy znalazł się już na zewnątrz, zaczął brnąć przez błoto. Gwałtowny podmuch wiatru przyniósł ze sobą nową ścianę deszczu. Mimo wszystkich tych godzin spędzonych na siłowni, ładunek Jenkinsa okazał się ponad jego siły. Padł na kolana i położył kumpla na ziemi.

– Dowódco Duchów, tu Jenkins – odezwał się. – Mam Browna, ale potrzebuję pomocy.

– Idę po nich – oznajmił Skaut przez telefon. Wcisnął sprzęgło terenówki, jakby szykując się do startu.

Budda zdusił przekleństwo.

– To oni idą do nas! Nie ruszaj się, głupcze! Mamy jedyny środek lokomocji!

– Jak wszyscy tam zginą, nie będą nas potrzebować. Jedźmy tam i zabierzmy ich.

– Słyszałeś, co powiedziałem.

– Przykro mi, staruszkule. My, skauci, nie jesteśmy asekurantami.

Z tymi słowami Skaut wrzucił bieg i terenówka z rykiem wyrwała do przodu. Budda szarpnął za klamkę, otworzył drzwi, wyskoczył z wozu, wycelował pistolet i zaczął strzelać. Kule zrobiły kilka dziur w tylnej szybie terenówki, posypało się szkło.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołał Skaut. – Przestań strzelać!

– Wracaj tu! Ale już! – krzyknął w odpowiedzi do telefonu Budda.

– Nie ma mowy, tłuszciochu. To ty jedź za mną!

Budda wrócił do swojego wozu i uruchomił silnik.

Po wysłaniu Smitha, żeby sprawdził, co z Beasleyem i Hume'em, Mitchell pobiegł pomóc Jenkinsowi.

Nagle jakiś pojazd – jedna z tych chińskich podróbek dżipa – wpadł na dziedziniec od strony głównego budynku i przeciął mu drogę, zmierzając na wschód od zamku. Nie mając pewności, kto nim jedzie, Mitchell włączył radio.

– Tu dowódca Duchów. Jakiś pojazd zmierza na wschód! Skąd się wziął? Kto nim jedzie?

– Dowódco Duchów, tu Diaz. Jestem w drodze do punktu zbiorczego. Widzę twoją terenówkę. To musi być ten człowiek, który wyglądał na szefa ochrony... taki z laską. Nie mam pojęcia, gdzie schował samochód.

– Zrozumiałem.

– Jeszcze jedno. Wygląda na to, że nasze samochody zjeżdżają z góry.

– Co takiego?!

– Właśnie tak, kapitanie. Jadą tutaj.

Mitchell obrócił się na pięcie. Patrzył, jak samochód Fanga Zhi z rykiem silnika pnie się pod górę wschodnią drogą, kierując się prosto na pierwszą z nadjeżdżających terenówek.

– Diaz, widzisz jego samochód?

– Tak.

– Strzelaj!

– Spróbuję, ale jedzie bardzo szybko!

– Próbuje, próbuje. Ramirez? Nolan? Do Jenkinsa. Pomóżcie mu zabrać stamtąd Browna.

– Robi się, szefie – odparł Ramirez.

Skaut skrzył kierownicę w lewo, próbując zepchnąć nadjeżdżający samochód z drogi, jednak jego kierowca wystawił rękę i głowę przez okno i zaczął strzelać z pistoletu.

Pierwszy strzał trafił w przednią szybę samochodu Skauta, kiedy on sam sięgał po broń.

Nie zdążył już tego zrobić.

Kiedy się mijali, kierowca jadącego z naprzeciwka drugiego samochodu strzelił raz jeszcze. Szyja Skauta wygięła się do tyłu. Zaklął w myślach, opadł na kierownicę i przestał czuć cokolwiek.

Budda zakręcił kierownicą, odbijając w prawo. Cały czas strzelał do uciekającego samochodu.

Kierowca drugiego samochodu odpowiedział ogniem, po czym przyspieszył, wjechał za grzbiet wzgórza – i tyle go widziano.

Beasley przebrnął przez potrzaskane schody. Znalazł Hume'a siedzącego pod ścianą. W nogach i prawym ramieniu żołnierza utkwili dziesiątki odłamków. Naprzeciw niego leżeli strażnik i generał Chen.

– Johnny, to ja, Matt – odezwał się. – Przyszedłem cię stąd wyciągnąć, stary.

Hume się nie ruszał.

Beasley zdjął plutonowemu słuchawkę i kominiarkę. Oświetlił bok jego głowy małą taktyczną latarką Gladius. Sprawdził uszy i oczy. Wyglądały nieźle. Zbadał rany na kończynach Hume'a.

Plutonowy się poruszył.

– Matt – odezwał się – chyba zaraz się porzygam.

– Dzwoni ci w uszach?

– Tak.

– Dostałeś odłamkami. Lekka rana głowy. Nic takiego. Zobaczmy, czy dasz radę stanąć

na nogach. Gotów?

Beasley podniósł się, stanął obok Hume'a, wsadził mu ręce pod pachy i dźwignął go na nogi.

Hume wcale nie żartował, gdy mówił o nudnościach. Kiedy schylał się, by puścić pawia, na schody wbiegł Smith. Wystarczył mu jeden rzut oka.

– Chyba sobie poradzicie – orzekł.

– Nie tak prędko, kowboju. Wracaj tutaj, zbierz jego klamoty i pomóż mi go wyprowadzić.

Widząc, jak pierwsza terenówka pędzi drogą prosto na wschodni budynek, Mitchell pognał w jej kierunku.

Nie mógł jednak nic zrobić, gdy pojazd ze zgrzytem metalu rozwalił bramę, zmierzając wprost na ceglany mur. Brama spowolniła jego bieg, kiedy więc zderzył się ze ścianą z głuchym hukiem, nie przebił się na drugą stronę. Stał tak na jałowym biegu, z czarną maską pokrytą pyłem i kamieniami.

Dysząc ciężko, Mitchell dopadł terenówki, z rozmachem otworzył drzwi po stronie kierowcy i skrzywił się z niechęcią. Ich młody kontakt z CIA nie dość, że umarł, to jeszcze zakrwawił całe siedzenie i kierownicę. Mitchell zaciągnął ręczny hamulec i odwrócił się w stronę podbiegającej Diaz.

– Kapitanie, przepraszam, ale nie mogłam w niego wycelować – tłumaczyła się, z trudem łapiąc powietrze. Na jej twarzy znać było skrajne wyczerpanie. Kontrolka zasilania Cross-Comu świeciła przy uchu niczym klejnocik.

– W porządku – uspokoił ją Mitchell. – Pomóż mi go wyjąć. Usiądziesz za kierownicą. Chcę zatrzymać tę terenówkę.

– Robi się. Facet jedzie naszą trasą. Dobrze się składa, tyle że ma nad nami znaczną przewagę.

– Wiem – westchnął Mitchell.

Kiedy wyciągali Skauta z fotela kierowcy, by przenieść na tył terenówki, Diaz nagle doznała olśnienia.

– Chwileczkę! – zawołała. – Chyba znam sposób, by go spowolnić.

ROZDZIAŁ 29

**W drodze z zamku Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Mitchell rozkazał załadować Browna i Hume'a do swojej terenówki. Nolan też się tam wgramolił, by ocenić ich obrażenia i opatrzeć im rany po drodze na wybrzeże. Hume to odzyskiwał przytomność, to ją tracił. Brown natomiast dochodził właśnie do siebie.

Pierwsza terenówka odjechała. Ramirez, Beasley, Smith i Jenkins wsiedli do samochodu Buddy.

Kiedy Diaz, zmagając się z kierownicą, wjechała autem na śliską górską drogę, Mitchell przypadkiem zerknął w boczne lustro.

Samochód Buddy wciąż jeszcze nie opuścił dziedzińca. W jego kierunku biegł jakiś mężczyzna, machając ręką.

– Ramirez, tu dowódca Duchów. Co tam u was się wyrabia?

Krzyczeli do Buddy, żeby natychmiast odjeżdżał, ale on zobaczył, jak ktoś biegnie ku nim przez dziedziniec.

– Czekaście!-zawołał.

Siedzący z przodu Ramirez wymierzył pistolet w jego głowę.

– Jedź!

– To Huang, nasz kontakt. Zaczekajcie sekundę!

– Ruszaj się! – wykrzyknął Ramirez. – Zaraz tu się zrobi gorąco! No, jazda!

Budda spojrzał na niego.

– Cierpliwości.

– Wsiadka! – warknął z tylnego siedzenia Beasley. – Spadaj, tłuściochu! Ja poprowadzę!

– Huang! – wykrzyknął Budda, ignorując Beasleya. – O co chodzi?

Huang zamachał ręką. Zobaczył, jak Budda odwraca się i woła coś do mężczyzn w

samochodzie. Huang czuł w kieszeni ciężar pistoletu.

Widział, jak Fang ucieka w brawie wojownika, który miał stać się jego, Huanga, własnością.

Widział, jak ci ludzie wsiadają do samochodu Buddy, by odjechać, zostawiając go z niczym.

Fang go okłamał. Złamał dane słowo.

Budda też go okłamał, nie dotrzymał obietnicy zabicia Fanga.

Huang musiał zachować twarz. Musiał ocalić resztki honoru.

– Budda! Czekaj! Mam coś dla ciebie! – zawołał.

Wyczerpanie, brak snu i uporczywy deszcz sprawiły, że Budda zbyt późno zdał sobie sprawę z tego, co tak naprawdę się dzieje.

Huang nie miał dla niego żadnej informacji, miał tylko kulę.

Kiedy kościsty staruszek wy dobył z kieszeni pistolet, Budda sięgnął po własną broń. Jednocześnie z trzaskiem otworzyły się tylne drzwi i jeden z Duchów wypadł na zewnątrz.

Wszystko to działo się zbyt szybko dla starego, poczciwego Buddy. Poczł ogromne znużenie. Jak przed zaśnięciem po długim dniu ciężkiej pracy.

Pistolet Huanga wypalił.

Pierwszy pocisk rozorał szyję Buddy. Jednocześnie Ramirez wystrzelił kulę, która przeleciała tuż obok twarzy Huanga.

Drugi pocisk trafił Buddę w głowę. Choć powinien był umrzeć szybko, starczyło mu czasu na jedną, ostatnią myśl. Nic głębokiego – prosty werset z *Dhammapady*, który często powtarzał sobie dla uspokojenia: „Tu mieszkać będę w porę deszczową, a tu zimą i latem”.

Smith skrzywił się z bólu od zranionego ramienia. Mimo wszystko zdołał wyskoczyć z terenówki i, trzymając jedną ręką swój MR-C, zastrzelił tego stracha na wróble z pistoletem.

– Zdejmij Buddę z siedzenia! Połóż go na tył! – krzyczał tymczasem Ramirez. – Jezu Chryste, mnie też trafił! – dodał po chwili.

Beasley i Jenkins wysiedli już z samochodu i podbiegli do drzwi od strony kierowcy, by wywlec Buddę. Smith uznał, że trzeba skontaktować się z dowództwem i spytać, co mają zrobić z ciałami ludzi z CIA. Tymczasem jednak lepiej było ich nie zostawiać.

Mitchell przez radio zapytał, co się dzieje. Beasley złożył mu meldunek. Tymczasem Smith podszedł do Ramireza. Pierwsza kula, która przeszła przez szyję Buddy, trafiła go w bark.

– Ciebie przynajmniej postrzelił wróg – burknął Ramirez. – Ja oberwałem od jakiegoś starucha.

– Fakt, to dość wstydliva kwestia.

– Zamknij się – prychnął Ramirez.

– Żartuję – uspokoił go Smith, szukając rany wylotowej. – W porządku – odezwał się po

chwili – przeszła na wylot. Wiem, że boli. Teraz cię tymczasowo zabandażuję.

Ramirez skrzywił się i zaklął.

– Joey, chodź tu, żeby można cię było porządnie opatrzyć – wtrącił Beasley. – Jenkins, siadź za kółkiem.

– No, dawaj – zachęcił Smith, pomagając Ramirezowi wydostać się z fotela obok kierowcy.

– Do dowódcy Bravo – wywołał Mitchell. – Zabierajcie się już i rozwalcie te śmigłowce.

– Przyjąłem.

Zatrzasnęły się ostatnie drzwi i Jenkins zaczął nawracać.

– Trzy, dwa, jeden – powiedział Beasley i zdetonował ładunki C-4, ciasno upakowane w śmigłowcach i ciężarówkach na tyłach zamku.

Wybuchy w pobliżu zamku i na stacji transformatorowej służyły temu, by odwrócić uwagę policji i wojska. Smith uznał, że dobrze przygotowali przynętę.

Wyciągnął szyję i obejrzał się na zamek. Woda spływała z dachów na podobieństwo kapiącego wosku. Jednocześnie w tle cztery ogromne kule ognia wystrzeliły ku niebu i rozkwitły w pomarańczowe grzyby. Eksplozje rozjaśniły całą scenę nieziemskim blaskiem. Kiedy płomienie wznosiły się coraz wyżej nad górami, dolinę raz jeszcze rozjaśniła błyskawica.

Niezapomniany widok. Jakby starochińskie malowidło ożyło na jego oczach.

Smith odwrócił się i poprawił w fotelu. Szybę miał opuszczoną, karabin trzymał w pogotowiu. Pomyślał o pozostawionych w domu rodzicach. Szkoda, że tego nie widzieli. Może wreszcie zdaliby sobie sprawę, że zamiana służby w Duchach na stanowisko małomiasteczkowego szeryfa to jak rezygnacja z gry w pierwszej lidze na rzecz weekendowych meczów softballu.

Może któregoś dnia zdecyduje się na to. Ale na pewno nie teraz, gdy krew w jego żyłach buzowała adrenaliną pod napięciem miliona woltów.

Podczas gdy Diaz manewrowała terenówką wśród potoków deszczówki i błota, siedzący obok Mitchell miał właśnie namierzyć aktualne położenie Fanga na swoim wyświetlaczu HUD.

Nim jednak zdążył to zrobić, z trzaskiem ożył kanał łączności satelitarnej. Na ekranie pojawił się generał Keating. Znajdował się w centrum dowodzenia.

– Mitchell – odezwał się generał – doskonała robota, chłopcze. Czas wracać do domu. Mamy jednak problem. Albo wasza infiltracja na wybrzeżu została zauważona, albo ta przerwa w dostawie prądu napędziła im stracha.

Keating zniknął z ekranu, na którym pojawił się trójwymiarowy, ruchomy schemat chińskiego patrolowca, wraz z nazwą i szczegółowymi danymi: kanonierka patrolowa typu 62C, klasa Szanghaj II. Długość: 38,78 m. Prędkość maksymalna: 28,5 węzła. Załoga: 36

ludzi. Uzbrojenie: dwa dwulufowe działka przeciwlotnicze 37 mm i dwa dwulufowe działka przeciwlotnicze 25 mm.

– Dwa z tych patrolowców klasy Szanghaj są w drodze do zatoki Xiamen – ciągnął generał. – Większość nowszych kanonierek Floty Wschodniej stacjonuje w Ningde, ale najwyraźniej starsze sześćdziesiątkidwójki przeniesiono do innych portów. To tłumaczy obecność tych dwóch.

– Generale, czy usiłuje mi pan poprawić humor, mówiąc, że to starsze jednostki? Z pewnością mają całkiem sprawne działa.

– Racja. Pracujemy jednak nad znalezieniem jakiegoś wyjścia z sytuacji.

– Mam czterech rannych. Powrót na okręt podwodny będzie wystarczająco trudny i bez tych kanonierek. Trzeba się ich pozbyć.

– Doskonale cię rozumiem, Mitchell. Czekaj na rozkazy.

Fang Zhi mknął krętą górską drogą. Samochód ślizgał się w błocie na ostrych zakrętach. Nie miał wyboru – musiał jechać na włączonych światłach, mrużąc oczy w ulewnym deszczu zalewającym przednią szybę. Jego myśli wybiegały jednak już dalej – ku przeznaczeniu... ku przyszłości.

Rankiem wszystkie te ciała zostaną znalezione i rozpocznie się śledztwo. Nie minie wiele czasu, kiedy go odnajdą, przesłuchają, a potem torturami zmuszą, żeby powiedział to, czego chcą. Kogoś trzeba będzie przecież obarczyć winą. Narastający w nim gniew wreszcie znalazł ujście w krzyku.

Wrzasnął ze złości. Wściekał się na ślamazarne wycieraczki. Wściekał się na Wiosenne Tygrysy – za to, że go zawiodły.

To wszystko ich wina. Gdyby bardziej mu ufali, gdyby powierzyli mu zadania o naprawdę strategicznym znaczeniu, mógłby odkryć źródło zagrożenia. Jeden z jego strażników zameldował, że napastnicy mówili po angielsku z amerykańskim akcentem.

Fang uderzył pięścią w kierownicę. Jak długo jeszcze Amerykanie będą mu rujnować życie? Dokąd ma się teraz udać? Wiedział tylko, że musi uciekać. Nie mógł jednak zostać w Chinach. Nie mógł też wrócić na Tajwan.

Może będzie w stanie dostać się na Filipiny. Znał dwóch ludzi, którzy mogli mu w tym pomóc. Przemycali kobiety do burdeli. Zapłaci im za pomoc. Tak właśnie zrobi. Wróci do bazy, zabierze swoje rzeczy i zmyje się, nim nastanie świt. Jego życie zatoczy krąg. Wróci do miejsca, gdzie zaczęły się wszystkie jego kłopoty.

Wziął kolejny zakręt. Droga była tu znacznie szersza. Pobocze również. Dwadzieścia metrów dalej zaczynała się ściana lasu. Naraz ni stąd, ni zowąd pojawiło się pojedyncze światło, które pomknęło ku niemu. Zmrużył oczy i sięgnął po pistolet, spoczywający na siedzeniu obok karabinu szturmowego QBZ-95.

Uspokój się, nakazał sobie w myślach. To pewnie stary rolnik jedzie autem z rozbitym

reflektorem albo jakiś młody gnojek szarżuje na skuterze czy motocyklu. Fang przyśpieszył. Trzymał się prawej strony, jednak światło skręciło i ruszyło wprost na niego.

USSOCOM
Baza Sił Powietrznych Macdill
Tampa, Floryda
kwiecień 2012

Generał Joshua Keating właśnie podzielił się dobrymi wieściami z prezydentem. Cele wyeliminowane. Sekcja Ghost Recon w trakcie ewakuacji. Starannie pominął informacje o chińskich patrolowcach. Jak na razie nie było potrzeby niepokoić prezydenta. Keating zakończył wideokonferencję i już miał sięgnąć po butelkę wody, kiedy do jego biurka podeszła doktor Gorbatova.

– Generale – odezwała się – nasz kret właśnie przyszedł do biura. Obawiam się, iż zaszło pewne nieporozumienie. Myślał, że zaraz wylatuje. Poinstruowaliśmy go, że ma do wykonania jeszcze jedno zadanie. Zareagował na to bardzo nerwowo.

– Biedak. Gdyby towarzyszył moim Duchom, dopiero miałby powody do zdenerwowania.

– Generale, nie jestem pewna, czy możemy na niego liczyć. Chyba nam już nie ufa.

– Pani doktor, mam tam rannych ludzi. Dwaj pani ludzie nie żyją. Niech pani powie temu swojemu chłopczkowi, że od niego zależy życie innych.

Centralna Komisja Wojskowa (CKW)
Ministerstwo Obrony Narodowej
Pekin, Chiny
kwiecień 2012

Kapitan Zuo Junping przebiegł obok strażników. Powiedział im, że są problemy w Xiamen i że powinni być przygotowani na przybycie kolejnych gości.

Własnym kluczem otworzył drzwi biura zastępcy dyrektora Wanga Ya. Zasiadł za jego biurkiem przy komputerze. Musiał wysłać odpowiednie e-maile, a potem zadzwonić w kilka miejsc. Jego przełożeni z DIA polecieli, by upewnić się, że działania wojskowe skoncentrują się w głębi lądu. Zuo, udając zastępcę dyrektora, przekaże im polecenia CKW. Pozostała jeszcze kwestia tych dwóch patrolowców płynących do zatoki Xiamen. Należało skierować je dziesięć mil na północ, by zajęły się działalnością przemytniczą przy falochronie Gaoji.

Zuo oddał już lub sprzedał wszystko, co posiadał. W mieszkaniu zostały koc, poduszka i dwie spakowane walizki.

Po tym, jak Lo Kuo-hui oznajmił mu przed wyjazdem, iż DIA dotrzymało zawartej z nim umowy, Zuo wreszcie uwierzył, że agencja pomoże również jemu. Jednak wykonując te ostatnie polecenia, spocił się cały i zadyszał.

Skończył pisać i sięgnął po telefon.

Nagle drzwi otwarły się na oścież. Zapaliło się światło. Do pokoju wpadł zastępca dyrektora we własnej osobie. Łysinka na czubku głowy świeciła w blasku lamp. Oczy za grubymi szklami okularów zmrużył złowieszczo. Za nim do biura wkroczyło dwóch strażników z karabinami wymierzonymi w Zuo, którego ręka odruchowo powędrowała do kabury na biodrze.

– Ręce na biurko – warknął Wang.

Strażnicy podeszli bliżej.

Zuo uniósł dłonie, po czym spokojnie położył je na klawiaturze.

– Czuję się głęboko dotknięty – podjął Wang. – Wiem, że skorzystałeś z mojego telefonu, żeby zadzwonić do Genewy. Dla kogo pracujesz? Dla Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego?

Zuo przełknął ślinę. Próbował coś powiedzieć, ale na chwilę odjęło mu mowę. Przynajmniej Wang nie wiedział, że Zuo szpieguje dla Amerykanów. Zakładał, że go zdradzono. Myślał, iż nastąpił wyłom w *gtianxi* – w koneksjach. Zastępca dyrektora zaangażowany był w coś jeszcze poważniejszego niż plan Wiosennych Tygrysów. Zuo nie miał jednak pewności, co to takiego.

Tymczasem Wang ze smutkiem pokiwał głową.

– Nie spałem od dwóch dni. Wspominałem o tym, że stałeś mi się bliski jak syn. Teraz niedobrze mi się robi na twój widok. Czy tak syn odwdzięcza się ojcu?

– Nie. – Zuo odwrócił wzrok.

– Co ja mam z tobą zrobić?

– Błagam o przebaczenie. Nie pracuję dla nikogo. Byłem tylko ciekaw. To moja głupota.

Wang przeszedł za biurko.

– Wstawaj!

Zuo usłuchał.

Wang sięgnął do jego pasa, wyjął z kabury pistolet i oddał go strażnikowi. Znów pokręcił głową i raptem uderzył Zuo na odlew w twarz.

– Nie toleruję szpiegów! – oznajmił. – Nie mam dla nich litości.

Zuo poczuł, jak jego policzek płonie żywym ogniem. Spuścił głowę. Rozprostował palce rąk. Stało się. Już Wang dopilnuje, żeby zginął podczas jakiegoś wypadku – tak by Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego nie wszczęło śledztwa. Koniec z marzeniami o nowym życiu w Ameryce. Koniec ze snami o wolności. Na nic zdało się to całe szpiegowanie dla Amerykanów.

Psu na budę!

Wolno uniósł głowę. Popatrzył Wangowi prosto w oczy, po czym rzucił się do przodu i zacisnął palce na gardle dyrektora. Powalił go na ziemię i wbił palce w miękkie, sflaczałe ciało. W tej samej jednak chwili strażnicy złapali go za ramiona i odciągnęli od niedoszłej ofiary.

Jeden z nich cofnął się i z rozmachem uderzył Zuo w skroń. Kapitan potoczył się po podłodze. Cały pokój wirował mu przed oczami.

– Zabrać go stąd! – krzyknął Wang. – Do mojego samochodu! Natychmiast!

Podźwignęli Zuo i wywlekli go za drzwi, podczas gdy on starał się zachować przytomność.

**W drodze z zamku Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Pojazd z pojedynczym światłem pędził na Fanga. Jego silnik wydawał z siebie dziwaczny wizg. Kapitan wystawił rękę z pistoletem za okno. Strzelał do opróżnienia magazynka. Jednak tajemniczy obiekt wciąż się zbliżał.

Fang sięgnął po karabin. Oparł lufę o boczne lustro i wystrzelił wszystkie dziesięć kul pozostałych w magazynku. Upuścił karabin. Jednocześnie ostro skręcił w prawo i zjechał z drogi.

Gwałtowne szarpnięcie wyrzuciło go z fotela, gdy uderzył w krawędź nasypu. Samochód spadł metr niżej, po czym przetoczył się na bok.

Fang spojrzał w lewo. Nie do wiary, co z rykiem przeleciało obok samochodu.

ROZDZIAŁ 30

**USS „Montana” (SSN-823)
Cieśnina Tajwańska
Morze Południowochińskie
kwiecień 2012**

Dobra nasza! – mruknął zadowolony z siebie porucznik Moch, potrząsając pięścią.

Kapitan Gummerson podszedł do obu pilotów w centrum dowodzenia. Pilotując predatora nad krętą górską drogą, Moch i jego zmiennik, porucznik Justin Schumaker, wykazali niezwykle kunszt. Kiedy już zlokalizowali pas ziemi o szerokości większej niż rozpiętość skrzydeł predatora – wynoszącą prawie piętnaście metrów – natychmiast, nie zważając na ulewę, sprowadzili samolot na dół tak, że znalazł się na kursie kolizyjnym ze ściganym przez Mitchella samochodem.

Gummerson był świadkiem wymiany zdań, która wszystko zapoczątkowała. Wielu członków załogi „Montany” nic z tego nie mogło zrozumieć.

– Obsługa predatora, tu Diaz.

– Cześć, Alicia.

– Jeff, pamiętasz tę historię, którą mi opowiadałeś? No więc chcę, żebyś zatrzymał dla mnie pociąg.

– Żarty sobie robisz?

– Ależ skąd. To zadanie dla pana, panie pilocie.

– Dobra. Odpręż się i napawaj się widokiem.

– No to co, zatrzymałeś ten pociąg? – zagadnął Gummerson, nachylając się nad Mochem.

– A może to był samochód?

– Tak jest, kapitanie. Kierowca zobaczył tylko światło naszego reflektora, po czym zepchnęliśmy go z drogi – mówiąc to, Moch wskazał jeden z monitorów. Na ekranie widać

było obrazy termooptyczne oraz siatki celownicze na tle kilku słupków danych. – Proszę tylko spojrzeć. Widzi pan, jaką ma minę?

– Ale jednak zobaczył samolot...

– Fakt. Tyle że nie pożyje na tyle długo, by o tym opowiedzieć.

Gummerson pokiwał głową. Obejrzał się na komandora podporucznika Sandsa. Na nim też zrobiło to wrażenie.

Drugi pilot zaczął coś mówić przez radio. Na trójwymiarowym obrazie kadłuba predatora pojawiły się migające czerwienią okręgi.

– Co znowu? – zapytał Moch.

– Wygląda na uszkodzenia hydrauliki i silnika. Oraz niewielki wyciek paliwa. To wszystko przez te strzały – oznajmił Schumaker.

– Poruczniku, potrzebuję jeszcze jednego przelotu nad zatoką przed powrotem do bazy. Może pan to zrobić? – spytał Gummerson.

– Miejmy nadzieję, że nasza zabaweczka i tym razem nie zawiedzie.

– Proszę się skoncentrować na cieśninie między Haicangiem a wyspą Gulangyu. Ta strefa interesuje mnie najbardziej.

Moch delikatnie pochylił drążek sterownika.

– Już lecimy.

Gummerson odwrócił się do Sandsa.

– Czy komandosi SEAL są gotowi?

– Czekają na rozkazy.

– Doskonale. Powiedz im, że już niedługo.

– Tak jest.

W drodze z zamku Hakka Xiamen, Chiny kwiecień 2012

Obraz z satelity, przekazywany na wyświetlacz HUD Mitchella, pokazywał, że Fang wysiadł z samochodu, ale nie uciekł. Za pomocą wyciągarki usiłował wciągnąć pojazd z rowu. Gdyby tylko udało mu się zamocować linę holowniczą pod odpowiednim kątem do drzewa, mógłby powrócić na szosę.

Do jego pozycji mieli jakieś pięć minut drogi. Mitchell zdawał sobie sprawę, że jeśli nadjadą z rykiem silnika, uciekną im w las.

Mitchell miał pewne poczucie winy. Owszem, misja była najważniejsza, ale oto nadarzała się szansa, by zamknąć jeden z najbardziej bolesnych rozdziałów w jego życiu. Czy mógł z tego zrezygnować?

Może Fang zobaczył predatora. Może chciał ostrzec Chiny, że atak był dziełem

Amerykanów.

Poza tym generał Keating potrzebował przecież więcej czasu, by odciągnąć te patrolowce z zatoki.

Tak czy owak wciąż ciążyło mu poczucie winy. Odwrócił się.

– Nolan, co tam z nimi? – zapytał.

– O wiele lepiej – odrzekł sanitariusz.

– Nic mi nie jest, kapitanie – powiedział Brown. Poruszał ustami, jakby skosztował czegoś wyjątkowo ohydneho. Oczywisty symptom poważnego urazu głowy.

– Ani mnie – oświadczył Hume.

– Marcus, tak mi przykro – odezwała się Diaz.

– Zapomnij o tym. Wiem, że gdybyś chciała mnie zabić, to byś nie spudłowała.

– Pogadamy o tym później – ucięła.

Mitchell stęzał.

– No dobra, słuchajcie. Za minutę dopadniemy tego ostatniego strażnika. Zjechał z drogi i próbuje podnieść samochód wyciągarką. Nie chcę zostawiać żadnych śladów, a zwłaszcza takiego świadka, jak on. Zamierzam go zlikwidować.

– Doskonale – odparł Nolan.

– Jest coś jeszcze. Macie prawo to wiedzieć. Strażnik nazywa się Fang Zhi. Jest z Tajwanu. Był kapitanem tajwańskiej armii. Współpracowałem z nim na Filipinach. Wpadliśmy w zasadzkę, a on nie wydał swojej sekcji rozkazu ataku. Uznał nasze rozkazy za nedorzeczne. Przez tego człowieka straciłem wielu świetnych ludzi.

– Serio pan mówi? – zdumiała się Diaz.

– Jak najbardziej. Kiedy wypuściliśmy drona, dobrze się gościowi przyjrzałem.

– Co on tu robi? – spytał Hume.

Mitchell westchnął ciężko.

– Słyszałem, że wyrzucono go z wojska. Musiał zbiec do Chin. Ale to bez znaczenia. Chcę tylko zaznaczyć, że nasza misja ma absolutne pierwszeństwo.

– Krążyły takie plotki... – zaczęła Diaz. – To ten gość, który zrobił panu bliznę, prawda?

– Tak...

– Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie mam się zatrzymać, kapitanie – powiedziała Diaz zdecydowanym głosem. – Załatwimy to raz-dwa.

– Co to, to nie – zaoponował. – Nie będę z tego powodu ryzykował waszego życia. Dajcie mi pięć minut. Jak się po tym czasie nie odezwę, to znaczy, że nie żyję. Zabierzecie moje ciało i wróćcie na wybrzeże. No dobra, jesteśmy już wystarczająco blisko.

– Kapitanie – odezwała się Diaz podniesionym głosem – nie mamy najmniejszego zamiaru wracać z pańskim ciałem. Musi pan zabić tego skurwiela. Nie chce pan, byśmy poszli razem, ale mimo wszystko pomożemy panu.

Mitchell wysiadł z samochodu.

– No dobra – odparł – pozostajmy w kontakcie.

Kiedy brave warrior Fanga przewrócił się na bok i ześliznął w błoto, on sam przez jakiś czas siedział w samochodzie bez ruchu. Ten dron, pomyślał oszołomiony, musi należeć do Amerykanów.

Wziął karabin, załadował ostatni magazynek, przewiesił broń przez ramię i wyczołgał się z samochodu przez tylne drzwi.

Kiedy już postawił stopy na ziemi, jego wzrok powędrował ku ciemnemu niebu nad głową. Szukał drona. Czy to szum jego silnika słyszał w oddali? Może i tak. Pewnie już odlatywał.

Droga znów stawała się tu wąska. Po lewej z nasypu wyrastały drzewa o grubych konarach. Zaczepił ciężką linę holowniczą o dwie grube gałęzie, zapętlił, używając haka, po czym wrócił do samochodu i włączył wyciągarkę. Terenówka przesunęła się do przodu, orząc błoto, ale pod złym kątem. Lina ciągnęła ją tylko do przodu, ale nie podniosła, jak tego oczekiwał.

Naraz jedna z gałęzi pękła, lina opadła luźno, a samochód się zatrzymał. Fang zaklął wściekle i pobiegł z powrotem do wozu, żeby wyłączyć wyciągarkę. Spróbuje jeszcze raz, a jak znów się nie uda, pójdzie dalej pieszo.

Kiedy pochylał się nad wyciągarką, coś drasnęło go w ramię. Obrócił się i poczuł ostre ukłucie. Spojrzał na koszulę. Przez tkaninę sączyła się krew.

Gwałtownie sięgnął po karabin. Złożył się do strzału i zaczął wolno przesuwac na czworakach. Trzymał się blisko wozu, próbując wyliczyć, skąd strzelano. Rana zaczęła pulsować. W uszach dudniła mu krew.

Gdzie jesteś?

Na stoku po lewej, w pobliżu drzew, przesunął się jakiś cień.

Fang skierował w tamtą stronę lufę i otworzył ogień. Odgłosowi kanonady towarzyszył jego własny krzyk, przebijający się przez szum ulewy.

Kiedy tylko przerwał ogień, zerwał się na równe nogi, obiegnął samochód i zniknął w gęstwinie drzew i sięgających do pasa zaroślach.

Mitchell wiedział, że trafił Fanga. Jednak zamiast strzału prosto w głowę udało mu się zaledwie zranić wroga w ramię. Niech to szlag. Nawet za pomocą IWS daleko mu było do Diaz. Podkładał się właśnie do kolejnego drzewa, kiedy Fang odpowiedział ogniem. Dalej posuwał się więc, czołgając. Co chwila zerkał na HUD-a. Fang tymczasem wycofał się do lasu.

– Diaz do dowódcy Duchów. Słyszeliśmy strzały. Mam pańską pozycję. Cel zmierza na północ, ale na drodze ma ogromną skalną ścianę. Najpewniej jej jeszcze nie widzi. Niech pan

idzie za nim, a tam go pan dopadnie.

– Przyjąłem – odparł Mitchell, zbiegając już ze skarpy. Z tupotem przebiegł obok samochodu Fanga i rozchlapując błoto, przeciął drogę, zмирzając w stronę lasu.

– Dowódca Bravo do dowódcy Duchów. Szacowany czas naszego przybycia: dwie minuty. Mamy zaczekać razem z Diaz?

– Nie. Macie jechać na wybrzeże.

– Tak jest, szefie.

Mitchell przedarł się przez zarośla i wyminął kilka kolejnych drzew. Zbocze stało się bardziej kamieniste i strome. Dotarł do następnego drzewa, przykucnął i wpatrzył się w obraz z satelity na wyświetlaczu HUD. Fang był blisko.

Deszcz jeszcze się nasilił. Strugi wody przelewały się przez gęste listowie. Mitchell miał wrażenie, że ktoś szepcze mu do ucha: „Jest tam. Nie, nie tam, tylko tam. Za tym drzewem. Za tym krzakiem. Nie, nie za tym”. Ekran zamontowanej na karabinie kamery świecił łagodnym blaskiem. Mitchell otarł z niego wodę i użył go, by zajrzeć za kolejny pień.

Żadnego ruchu. Wyłączył kamerę, by światło nie zdradziło jego pozycji.

Wziął głęboki oddech i zerwał się do biegu. Oderwał się od drzewa i pomknął w górę zbocza, wzdłuż pokrytego błotem kamienia, ku znajdującej się przed nim skalnej ścianie. Tuż przed nią skręcił w lewo między ostatnich kilka drzew.

Obraz z satelity sprawił, że jego tętno jeszcze bardziej przyśpieszyło.

Fang był nad nim. W dosłownym tego słowa znaczeniu. Mitchell odwrócił się na pięcie i w tej właśnie chwili pojął, jak wielki popełnił błąd.

Rzucił się do przodu w chwili, gdy Fang, który właśnie wspiął się na drzewo i usadowił na najniższej gałęzi, otworzył ogień.

Kula weszła w prawą rękę Mitchella, tuż nad łokciem. Kolejny pocisk odbił się rykoszetem od jego MR-C. On sam tymczasem przesunął się na brzuchu do przodu i przetoczył, unosząc jednocześnie karabin. Puścił serię w gałęzi. Fang jednak nie przestawał strzelać. Widać chciał opróżnić cały magazynek.

Mitchell przetoczył się ponownie i wypuścił kolejną serię.

Fang krzyknął, jego głos przeszedł w gulgot.

Z lufy karabinu Mitchella unosił się dym. Kapitan leżał bez ruchu, próbując złapać oddech. Miliony kropel deszczu uderzały monotonnie o gałęzie i liście.

Popatrzył w górę, mrużąc oczy. Ręka Fanga zwisła z gałęzi.

To koniec. Nareszcie koniec. Mitchell żałował tylko, że Fang nie poznał swojego zabójcy.

– Diaz, tu dowódca Duchów. Sprowadźcie tu samochód. Dostałem, ale dotrę do was za minutkę.

– Zrozumiałam. Jak ciężko jest pan ranny, kapitanie?

Poruszył zranioną ręką. Przynajmniej mógł to jeszcze zrobić.

– Pożyjemy, zobaczymy. Po prostu tu przyjeździecie.

Zanim jednak Mitchell zdołał powstać, coś spadło w błoto niecały metr od jego stóp.

Zamrugął, starając się zapomnieć o bólu.

Laska Fanga. A raczej jej część osłaniająca ostrze.

Mitchell popatrzył w górę.

Fang balansował na gałęzi. Uniósł wysoko nad głową obnażony sztylet. Wydał z siebie głośny okrzyk i rzucił się w dół.

Spadł na Mitchella niczym szczyrzący kły tygrys. Żadna siła nie mogła go powstrzymać.

Mitchell działał całkiem instynktownie.

Odotoczył się na bok. Monokl Cross-Comu zsunął mu się z ucha. Przeciwnik runął w błoto. Ostrze sztyletu zanurzyło się w nim po rękojeść.

Z leżącej na ziemi słuchawki dobiegł głos Diaz:

– Kapitanie, jesteście na miejscu. Czemu pana tu jeszcze nie ma?

Fang wyswobodził sztylet i odtrącił nim lufę karabinu Mitchella w chwili, gdy właśnie nacisnął on spust. Pociski przecięły powietrze. Krawędź ostrza uderzyła w dłoń Mitchella z taką siłą, że aż skulił się, czując potworny ból.

Wykorzystując to, Fang, jedną ręką trzymając sztylet, siadł okrakiem na swoim przeciwniku.

Mitchell jedną ręką wciąż trzymał karabin. Drugą, która pulsowała bólem, wymierzył sierpowego w podbródek Fanga. Ten, oszołomiony, zwolnił uchwyt sztyletu.

Mitchell odepchnął ostrze na tyle, by sięgnąć po karabin.

Na ten widok Fang zerwał się na równe nogi i zamachnął się sztyletem, chcąc wymierzyć cios w serce Mitchella.

Mitchell zacisnął gołe dłonie na mokrym metalu. Oczy zaszyły mu łzami od potwornego bólu zranionej ręki. Odepchnął ostrze w górę, ponad swoje ramię. Fang zadał cios, ale i tym razem sztylet wbił się w błoto.

Wyszarpnął z niego broń tak szybko, że wysliznęła się z palców Mitchella.

Znów trzymając sztylet w uniesionej ręce, Fang zrobił krok do tyłu. Jego twarz zmieniła się w nieludzką maskę. Jego mroczne oczy zwięzły się, kiedy wydał z siebie rozdzierający uszy okrzyk bojowy i opuścił ostrze.

ROZDZIAŁ 31

**W drodze z zamku Hakka
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Fang nie wiedział jednak, że kapitan Scott Mitchell nie był sam. Byli z nim jego ojciec, jego matka, jego bracia i siostra.

Była z nim Kristen.

Były z nim jego Duchy – oraz każdy komandos, z którym kiedykolwiek służył.

Może to ich obecność wyczuł Fang.

A może chodziło o coś innego.

Kiedy jednak zamierzył się, by zadać zabójczy cios – tym samym ostrzem, które posmakowało już ciała Mitchella – w jego oczach rozbłysło zrozumienie. Tak, jakby zdał sobie sprawę, kto kryje się za kominiarką, przysłaniającą twarz Mitchella.

Sekunda wahania.

Ale to wystarczyło.

Mitchell uderzył kolanami w plecy Fanga, jednocześnie odtrącając ostrze w lewo. Odtoczył się i zaczął gorączkowo grzebać w błocie w poszukiwaniu karabinu. Głos Diaz wciąż dobiegał ze słuchawki. Ulewny deszcz padał skosem przez dach z liści.

Mitchell chwycił swój MR-C, usiadł i wycelował w Fanga, który znów ruszył do natarcia.

Fang zamarł. Musiał podjąć decyzję. Bez wątpienia zastanawiał się, czemu Mitchell jeszcze nie strzelił. Dowie się za sekundę.

Mitchell powoli podniósł się na nogi. Trzymając karabin jedną ręką, zerwał kominiarkę i wepchnął ją do kieszeni. Postąpił krok w kierunku Fanga, którego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Ty... ty jesteś Mitchell. Starszy sierżant Mitchell – odezwał się Fang po angielsku. Nie wiedział, że od tego czasu Mitchell wielokrotnie awansował. Nie wiedział zresztą wielu rzeczy.

– Tak jest – odparł Mitchell. – Pogadajmy, nim wpakuję ci kulkę w łeb.

– Nie dam ci tej satysfakcji!

Fang skierował sztylet tak, by wbić go we własną pierś.

Mitchell wystrzelił pojedynczy pocisk w brzuch Tajwańczyka. Z rany trysnęła krew. Fang obrócił się i padł na plecy. Broń wypadła mu z dłoni.

Kiedy obrócił się na bok, by sięgnąć po sztylet, Mitchell odkopnął go poza zasięg jego ręki.

Potem chwycił Fanga za kołnierz i usadził go na ziemi.

Głowa Tajwańczyka poleciała do tyłu. Widać było, że zaraz straci przytomność.

– Fang, spójrz na mnie! – krzyknął Mitchell. – Tylko spójrz na mnie.

Fang czuł, jak krew przesącza się do klatki piersiowej i płuc. Pozostało mu niewiele czasu. Chciał odmówić Mitchellowi przyjemności zabicia go, ale się nie udało.

Spojrzał w górę, ponad ramieniem przeciwnika i ujrzał jedenastu żołnierzy – spoconych ze zmęczenia, z karabinami M4A1 w dłoniach. Deszcz ściekał po ich wojskowych kapeluszach.

Czyżby śnił? Miał halucynacje? Może już umarł?

Fang przypomniał sobie imiona i kryptonimy niektórych z nich. Wszystkie zaczynały się od litery R. Rutang, Ricochet i Rockstar stali tam między innymi. Był też amerykański odpowiednik Fanga, kapitan Victor Foyte. Kręcił głową, gapiąc się na Fanga.

Mitchell wstał, podniósł broń przeciwnika i stanął naprzeciw Fanga. Pozostali sformowali półokrąg za jego plecami.

– Tylko Billy, Rutang i ja przeżyliśmy. Wszyscy inni nie żyją. Wiedziałeś o tym? W ogóle cię to obchodziło? Powinieneś zostać politykiem, bo żaden z ciebie żołnierz. Wszyscy jesteśmy towarzyszami broni, bez względu na to, skąd pochodzimy. Ale ty tego nie rozumiesz.

Pozostałych jedenastu podeszło do Fanga. Deszcz splukiwał skórę z ich twarzy, aż stały się czaszkami z pustymi oczodołami. Otworzyli usta i wydali z siebie krzyk. Jego dźwięk przeszył dreszczem ciało Fanga. Zamknął oczy i też krzyknął, by ich zagłuszyć: „Nie! Nie chciałem, by do tego doszło! Nie chciałem, żebyśmy byli pionkami. Byliśmy żołnierzami! I ja byłem żołnierzem!”

Mitchell znów potrząsnął Fangiem, którego oczy otworzyły się. Mitchell pokazał mu laskę ze sztyletem.

– Widzisz? Teraz jest moja. Ty nie masz już nic. – Z tymi słowy popchnął przeciwnika w błoto.

Krzywiąc się z bólu, Mitchell wyprostował się, włożył sztylet do laski i po raz ostatni spojrział na umierającego Fanga. Potem podniósł monokl ze słuchawką i ruszył w dół zbocza. Wkrótce napotkał Diaz, która nadbiegła ku niemu z karabinem w ręce.

– Kapitanie! – zawołała.

Fang wiedział, że po utracie laski jego duch nie osiągnie harmonii z duchami przodków. Broń stanowiła ucieleśnienie tej harmonii. Miała dostać się w ręce syna Fanga – dziecka, którego jeszcze nie spłodził. Powinien był mniej czasu poświęcać karierze. Powinien był znaleźć w Chinach kobietę i spłodzić z nią tego syna. Teraz nic mu już nie zostało.

– Diaz! Tutaj jestem! – zawołał Mitchell, wycierając słuchawkę z monoklem, którą zaraz wsadził sobie za ucho. Był śmiertelnie zmęczony.

Kiedy się zbliżyła, ujrzała to, co było za jego plecami.

– Niezła robota, kapitanie – powiedziała.

Mitchell pokręcił głową.

– Nie powinno było do tego dojść. Nigdy...

– Proszę mi pokazać tę rękę. – Z tymi słowami wyciągnęła nóż, by rozciąć mu ubranie.

– Nie ma na to czasu – uciał. – Nolan ją potem obejrzy. Chodźmy. – Ruszył przed siebie, ale stracił równowagę. Diaz złapała go za zdrową rękę i zarzuciła ją sobie na ramię.

– W porządku, kapitanie. Trzymam pana.

USS „Montana” (SSN-823)
Cieśnina Tajwańska
Morze Południowochińskie
kwiecień 2012

– No i po nim. Dwadzieścia sześć milionów dolarów czystej radochy – oznajmił porucznik Moch, widząc, jak kamera pokładowa predatora pokazuje ciemne fale wzburzonego morza. Potem ekran zgasł.

Kapitan Gummerson odwrócił się do monitora, na którym Moch odtwarzał materiały archiwalne.

– Pokaż mi jeszcze raz tę barkę paliwową i tego żurawia, zanim pogadam z Mitchellem.

– Już przewijam. A oto i one – oznajmił Moch, stukając palcem w ekran.

Gummerson dokładnie obejrzał obrazy w podczerwieni. Palcem wskazał jedno ze źródeł ciepła

– Co on tam robi? – spytał.

– Nie mam pojęcia – odparł Moch.

Gummerson zerknął przez ramię.

– Powiedz tym z SEAL, żeby przygotowali się na zmianę planów.

– Tak jest – odrzekł pierwszy oficer.

USSOCOM
Baza Sił Powietrznych Macdill
Tampa, Floryda
kwiecień 2012

– No dobra, co my tutaj mamy? – zagadnął generał Keating młodego oficera wywiadu, usadowionego przed panoramicznym wyświetlaczem.

– To zatoka Xiamen – objaśnił zapytany. – Pierwszy patrolowiec zmierza do falochronu. Z tego, co widzę, kret DIA wysłał ten rozkaz patrolowcom, ale tylko jeden odpłynął. Albo kapitanowi drugiego rozkazano pozostać w porcie, albo nie dostał żadnych rozkazów. Wszystko sprowadza się do tego, że pozostaje nam jeszcze jeden okręt klasy Szanghaj, z którym trzeba coś zrobić. Może go pan zobaczyć tutaj, generale. Płynie wzdłuż cieśniny między Haicangiem i wyspą Gulangyu.

– I powiadasz, że nie ma szans, żeby moje Duchy ewakuowały się, kiedy ten drań patroluje cieśninę.

– Nie byłoby to łatwe.

– A co to? – Tu Keating wskazał okno, które właśnie otworzyło się na ekranie.

– Obraz z kamery predatora. Kilka minut temu znalazł się w sieci.

Keating patrzył, jak predator przelatuje nad długim pirssem w kształcie litery L, wychodzącym z piaszczystej mierzei, na której wylądowały wcześniej Duchy.

Tyle że teraz były tam dwa duże źródła ciepła. Zbliżenie ukazało barkę paliwową przycumowaną do pirsu oraz pływającego żurawia u jego końca.

– Dopiero co przyplęły – stwierdził Keating.

– Tak, generale.

– Sprowadź nad nie satelitę. I połącz mnie z dowódcą „Montany”.

– Tak jest.

W drodze do zatoki Xiamen
Xiamen, Chiny
kwiecień 2012

Nolan wbił już igłę w ramię Mitchella, by je znieczulić. Teraz wyjmował pocisk szczypcami, podczas gdy Brown i Hume oświetlali pole operacyjne przyćmionym światłem.

Nie pierwszy raz Mitchellowi wyjmowano z ciała kulę. Oby było to po raz ostatni. Nolan wciąż napominał Diaz, by unikała wybojów na polnej drodze.

– Jeszcze trochę cierpliwości, kapitanie – powiedział Nolan. – Już go widzę.

– Jak to miło z twojej strony. Wyciągnij go wreszcie.

– Mam – oznajmił sanitariusz, unosząc do góry pocisk. – Zostawię go panu na pamiątkę.

– Obejdzie się. Pozszywaj mnie tylko.

– Pełna obsługa, kapitanie.

Na ekranie Cross-Comu pojawił się obraz z kamery Beasleya.

– Tu dowódca Bravo, kapitanie. Dojechaliśmy do utwardzonej nawierzchni. Nadal jedziemy w kierunku wybrzeża. Nie widzimy żadnych świateł.

– Przyjąłem – odparł Mitchell. – Zerknijcie na mapę. Kiedy znajdziecie się już na drodze nadmorskiej, rozglądajcie się za tym wiaduktem, o którym rozmawialiśmy. Tam się spotkamy.

– Ma pan to jak w banku, szefie.

Brown, który siedział teraz z przodu z Diaz, jak ona w goglach noktowizyjnych, wskazał na rozciągającą się przed nimi drogę.

– Jest zjazd – oznajmił.

Skręcili w lewo. Na ekranie Cross-Comu Mitchella znów rozbłysło powiadomienie o przychodzącej transmisji satelitarnej. Generał Keating poprawił na nosie okulary i odezwał się podniesionym głosem:

– Tu Keating.

– Słucham, generale.

– Nasz kret z DIA zdołał odciągnąć jeden z tych patrolowców, ale drugi wciąż tam jest i pływa sobie wzdłuż zatoki.

– Namierzy nas w sekundę.

– A „Montana” nie może do niego strzelać, bo sama ryzykowałaby namierzenie – dopowiedział generał. – Jednak informacje wywiadowcze zebrane przez predatora dają nam kilka interesujących możliwości.

– Zamieniam się w słuch, generale.

– Wywiad uważa, że patrolowce wysłał jeden z Wiosennych Tygrysów, admirał Cai. Przed rozpoczęciem operacji wzmocnił zabezpieczenie zatoki. Mielście szczęście, że te okręty nie zjawily się przed waszym desantem.

– To prawda, generale.

– Cai wydał też rozkazy dla barki paliwowej, która ma zaopatrywać okręty, oraz ściągnął żurawia do wyładunku na pirs beczek z paliwem dla dodatkowych jednostek wsparcia. Spójrz na to.

Mitchell przestudiował obraz przedstawiający długą na dwadzieścia pięć metrów samobieżną barcę, o tępym dziobie i niewielkiej sterówce. Do bomu na śródkrećciu przymocowano gruby wąż paliwowy. Zgodnie z wyświetlanymi danymi barka miała sześciuosobową załogę.

Następnie na ekranie pojawił się pływający żuraw, osadzony na przerdzewiałej barce – podobny do swojego lądowego odpowiednika. Ramię dźwigu unosiło się na wysokość niemal czterdziestu metrów. Na kabinie operatora widniała nazwa firmy po angielsku: „Wuhan

Noontide Industries, Inc.” Żuraw obsługiwali operator i jego pomocnik.

– Słuchaj, Mitchell, właśnie skończyłem pogawędkę z kapitanem Gummersonem. Skoro macie tylu rannych i dwóch nieboszczyków z CIA, Gummerson zgodził się wynurzyć w ostatniej chwili, by zabrać was na pokład, ale nie może tego zrobić, zanim nie wypłyniecie z cieśniny.

– Czyli znajdujemy się w punkcie wyjścia.

– Nie do końca. Teraz słuchaj uważnie. Mamy wiele spraw do omówienia.

Wiadukt nad drogą nadbrzeżną Xiamen, Chiny kwiecień 2012

Choć formalnie Ramirez był zastępcą dowódcy sekcji, dojmujący ból wskutek rany postrzałowej tak utrudniał mu podejmowanie decyzji, że oddał dowodzenie Beasleyowi. Smith, sam ranny, starannie opatrzył Ramireza. Założył mu prowizoryczny temblak, jednak Ramirez odmówił przyjęcia leków przeciwbólowych. Chciał jasno myśleć. Może kiedy przyjedzie Nolan, pozwoli mu wykonać znieczulenie miejscowe.

Ramirez i Beasley pozostali w środku pracującego na jałowym biegu samochodu terenowego. Tymczasem Jenkins ze Smithem zeszli do znajdujących się pięćdziesiąt metrów dalej doków z rampą załadunkową, żeby znaleźć jakąś łódkę.

Cały Haicang, aż do mostu Xiamen, wciąż pogrążony był w ciemnościach. Jednak leżąca po drugiej stronie zatoki wyspa Xiamen była niepokojąco jasno oświetlona.

Ramirez zerknął na zegarek, po czym wywołał na swoim wyświetlaczu HUD mapę taktyczną. Zrobił zbliżenie na samochód Mitchella.

– Powinni się tu zjawić najpóźniej o czternastej dziesiąt – oznajmił.

– A słońce wschodzi o której? O piątej dwadzieścia cztery? – zastanawiał się na głos sierżant. – Musimy się zbierać.

– Ano tak.

– Wiesz co, Joey? Nie podoba mi się ten plan.

– Mnie też nie.

Z tyłu pojawiły się światła samochodu. Ramirez odwrócił się na pięcie.

– Kapitan przyjechał wcześniej? Przecież dopiero co widziałem go na...

– Nie – mruknął Beasley. – To nie on. Padnij!

Beasley, zajmujący fotel kierowcy, zgasił silnik i opuścił szybę. W dłoni ścisnął pistolet.

Ramirez chwycił za własną broń i nacisnął przycisk otwierania okna. Światła się zbliżyły.

– Dowódca Bravo do dowódcy Duchów.

– Nadawaj.

– Szefie, chyba mamy problem.

Jenkins znalazł w kieszeni Buddy kluczyk od stacyjki kutra rybackiego. Kiedy już znaleźli się przy łodzi, wraz ze Smithem wspiął się na pokład. Przygotował się do uruchomienia silnika. Beasley rozkazał im siedzieć cicho, aż da sygnał.

– Ta krypa to kupa szmelcu – orzekł Jenkins. – Utoniemy, nim nas uratują.

– Ta woda to istny ściek.

– A co będzie, jeśli silnik nie odpali?

– Nie zapieszaj.

Kątem oka Jenkins dostrzegł rozbłysk światła.

– Może już zapeszyłem – powiedział.

– To jakiś wóz terenowy – oznajmił Smith. – Wygląda na wojskowy!

– Mart, tu Bo – wywołał Jenkins. – Co się tam u was dzieje?

Istniało spore prawdopodobieństwo, że ów samochód należał do wojska. W ramach swoich szeroko zakrojonych planów Wiosenne Tygrysy mogły rozkazać, by wysłano przed świtem patrol. Ramirez wstrzymał oddech. Terenówka zjechała na pobocze i zatrzymała się za ich samochodem.

Ujrzeni ją w całej okazałości w bocznym lusterku. Zielony samochód, nieco podobny do brave'a warriora, ale z płócienną plandeką i dużymi oknami. Z wozu wysiadło dwóch żołnierzy. Podeszli do nich z bronią gotową do strzału.

Ramirez zerknął na wpatrującego się w boczne lusterko Beasleya.

Naraz wiadukt załało światło. Żołnierze obrócili się w stronę zjeżdżającej z drogi wojskowej ciężarówki, która zatrzymała się tuż za nimi.

– Teraz, Joey! – szepnął Beasley.

Jednocześnie wychylili się przez okna i zastrzelili obu żołnierzy. Kiedy przeciwnicy padali na ziemię, z drugiego wozu wyłonił się trzeci żołnierz.

Zanim Ramirez z Beasleyem zdążyli otworzyć do niego ogień, nagle coś rozerwało jego klatkę piersiową. Martwy, osunął się za otwarte drzwi.

Ramirez dostrzegł jakiś ruch na fotelu pasażera. Kolejny przeciwnik.

Kiedy sierżant celował w niego, zza samochodu dobiegł stłumiony odgłos wystrzału. Pocisk przebił się przez plandekę, a przednia szyba spłynęła krwią.

– Sekcja Bravo, tu Diaz. Czysto. Idziemy do was.

– Przyjąłem – odparł Beasley.

Ramirez opadł na fotel. Kilka razy odetchnął głęboko.

– Mogła nam powiedzieć, że już dojechali! – mruknął.

Beasley zmarszczył brwi.

– To do niej podobne – odparł. Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

– Tak właśnie wygląda nasza cicha ewakuacja – podsumował Ramirez, dołączając do kolegi.

Skrzywili się na widok martwych żołnierzy. To, co zostało z czwartego, leżało zmasakrowane w środku drugiego samochodu.

– Stracili kontakt ze swoją jednostką – stwierdził Ramirez.

– Ale tam mogą już wiedzieć o nas – burknął Beasley. – Pomóż mi z tymi ciałami – dodał.

– Mogę ci podać pomocną dłoń. Ale tylko jedną – odparł Ramirez, gestykulując temblakiem.

Pirs przy piaszczystej mierzei zatoka Xiamen, Chiny kwiecień 2012

„Montana” prześlizgnęła się pod patrolowcem i wpłynęła w cieśninę między Haicangiem a wyspą Gulangyu. Popłynęła łukiem na północny wschód, opływając mierzeję, gdzie bosmani SEAL Tanner i Phillips wyszli z luku i popłynęli do brzegu.

Tanner uznał, że najwyższy czas, by z jasnowłosym, piegowatym kolegą zaangażowali się w ewakuację sekcji Ghost Recon. Kiedy kapitan przedstawił im szczegóły misji, Tanner powiedział:

– Zastanawiam się, czemu Mitchell i jego zespół nie wstąpili do marynarki?

Teraz przebiegli przez plażę i zapadli w las. Tam, klucząc między drzewami do utraty tchu, zbliżyli się do pirsu. Wtedy właśnie Gummerson wywołał ich, by oznajmić, że sekcja ma kłopoty w dokach. Czterech żołnierzy nie żyło. Nadciągali kolejni. Duchy będą musieli teraz zapłynąć jakiś kilometr wzdłuż wybrzeża, wysiąść na kolejnym pirsie i odczekać, kiedy za ich plecami rozpęta się piekło.

Tak więc Tanner i Phillips mieli jeszcze mniej czasu, by zrobić swoje. Używając noktowizora, Tanner obejrzał sobie dokładnie prom i żurawia. Operator opuszczał właśnie na pirs paletę z dwustupięćdziesięciolitrowymi beczkami, czemu przyglądało się trzech ludzi z załogi barki.

Tanner dał znak Phillipsowi.

Ruszyli.

Kuter rybacki zatoka Xiamen, Chiny kwiecień 2012

Mitchell rozkazał Jenkinsowi i Beasleyowi, aby zawlekli ciało Buddy na kuter rybacki i położyli przy relingu. Obok niego spoczął Skaut. DIA bardzo zależało na zabraniu ciał. Nie

można ich było zostawić w Chinach, gdzie stałyby się dowodami demaskującymi większą siatkę wywiadowczą, obejmującą także szpiegów pracujących dla NSA.

Mitchell czekał na rufie, śledząc na swoim wyświetlaczu HUD postępy komandosów z SEAL. Jenkins tymczasem stanął za sterem. Z terkotem silnika wolniutko odpłynęli od nabrzeża. Wszyscy na pokładzie przyczaili się z bronią w pogotowiu. Mroczne fale z pluskiem uderzały w kadłub. Spieniony kilwater szybko zniknął za rufą.

Jakiś kilometr dalej na południowy zachód, gdzie pirs wychodził z piaszczystej mierzei, Mitchell dostrzegł sylwetkę żurawia.

– Długo to nie trwało – stwierdziła Diaz, wskazując na brzeg.

Na drodze pojawiła się para świateł – kolejna wojskowa ciężarówka. Wóz zjechał do doków.

– Jenkins, dodaj trochę gazu – popędził go Mitchell.

– Robi się, szefie.

– Joey, jak sobie radzisz?! – spytał Mitchell, przekrzykując coraz głośniejsze zawodzenie silnika.

– Alex dał mi zastrzyk – odparł Ramirez. – Ramię mi zdrętwiało.

– Smok nie zaatakował Tajwanu, ale niezłe nas poturbował, co? – zagadnął Mitchell.

– Tak, kapitanie. Ale warto było.

– I ja tak uważam – dodała Diaz. – I to z różnych powodów – Tu spojrzała znacząco na Mitchella.

– Kapitanie, widzę patrolowiec – oznajmił Jenkins. – On też chyba nas widzi.

– Steruj do tego pirsu! – zawołał Mitchell.

Wywołał na ekranie HUD-a mapę taktyczną i obejrzał sobie okręt. Na tle ciemnej sylwetki migały czerwone punkciki.

Na końcu pirsu zamigotało światło. Mitchell zrobił zbliżenie tego obszaru.

– Ogień na pirsie, kapitanie – zameldował w tym samym momencie Jenkins.

– Poczekamy. Zobaczymy, czy złapią przynętę.

Pirs przy piaszczystej mierzei zatoka Xiamen, Chiny kwiecień 2012

Tanner i Phillips za pomocą niewielkiej ilości C-4 wysadzili w powietrze jedną z palet z paliwem na pirsie, po czym skoczyli w mroczną toń. Tanner popłynął w kierunku żurawia, podczas gdy Phillips skierował się do barki paliwowej.

Patrolowiec już ruszył, by zbadać przyczynę pożaru.

Tanner opłynął platformę żurawia, tak by znajdował się on między nim a nadpływającym patrolowcem. Operator dźwigu wraz z pomocnikiem podbiegli do burty barki, aby mieć

lepszy widok na pożar. Dzięki temu Tanner mógł wspiąć się na platformę i podbiec do kabiny żurawia. Umieścił tam kolejny ładunek C-4, po czym dał nura w wodę i szybko popłynął z powrotem w kierunku pirsu.

Minutę później wypłynął przy jednym z filarów, by zaczerpnąć tchu.

Odczekał kolejne trzydzieści sekund. Już zaczął się denerwować, gdy naraz kilka metrów za nim z wody wynurzyła się głowa Phillipsa.

– Wszystko gotowe – oznajmił.

Razem popłynęli wzdłuż pirsu. Dotarli do brzegu i ukryli się na nim. Przez ten czas patrolowiec zbliżył się do żurawia i barki.

– Dowódco Duchów, tu wsparcie SEAL. Szykujcie się, by oddać honory Chińczykowi, który wymyślił proch strzelecki!

Tanner wiedział, że nie powinien popisywać się taką elokwencją przez radio, ale miał to gdzieś. Zerknął na Phillipsa, który przyglądał się przez lornetkę patrolowcowi.

– Przybili do barki – oznajmił Phillips.

– Doskonale.

– Nie ruszać się! – krzyknął ktoś po chińsku.

Tanner popatrzył w górę – prosto w oczy jakiegoś faceta, zapewne członka załogi barki paliwowej, który celował w nich z pistoletu. Skąd się wziął, do ciężkiej cholery? Jakim cudem udało mu się podejść tak cicho?

– No dobra, pójdziemy z tobą – odparł Tanner, który znał trochę język chiński.

– Nie, nie ruszać się! – Facet zaczął wołać do kamratów na pokładzie barki, że złapał ludzi, którzy próbują ich okraść. W ciemności nie był w stanie stwierdzić, że są Amerykanami – zwłaszcza że mieli na sobie kombinezony nurkowe z kapturami.

Tanner wymienił spojrzenia z Phillipsem.

**Kuter rybacki
zatoka Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Mitchell ze zdumieniem odkrył, że dwóm komandosom z SEAL towarzyszy na końcu pirsu trzeci osobnik. Próby wywołania bosmana SEAL Tannera pozostały bez odpowiedzi.

Połączył się z siecią i zameldował o sytuacji.

– Mitchell, zaufaj ludziom z SEAL – odparł generał Keating. – Wiedzą, co robią. Spadaj stamtąd! Szybko!

– Jenkins, wyduś z tego silnika wszystko, co mu fabryka dała! – rozkazał Mitchell.

– Ale kapitanie, oni nie zdążyli jeszcze...

– Wiem. Rób, co mówię!

– Kapitanie! – zawołała Diaz, patrząc przez własny noktowizor – patrolowiec zwalnia!

Spuścili ponton z sześcioma ludźmi. Zmierzają do pirsu. Na co, do cholery, czekają ci z SEAL?

– Jest tam trzeci gość. Nie wiem, kto to taki. Ale nam kończy się czas.

– Mitchell, tu Keating! – krzyknął generał. – Pamiętasz tych żołnierzy, których zdjąłeś? Mamy o nich nowe dane wywiadowcze. Ci ludzie byli częścią planu obronnego admirała Cai. Mam też więcej złych wieści. Wygląda na to, że mają w powietrzu śmigłowiec policyjny R44. Ale to nie koniec. Przechwyciliśmy ich rozmowę. Lecą nim ludzie z sił specjalnych. Cai wysłał swoje śmigłowce szturmowe na północ w ramach „Ataku Smoka”, więc musieli zarekwirować maszynę. To nie jacyś zwykli gliniarze, Mitchell. To zaprawieni w bojach chińscy komandosi. Szacowany czas przybycia do waszej lokalizacji: dwie minuty.

ROZDZIAŁ 33

Pirs przy piaszczystej mierzei zatoka Xiamen, Chiny kwiecień 2012

Bosman SEAL Tanner nie mógł pozwolić, by jakiś chłystek z byle spluwą zepsuł mu wieczór. Wzrok Phillipsa mówił to samo.

Jak na komendę nacisnęli spusty zdalnych detonatorów i dali susa pod pirs, poza zasięg ognia marynarza.

Facet wystrzelił. Pocisk odbił się rykoszetem od skał wraz z pierwszą detonacją. Huk okazał się tak głośny, że nawet Tanner, weteran wysadzania w powietrze wszelakich rzeczy, był tym zaskoczony. Fala uderzeniowa rzuciła ich na skały.

To eksplodowało paliwo.

Tanner i Phillips rzucili się pod pomost. Wskoczyli z drugiej strony, gdzie marynarz stał naprzeciw ognia rozświetlającą całą mierzeję.

Tanner natychmiast go zastrzelił i wraz z partnerem popędził do lasu. Na plecach czuli ciepło płomieni.

Po kilkudziesięciu metrach Tanner obejrzał się przez ramię. Ujrzał, jak kilku marynarzy wyskakuje z patrołowca i płynie do brzegu.

Tanner przyspieszył, by dogonić Phillipsa, który zdążył już zająć nową pozycję.

Kuter rybacki zatoka Xiamen, Chiny kwiecień 2012

Mitchell osłupiał. Wstał z trudem, by móc lepiej się przyjrzeć. Dwustupięćdziesięciolitrowe stalowe beczki eksplodowały, wyrzucając pozostałe w powietrze w piekielnej fontannie pomarańczowych i czerwonych strumieni płonącego oleju napędowego. Przez ścianę czarnego dymu widać było dziesiątki mniejszych eksplozji, a smród paliwa i rozgrzanego metalu dotarł aż do nich.

Uwaga bosmana SEAL Tannera na temat prochu była słuszna, ale Chińczycy wynaleźli również fajerwerki. Ten pokaz nie mógł się równać z niczym, co Mitchell widział do tej pory.

W końcu barka też wyleciała w powietrze. Najpierw pojawiło się intensywne, niemal białe światło, po którym nastąpił odbity echem od brzegu huk, na dźwięk którego dreszcz przeszedł wszystkich na pokładzie.

Tysiące płonących kawałków wystrzeliło wysoko w powietrze niczym rój rakiet, opadło do ciemnej wody i natychmiast zgasło wśród syczących obłoczków pary. Z płomieni nagle wyłonił się dziób barki. Uniósł się i zaczął tonąć. Reszta barki albo została zniszczona, albo po prostu nie było jej widać zza szalejących płomieni.

Załoga patrolowca, który płynął w kierunku barki, miotała się po pokładzie. Okręt zaczął robić zwrot przez bakburtę, by odpłynąć z miejsca katastrofy.

Wtedy jednak kolejna eksplozja rozerwała kabinę żurawia. Odłamki metalu cięży powietrze niczym spadające gwiazdy, wbijając się w kadłub i sterownię patrolowca. Smoczy oddech ognia omiół pokład. Oszołomieni, palący się ludzie wyskakowali za burtę.

Tanner po mistrzowsku rozmieścił ładunki C-4. Gdy płonące szczątki wciąż bombardowały patrolowca, potężny bom żurawia oderwał się od wieży i zaczął opadać powoli z piskiem i jękiem – przeszywającym, złowieszczym.

To opóźnienie w czasie sprawiło, że ramię dźwigu trafiło w przedni narożnik sterowni patrolowca, miażdżąc ją niczym młot kowalski bochenek chleba.

Blacha darła się wśród pióropuszy iskier i języków ognia smagających pokład, ale dwa wysokoprężne silniki jednostki nie przestawały pracować. Okręt ciągnął za sobą bom dźwigu, wyginając go. Z powodu dodatkowego balastu jednostka zanurzała się coraz głębiej. Naraz dziób opadł całkowicie, a woda zaczęła wlewać się do stanowisk dział przeciwlotniczych.

– Kapitanie, znam się na fajerwerkach! – zawołał Hume – Zafundowano nam niezły pokaz!

Ledwie Hume to powiedział, składowana w stalowych szafkach na rufie patrolowca amunicja zaczęła wybuchać, rozświetlając pogruchotany okręt niczym scenę koncertu rockowego.

Wybuchy kolejnych beczek na pirsie, ryk płomieni na wciąż jeszcze płonącej barce i zgrzyt obalonego żurawia wraz z hukiem eksplodującej na patrolowcu amunicji połączyły się w jedną kakofonię zagłady. Wraz z towarzyszącymi im rozbłyskami tworzyły apokaliptyczny znak nawigacyjny, świetnie widziany i słyszany w promieniu wielu kilometrów, a zwłaszcza z pozbawionego prądu wybrzeża.

Oraz z powietrza.

– Tam jest! – wykrzyknęła Diaz, gdy przepływali naprzeciwko płonącego pirsu. Wycelowała swój dodatkowy karabin, Cx4 Storm SD.

– Widzę go – odparł Mitchell.

Ze śmigłowca wymontowano drzwi, by strzelcy mogli swobodnie wychylać się po obu

stronach maszyny. Światło szperacza kładło się lśniąca plamą na powierzchni wody. W jego smudze kłębił się gęsty dym. Mitchell zmrużył oczy.

Nagle dwóch żołnierzy w hełmach uniosło karabiny.

– Ognia! – rozkazał Mitchell, wypuszczając pierwszą serię ze swojego MR-C. Karabin Diaz przemówił sekundę później.

Pilot zareagował natychmiast. Skręcił ostro w lewo i wzniósł się wyżej. Iskrzące pociski przez kilka sekund rykoszetowały od podwozia śmigłowca, dopóki maszyna nie odleciała poza zasięg ognia.

– Nie żałować amunicji! – zawołał Mitchell, widząc, że śmigłowiec był o wiele szybszy, niż myśleli.

Jenkins, wciąż przy kole sterowym, skręcił w lewo. Kuter przepłynął obok kilku długich pomostów, przy których stały zacumowane stare sampany i dżonki ze zwiniętymi purpurowymi żaglami. Dalej ujrzeli trzy nowoczesne promy. Jenkins wykonał jeszcze jeden skręt. Teraz kierował się prosto na cieśninę między Haicangiem a wyspą Gulangu.

– Nie wraca – zauważył Smith, opuszczając karabin. – Co do diabła?

Wyświetlacz HUD Mitchella ożył obrazem z transmisji satelitarnej.

– Lepiej się pośpiesz – przestrzegł go generał Keating. – Pamiętaj, że „Montana” nie wynurzy się, dopóki nie pokonacie tej cieśniny. Nie wypłynie też, dopóki nie zniknie ten śmigłowiec. – Generał odwrócił się od kamery. – O co chodzi? Poczekaj chwilę, Mitchell.

– Nie da rady trochę szybciej? – zapytał Beasley.

Jenkins pokręcił głową.

Na wyświetlaczu HUD ponownie pojawił się Keating.

– Dobra, Mitchell. Masz do załatwienia nie jeden, lecz dwa śmigłowce.

Ta nowa informacja była już Mitchellowi zbędna. Drugi śmigłowiec nadleciał tuż za pierwszym. Oba zbliżały się do ich łodzi z opuszczonymi dziobami. Strzelcy przygotowywali się do ostrzału.

Jeśli Duchy to przeżyją, nauczą się ważnej rzeczy: nigdy nie wystawiać starego kutra do walki z helikopterem.

Mitchell zaklął.

– Sekcja Alpha, cel: lewy śmigłowiec! – krzyknął. – Bravo, bierzecie prawy. Diaz, zabieraj się do pilotów. Smith! Wypuść drona!

Smith pochylił się nad pokładem i zrzucił z siebie plecak. Wydobył MAV4mp Cypher i z rozmachem rzucił drona za burtę. Pozostali otworzyli ogień do śmigłowców.

Mitchell przejął sterowanie dronem za pomocą bezprzewodowego kontrolera i skierował go prosto na śmigłowiec po prawej.

– Nie przerywać ognia! – rozkazał, gdy oba helikoptery zanurkowały, by ich ostrzelać.

Skierował kamerę drona na widok z przodu, wprowadził UAV-a w lot koszący, po czym nakierował robota na jednego ze strzelców wychylonych przez otwarte drzwi.

Strzelec podniósł wzrok i zmarszczył brwi. Mitchell dodał gazu i walnął go dronem prosto w głowę, po czym skierował Cyphera do wnętrza śmigłowca.

– *Zaijian* – wymamrotał Mitchell.

Kciukiem nacisnął guzik.

Dron eksplodował wewnątrz helikoptera, czemu towarzyszył niewielki błysk i obłoczek dymu. Pomimo relatywnie niedużych rozmiarów, ładunek odpowiedzialny za samozniszczenie okazał się wystarczająco silny, by zabić obu strzelców i oślepić pilota, który nagle pociągnął za dźwignię i wykonał niekontrolowany skręt.

– Cały ogień na niego! – rozkazał Mitchell.

Nie zauważył jednak, że drugi śmigłowiec opadł niczym jastrząb na swoją zdobycz, szybko zbliżając się od bakburty. Strzelec otworzył ogień, a Beasley i Smith odpowiedzieli mu ogniem ze swoich karabinów MR-C. Diaz strzelała, celując w okna kabiny.

Ramirez, trzymając jedną ręką MK14, wymierzył w dymiący śmigłowiec. Seria pocisków z automatu wgrzyła się w szkło i metal.

– Joey! – wrzasnął Smith.

Ramirez dostał w lewy bok, w okolice biodra. Pocisk targnął nim do tyłu i przerzucił nad burtą do morza.

– Straciliśmy Ramireza! – zawołał Beasley, z trudem przekrzykując hałas śmigłowca. Strzelcy na nim byli już martwi, a pilot skręcał ostro w prawo.

**Piaszczysta mierzeja
zatoka Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Tanner i Phillips leżeli na brzuchu opodal ostatniej kępki drzew, za którymi rozpościerała się długa piaszczysta plaża.

Sześciu marynarzy z chińskiego patrolowca, którzy opuścili ponton, musieli albo ich zauważyć, albo domyślić się, że intruzi uciekają przez mierzeję. Chińczycy, uzbrojeni w pistolety i karabiny, zeszli bowiem na brzeg i przeczesywali las.

Tanner domyślał się, co teraz czuli. Ich ukochany okręt wyleciał w powietrze. Widzieli śmierć swoich towarzyszy. Dlatego też niewątpliwie pałali żądzą zemsty.

Tanner żałował, że musi stawić im czoło, ale on i Phillips nie mieli wyboru. Najlepiej byłoby włożyć aparaty tlenowe i po prostu ukryć się w wodzie, gdy ci ludzie będą przeczesywać mierzeję. Jeśli jednak Mitchell zamierzał zawrócić i przyplłynąć tu, aby ich zabrać, to ci chińscy marynarze musieli zginąć. W przeciwnym wypadku Mitchella czekało jeszcze jedno starcie.

Oczywiście, jeśli wierzyć monitorowanym przez Tannera przekazom radiowym, istniało spore prawdopodobieństwo, że Mitchellowi nie uda się i będzie musiał zostawić jęgo i

Phillipsa.

W takim wypadku Tanner mógł jedynie liczyć na to, że zabiją chińskich marynarzy, założą swój sprzęt i popłyną przed siebie, aż do wyczerpania tlenu.

Dowództwo nie chce zostawić żadnych śladów zaangażowania Amerykanów. Jednak to kapitan Gummerson ostatecznie zadecyduje, czy warto ryzykować utratę wartego wiele milionów dolarów okrętu podwodnego.

Phillips uniósł głowę, po czym dał Tannerowi sygnał ręką: ruch z przodu.

Tanner zeszywniał, gdy dwóch chińskich marynarzy pojawiło się ledwie trzy drzewa dalej.

Tanner dał Phillipsowi kolejny znak ręką.

Phillips powoli skinął głową i uniósł pistolet. Tanner wziął głęboki wdech, przetoczył się nieco w bok, wycelował w marynarza po lewej i wystrzelił.

**Kuter rybacki
zatoka Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

– Jenkins, zawracaj! – krzyknął Mitchell. – Wracamy po Ramireza!

Nawet gdy Jenkins ostro zakręcił kołem, posyłając wszystkich na reling, Beasley i Smith nie przestawali strzelać do dymiącego śmigłowca, którego pilot wciąż próbował odzyskać panowanie nad maszyną.

Naraz z tylnego rotora śmigłowca zaczęła wydobywać się nowa smuga dymu. Na ten widok Beasley i Smith krzyknęli radośnie.

– Łapać go! – zawołał Mitchell, gdy podpłynęli bliżej Ramireza.

Jenkins puścił koło sterowe i wskoczył do wody, a Mitchell zamknął przepustnicę.

Tymczasem płonący śmigłowiec zaczął się obracać i kołysać, oddalając się od łodzi. Hume zaklął, żałując, że nie ma ze sobą rakiety, by wykończyć helikopter. Nie miało to jednak znaczenia. Śmigłowiec przechylił się ostro na bok. Główny rotor obracał się teraz prostopadle do wody. Mitchell podpłynął kutrem do Jenkinsa i Ramireza.

Rotory śmigłowca zaczęły siec powierzchnię wody. Nagle maszyna okręciła się raz jeszcze i uderzyła w fale. Łopaty wirnika połamały się niczym suche gałązki, a kabina uderzyła mocno o wodę, wzburzając morską pianę.

– Mamy go, kapitanie! – krzyknął Smith.

Drugi śmigłowiec z samotnym strzelcem pokładowym zawrócił, by zrobić jeszcze jedną rundę. Pilot miał czas, by naprowadzić strzelca na cel. Światło ze szperacza omiatało kilwater kutra. W wodzie było dwóch ludzi.

– Jenkins, szybciej! – ryknął Mitchell.

ROZDZIAŁ 34

Pirs przy piaszczystej mierzei port Xiamen, Chiny kwiecień 2012

Gdy tylko drugi marynarz padł z kulą w głowie, bosman SEAL Tanner ze swoim partnerem ukryli się znów w lesie. Zmierzali teraz na zachód, z zamiarem zatoczenia koła i zajścia pozostałych od tyłu.

Tanner i Phillips w jednej ręce trzymali pistolety, w drugiej zaś noże SOG SEAL o siedemnaście centymetrowych ostrzach lakierowanych proszkowo w celu wyeliminowania odblasków.

Popędzili na skraj małej polanki i przykucnęli w zaroślach.

Tuż przed nimi jeden z marynarzy krzyknął do drugiego, zdradzając tym swoją pozycję. To był jego ostatni błąd w życiu.

Tanner i Phillips ruszyli, by ich zabić. Instykt drapieżnika świetnie się sprawdzał w tym lesie.

Kuter rybacki port Xiamen, Chiny kwiecień 2012

Diaz siedziała po turecku na pokładzie. Oparta łokciem o górną krawędź burty, przyglądała się pilotowi zbliżającego się śmigłowca. Helikopter z rykiem zszedł pod kątem czterdziestu pięciu stopni, zrównał się z ich rufą i światłem szperacza omiółł pokład.

Strzelec ze śmigłowca otworzył ogień. Jednak Brown, mimo ran głowy, bezustannie ostrzeliwał śmigłowca z lekkiego karabinu maszynowego. Szybko dał poprawkę na cel i strzelec opadł bezwładnie tuż po tym, jak wystrzelił serię. Pociski przeszły pokład, o długość ramienia chybiając Diaz.

Brown spojrzał na nią.

– Masz czysty strzał, Alicio! Zdejmij go!

Przynajmniej tyle mogła zrobić dla mężczyzny, którego omal nie zabiła.

Diaz zamarła, odizolowała się od całego hałasu, zamieszania i wibracji na łodzi. Zapomniała o ranach, zeszywniałych stawach i siniakach, a nawet o pulsującym blasku szperacza.

Carlos i Tomas zachowywali się dziwnie cicho, jak gdyby w końcu przekonała ich, że jest im równa. A może oni też zastanawiali się w ciszy, czy potrafi tego dokonać.

Siatka celownika znalazła się na miejscu. Diaz wystrzeliła. Nacisnęła spust po raz drugi, nim zdążyła o tym pomyśleć.

Oba pociski przebiły szybę kabiny i trafiły pilota kolejno w klatkę piersiową i ramię. Ciemna krew pokryła boczne okno, gdy mężczyzna najpierw został odrzucony do tyłu, a potem bezwładnie opadł w przód.

Beasley i Mitchell wciągnęli do łodzi krwawiącego Ramireza. Jenkins sam wdrapał się na pokład. Tymczasem śmigłowiec wciąż się obniżał.

– O mój Boże! – szepnęła Diaz, opuszczając lufę, gdy śmigłowiec przyspieszył przy ryku silnika i rotorów.

Ogłuszający hałas przykuł uwagę wszystkich. Mitchell wypowiedział jej myśli na głos.

– Walnie w kuter! Wszyscy za burtę!

**Pirs przy piaszczystej mierzei
port Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Tanner schował pistolet do kabury.

– Tutaj! – krzyknął po chińsku. Marynarz odwrócił się i ruszył w jego kierunku. Kiedy mijał drzewo, za którym czaił się Tanner, komandos zaszedł go od tyłu, jedną ręką zasłonił chłopakowi usta, a drugą wbił mu nóż w serce.

Tanner wiedział, że marynarz nie umrze natychmiast. Nie zdejmując dłoni z jego ust, wyciągnął ostrze. Odepchnął marynarza i zadał drugi cios – w rdzeń kręgowy. To był już koniec.

Ostrożnie ułożył ciało na ziemi i wyprostował się, by złapać oddech i wytrzeć ostrze noża o udo.

Phillips, który skierował się na prawo, by zdjąć partnera denata, zameldował, że jego cel nie żyje. Łączność urwała się wraz z dźwiękiem wystrzału.

– Phillips?

Brak odpowiedzi. Tanner zaklął i rzucił się w tamtą stronę.

Kuter rybacki

port Xiamen, Chiny
kwiecień 2012

Ledwie wciągnęli Ramireza na pokład kutra, Mitchell chwycił go i pociągnął ze sobą za burzę.

Objął go ramieniem za szyję i płynął co sił.

– Joey, wstrzymaj oddech! – krzyknął, kiedy rotory śmigłowca z koszmarnym traskiem wbiły się w kuter.

Nie puszczać Ramireza, Mitchell zanurkował w chwili, gdy kula ognia przemknęła ponad wodą, rozświetlając fale surrealistycznym migoczącym światłem. Przypominało płomień kominka zniekształcony przez wypaczone szkło.

Na chwilę czas zwolnił. Zmysły Mitchella wyłączyły się, lecz stłumione krzyki jego towarzyszy i ogłuszające dudnienie łamiących się łopat wirnika sprowadziły go na ziemię i nakazały mu zejść jeszcze głębiej.

Zaczął myśleć o pozostałych. Co się z nimi teraz dzieje? W rannym ramieniu czuł rwący ból, a nogi paliły go ze zmęczenia.

Ramirez ledwie się poruszał. Nie mógł już dłużej wstrzymać oddechu. Mitchell mocniej zamachał nogami, by wypłynąć na powierzchnię.

Wynurzyli się kilka metrów za płonąca plamą oleju napędowego, który wyciekł z helikoptera i tonącej łodzi.

Mitchell wciąż miał słuchawkę z monoklem na głowie. Choć urządzenie było wodoodporne, słyszał tylko szum.

Z prawej dostrzegł głowę Diaz.

– Alicia?

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Widzę Marcusa, Johna i Aleksa. Są cali.

Coś uderzyło Mitchella w głowę. Odwrócił się i ujrzał ciało Skauta, unoszące się na powierzchni wody twarzą w dół. Kilka metrów dalej na wznak leżał Budda.

Mitchell miał ochotę pięściami wygrażać niebiosom. Byli tak cholernie blisko, gdy spotkała ich całkowita porażka. Stany Zjednoczone zostaną obarczone odpowiedzialnością za operację „Widmo Wojny”, ponieważ jemu i jego Duchom nie udało się ewakuować. Zostaną złapani, torturowani, będą pokazywani w mediach, a resztę życia spędzą, gnijąc w jakimś chińskim więzieniu. Trudno było pozbyć się tych myśli, unosząc się na wodzie wśród płam ognia.

Beasley i Smith płynęli w jego kierunku, uczeplieni długiego kawałka kadłuba łodzi. Beasley chwycił wciąż przytomnego, lecz nieruchomego Ramireza i wciągnął go na górę.

– Nic nie mam na Cross-Comie – stwierdził Mitchell.

– Ani ja – oznajmił Beasley.

**Pirs przy piaszczystej mierzei
port Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Tanner odpowiedział ogniem, trafiając w pień drzewa. Jeden z marynarzy, ukryty za drzewem, nie przestawał strzelać. Drugi leżał na ziemi i jęczał, zraniony w udo.

Phillips postrzelił go, ale wcześniej sam dostał w szyję i w klatkę piersiową. Teraz leżał na plecach, z trudem oddychał.

Tanner przyczołgał się do niego. Zwrócił uwagę na pomarańczowy błysk w porcie. Wydobył lornetkę. Na widok dryfującego wraku z wrażenia zaparło mu dech. Z mrocznych głębin wyrastała ściana ognia, otoczona unoszącymi się na powierzchni Duchami.

Tanner zebrał się w sobie.

– Zrywamy się stąd, stary. Czas na plan B.

– Jestem gotów – skinął głową Phillips.

W ziemię wbił się pocisk, rozpryskując błoto w oczy Tannera, który przetoczył się i odpowiedział ogniem. Po drugim strzale usłyszał jęk.

Wstał, uniósł Phillipsa do pozycji siedzącej i nadludzką siłą wzmocioną potężnym zastrzykiem adrenaliny zarzucił go sobie na ramię. Odwrócił się i wolnym krokiem ruszył z powrotem w kierunku pirsu.

Zrobił ledwie dziesięć kroków, gdy uświadomił sobie, że zastrzelili tylko pięciu marynarzy. Szósty pozostał gdzieś w lesie. Gdy sobie to uświadomił, wzdłuż jego kręgosłupa przebiegł dreszcz.

**USS „Montana” (SSN-823)
Cieśnina Tajwańska
Morze Południowochińskie
kwiecień 2012**

Gummerson stał w bojowym centrum dowodzenia, wzdrygając się przy nadejściu każdej nowej informacji.

Podszedł do niego pierwszy oficer. Minę miał nietęgą.

– Panie kapitanie, bosman Tanner donosi, że bosman Phillips jest poważnie ranny. Mówi też, że stracił kontakt z sekcją Ghost Recon. Właśnie dostaliśmy przekaz filmowy z portu. Oba śmigłowce zostały zestrzelone, ale Duchy są w wodzie wśród płonącego paliwa. Stracili łódź.

Gummerson zmarszczył brwi. Spojrzał na zdjęcia i mapy na ekranie.

– Nie możemy ryzykować wynurzenia tutaj.

– Rozumiem, ale jak oni wydostaną się z portu?

– Chcę porozmawiać z bosmanem Tannerem. Założę się, że on już ma jakiś plan.

**Wrak kutra rybackiego
port Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Mitchell razem z Diaz i Smithem uchwycili się kawałka kadłuba. Wszyscy unosili się na powierzchni, kaszląc i plując słoną wodą. Ogień wokół zaczął przygasać. Beasley upewnił się, że ciała agentów CIA są przywiązane do innej deski na wypadek, gdyby zdarzył się cud i kapitan Gummerson postanowił zaryzykować wprowadzenie okrętu do portu i wynurzenie się.

Ucieczka na zachód skradzioną riksą wydawała się teraz całkiem realną opcją, a nie jakąś bajką.

W porządku. Zespół oczekiwał od niego rozkazu, może ostatniego jako dowódcy Ghost Recon. Kaze im płynąć do pirsów Haicangu. Do wyspy Xiamen na wschodzie było dwa razy dalej. Nie mieli wyboru.

– Słuchajcie...-powiedział.

– Kapitanie, proszę zaczekać – powstrzymała go Diaz, patrząc przez lornetkę – od strony mierzei coś tu płynie. Wygląda na ponton z patrolowca. Jest w niej jeden człowiek.

– Kto to?

– Nie widzę jeszcze dokładnie.

– Beasley! Jenkins! Celujcie w łódź. Przygotujcie się do otwarcia ognia.

– Tak jest – odparł Beasley, próbując ustawić karabin na fragmencie kadłuba.

– Diaz, co tam się dzieje? – zapytał Mitchell.

– Płynie prosto na nas. Chwila. Widzę go. O, nie!

ROZDZIAŁ 35

**Ponton
port Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

Tanner płynął pontonem przez zatokę w kierunku Duchów. Kałuża płonącego paliwa rozmywała mu się w oczach, tworząc ciemną plamę upstrzoną mrugającymi gwiazdkami.

W tej chwili tylko wibracja silnika zaburtowego pozwalała mu zachować przytomność. Musiał wytrzymać jeszcze chwilę. Odwrócił się i ujrzał, jak jeden z Duchów obserwuje go przez lornetkę.

Niebo za nimi już zmieniało kolor z czarnego na fioletoworóżowy. Nie było chwili do stracenia.

Tanner odpłynął na odległość stu metrów i zamknął przepustnicę.

Ledwie pięć minut wcześniej załadował Phillipsa na ponton. Jego przyjaciel już nie żył. Kiedy tylko Tanner uruchomił silnik, ostatni Chińczyk – ten, którym się martwił – wybiegł na plażę i zaczął strzelać.

Tanner dostał kulkę w plecy, ale udało mu się odwrócić i zlikwidować marynarza, nim ten zdążył strzelić po raz drugi.

Krzywiąc się z bólu, Tanner odpłynął od brzegu.

Teraz, dryfując w kierunku komandosów, próbował unieść rękę i pomachać, lecz zamiast tego odpłynął w mrok.

**Wrak kutra rybackiego
port Xiamen, Chiny
kwiecień 2012**

– To Tanner! – wykrzyknęła Diaz i popłynęła na spotkanie bosmanowi.

Mitchell nieraz krytykował komandosów z SEAL, USMC FR^{*} i AFSOC^{*}. Uważał, że

^{*} ang. United States Marine Corps Force Recon – Zwiad Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych.

^{*} ang. Air Force Special Operations Command – Dowództwo Operacji Specjalnych Sił Powietrznych.

znacznie lepsi od nich są ludzie z sił specjalnych wojsk lądowych.

Jednak na widok nadpływającego pontonu musiał przyznać, że się mylił. Nabrał szacunku dla Tannera i jego kolegów z SEAL. Ucieczka bosmana z piaszczystej mierzei była godna podziwu. Mitchell aż za dobrze wiedział, jak wiele trzeba odwagi, kiedy wszystko wydaje się stracone.

Splunął, oblizał wargi i zaczął wydawać rozkazy.

– Dobra, Nolan, płyn do niego i sprawdź, jak się czuje. Beasley, przywiąż zwłoki do pontonu, później pomóżcie rannym wejść do środka. Pozostali zostają w wodzie i trzymają się burt. Smith, sterujesz!

– Tak jest! Ale pan też jest ranny, kapitanie. Proszę wejść do pontonu.

Chwilę później z trudem płynęli przez zatokę. Nie mogli przyspieszyć z powodu przeciążenia i oporu wody. Ponton był przeznaczony dla sześciu osób, a nie dziewięciu Duchów, dwóch komandosów plus dwóch agentów CIA.

Zmaganie się z falami zaczęło dawać im się we znaki. Mitchell, uczepony dziobu pontonu, bez przerwy sprawdzał swój HUD. Wreszcie nawiązał połączenie z siecią i odebrał wiadomość od generała Keatinga.

– Mitchell, słyszysz mnie? Za parę minut zabierzemy was stamtąd.

– Słyszę, generale! – zawołał Mitchell, przekrzykując dławiący się silnik. – Ale gdzie jest „Montana”?

Z migającego obrazu na jego mapie taktycznej wynikało, że okręt podwodny, oznaczony żółtym konturem i zielonym punkcikiem, jest dokładnie tam gdzie oni – przy ujściu cieśniny między Haicangiem a wyspą Gulangyu.

– Okręt jest bliżej, niż ci się wydaje: czterdzieści pięć metrów pionowo w dół – wyjaśnił generał.

Mitchell zaśmiał się z ulgą.

– Od jak dawna tu jest?

– Zbyt długo. Kapitan Gummerson cholernie ryzykuje, Mitchell. Będziesz musiał postawić mu kolejkę.

– Zrozumiałem, generale. Nie mogę się doczekać powrotu do domu.

**USS „Montana” (SSN-823)
w drodze do Subic Bay
Morze Południowochińskie
kwiecień 2012**

Przeładka z pontonu na okręt podwodny przebiegła szybko i sprawnie, co świadczyło o

najwyższym profesjonalizmie załogi Gummersona. Sanitariusze zabrali zwłoki Buddy, Skauta i bosmana Phillipsa do lodowni. Natomiast ranni, łącznie z Mitchellem, zostali odstawieni do izby chorych.

Stan Tannera i Ramireza został ustabilizowany. Żołnierzom przetoczono krew ochotników z załogi. „Montana” z maksymalną prędkością wypłynęła na Morze Południowochińskie. Kapitan Gummerson poprosił o przysłanie śmigłowca z lekarzami, kiedy tylko dotrą na wody międzynarodowe.

Potem przyszedł zobaczyć się z Mitchellem. Uściskał dłoń każdemu z Duchów, prócz Ramireza, któremu podano środki nasenne.

– Gratulacje, kapitanie – odezwał się Gummerson.

– Dziękuję. Szkoda bosmana Phillipsa.

– To wielka strata.

– Bosman Tanner uratował nas wszystkich. Mam nadzieję, że będę miał szansę podziękować mu, zanim opuszczę pokład.

Gummerson pokiwał głową.

– A ja dziękuję wam wszystkim. Wspaniała robota. – Zmarszczył brwi, jakby nagle coś sobie przypomniał. – Co to był za numer z tym predatorem? – zapytał.

– To pomysł mojej snajperki, choć twierdzi, że zainspirował ją jeden z pilotów.

– Pewnie porucznik Moch. – Gummerson wyciągnął rękę. – Gratuluję, kapitanie.

– Dziękuję. Powodzenia na nowym stanowisku.

Gummerson powiódł tęsknym wzrokiem dokoła, po czym zacisnął usta i wyszedł.

Posiadłość Keatingów
okolica bazy sił powietrznych Macdill
Tampa, Floryda
maj 2012

Dwa tygodnie po akcji w Chinach Mitchell został zaproszony do domu generała na niedzielny obiad. Honory gospodyni czyniła pani Keating, jednak to nie ona przygotowała posiłek. Według generała ich gosposia z Wenezueli była znakomitą kucharką.

Siedzieli na tarasie na piętrze z widokiem na nerkowaty basen przylegający do skalistego wodospadu. Przed komarami chroniła gęsta siatka, za którą wyrastała ściana strzelistych palm, kołysanych wieczorną bryzą.

Keating rozparł się w zdobionym krześle ogrodowym, wypuszczając kłęby dymu z kubańskiego cygara. Mitchell siedział obok, ściskając w dłoni napelnioną przez generała szklanekę.

– Czasami chętnie po pracy wracam tutaj na kolację. Wypijam po niej drinka. Szkocką whisky Glenfiddich, single malt, jeśli chodzi o ścisłość.

– Nigdy nie piłem.

– Więc nie wiesz, co dobre w życiu.

Mitchell powąchał whisky, łyknął i zakasłał.

Keating zaśmiał się pod nosem.

– Dobre – stwierdził Mitchell ze łzami w oczach.

Generał wyciągnął cygaro z ust i uśmiechnął się szeroko.

– Więc Kongres nie ratyfikował tej umowy z Tajwanem na dostawę okrętów podwodnych.

– Światem rządzi pieniądz. Nie stać nas teraz na wojnę.

– A ja bym to przepchnął. Rozegrałbym po swojemu. No, ale ja jestem z wojsk lądowych. Marynarka inaczej patrzy na pewne sprawy.

– Chciałem panu podziękować, generale. Rozumiem, że oberwało się panu za nasz efektowny wyjazd z Chin.

– A żebyś wiedział. Powiedziałem jednak prezydentowi, że nieważne, ile było trupów i hałasu. Jeśli tylko pozostało tajemnicą, kto za tym stał, to misję należy uznać za udaną. Chińczycy odwalili kawał dobrej roboty, próbując to zatuzszować.

– Tak, słyszałem tę historyjkę o wypadku patrolowca. Ale ani słowa o zamku.

– I nie usłyszysz. Już się do tego wzięli i wszystko posprząтали. Świadkowie twierdzą, że zrobili to chińscy tajniacy, a nie Amerykanie.

– Doskonale.

– Informacje, które zdobyłeś od Tygrysów, wskazują, że kombinowali coś znacznie więcej niż podbicie Tajwanu. Istnieje związek z Koreą Północną i jest wiele powiązań z cybernetycznymi i neurobiologicznymi laboratoriami badawczymi na całym świecie.

– Tajwan to był tylko początek...

– No i DIA też nie mówi nam całej prawdy. Wiemy jednak, że kret DIA został zamordowany w sfinansowanym napadzie. Gorbatowa mówi, że to był dobry chłopak.

– Przynajmniej dla nas.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Wreszcie Mitchell zaryzykował kolejny łyk whisky.

– Cóż, jeszcze raz dziękuję za zaproszenie – dodał po chwili. – My, zwykli kapitanowie, nie co dzień mamy okazję pić z generałami.

– Nie możesz się tak wiecznie wymigiwać, Mitchell. Musisz przyjąć ten awans.

– Z całym szacunkiem, wolę poczekać.

– Nie czekaj zbyt długo. Mówi się coś o restrukturyzacji, a ludzie twojego pokroju mogą zejść wysoko szybciej niż ktokolwiek inny.

– Nie jestem jeszcze gotowy, by zejść ze sceny.

– Ja też nie byłem.

– No dobrze, chłopcy, chodźcie na dół! – zawołała ich żona generała.

– Już, skarbie! – odkrzyknął Keating.

Posiadłość Mitchellów
Piąta Aleja
Youngstown, Ohio
maj 2012

Mitchell stał w warsztacie ojca, wdychając rozkoszny zapach trocin. Tęsknił za własnymi pracami stolarskimi. Jednocześnie jednak nie mógł się doczekać, kiedy stamtąd wyjdzie. Ojciec nalegał, by pokazać mu świeżo ukończoną trumnę. Stała na dwóch koziołkach, a jej politurowana powierzchnia lśniła w świetle dnia.

Ojciec podniósł wieko.

– Piękna, co, Scott? Mahoń i wiśnia. Spójrz na te inkrustacje.

Mitchell z westchnieniem pokręcił głową.

– Tato, myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać – zaczął. – Jak się czujesz?

– Świetnie.

– Wiesz, jeden z moich ludzi niedawno stracił ojca.

Ojciec Mitchella się uśmiechnął.

– Ja za Chiny nie zdradziłbym takiej tajemnicy.

Mitchell zdrętwiał.

– Interesujący dobór słów.

– Wczoraj na CNN był reportaż o tych chińskich szychach, których sprzątnęli.

– Ty znowu swoje. Myślisz, że miałem z tym coś wspólnego?

Wzruszył ramionami.

– Mówię tylko, że też potrafię dotrzymać tajemnicy.

– Ale jeśli jesteś chory, mamy prawo to wiedzieć.

– Chodź, stawiasz mi lunch.

Bar z grillem Liberator
okolice Fort Bragg, Karolina Północna
maj 2012

Major Harry Hogan, były komandos z sił specjalnych z Bostonu, prowadził Liberatora od ponad dwudziestu lat. Nazwę baru zaczerpnął z dewizy sił specjalnych: uwolnić uciśnionych*. Nie przypadkiem też w 1831 roku inny bostończyk, niejaki William Lloyd Garrison, zaczął wydawać abolicyjną gazetę zatytułowaną „Liberator”.

Liberator był obowiązkowym przystankiem dla tych, którzy dawali z siebie wszystko na polu bitwy i wiedzieli, jak się zabawić. Pod sufitem podwieszono kiście plazmowych

* ang. *to liberate the oppressed.*

telewizorów, a ściany ozdobiono sportowymi i wojskowymi pamiątkami. Obrazu dopełniały stojące obok drzwi wejściowych dwa manekiny w pełnym rynsztunku bojowym, uzbrojone w gumowe karabiny, które niekiedy przerażały nowo przybyłych.

Mitchell z szerokim uśmiechem patrzył, jak bosman SEAL Tanner szybkim krokiem wchodzi do baru i ze zdziwieniem unosi brwi na widok wartowników, którzy nigdy się nie męczą i nigdy nie chcą jeść ani pić.

– Hej, tutaj! – krzyknął Mitchell, podnosząc się z ławki w części dla oczekujących.

– Jak się pan ma, kapitanie? – powiedział Tanner, wyciągając rękę.

Wymienili mocny uścisk dłoni.

– Dzięki, że przyszedłeś.

– Jesteś pewien, że to przeżyję? – Tanner spojrzał na tłum wojskowych stłoczonych wokół baru.

– Cóż, w ostatnich latach odwiedziło nas niewielu komandosów SEAL, ale przecież wszyscy należymy do jednego bractwa. My, seniorzy, wiemy, o co chodzi. Młokosom trzeba nieco czasu, zanim to pojmą.

– Jasne – zaśmiał się pod nosem Tanner.

Mitchell ruchem głowy wskazał okrągły bar z dębowych desek, upięszony workami z piaskiem na kształt ogromnego stanowiska karabinu maszynowego. Jego Duchy stały i popijały piwo. Gdy podeszli bliżej, oczom Mitchella ukazał się niezwykle widok. Jenkins stał bez koszuli, mając na sobie czarny biustonosz.

– Mamy gościa – powiedział Mitchell – ale zanim wygłoszę okolicznościową mowę, muszę cię zapytać...

Jenkins się zmieszał.

– Próbuję znaleźć coś, co podkreśli piękno mojej figury.

Cała grupa wybuchnęła śmiechem. Najwyraźniej chodziło tu o zakład, który Jenkins przegrał.

– Wystarczy, oddawaj – powiedziała Diaz.

– Żałujesz, że nas uratowałeś, co? – szepnęła Mitchell Tannerowi na ucho.

Smith podał bosmanowi duży kufel beczkowego piwa i drugi taki sam Mitchellowi.

– No dobra, uciszcie się. Wznoszę toast. – Mitchell uniósł kufel. Zapadła cisza.

Cisza zapadła w całym barze, gdy kelnerka wyłączyła głos w telewizorach.

– Wszyscy wiemy – ciągnął Mitchell – że rywalizacja między wojskami lądowymi a marynarką będzie trwać nadal, zwłaszcza na futbolowym boisku. Nie oznacza to jednak, że nie potrafimy okazać szacunku tym, którym się on należy. Wzniesmy kielichy za wszystkich komandosów SEAL w czynnej służbie i za wszystkich tych, którzy oddali życie w obronie naszego wspaniałego kraju, zwłaszcza za bosmana Phillipa. Jesteśmy zaszczytzeni, że możemy podziękować bosmanowi Tannerowi, który jest dziś z nami. – Tu Mitchell uśmiechnął się szeroko do gościa. – Witamy w naszym barze. To przyjęcie na pańską cześć,

bosmanie. Chce pan coś powiedzieć?

– Tak, kapitanie – odparł Tanner. Podniósł kufel. – Do dna!

Dom McDaniela
okolice Fort Bragg, Karolina Północna
maj 2012

Nazajutrz Mitchell pojechał do mieszkania Rutanga, żeby dowiedzieć się, dlaczego on nie przyszedł.

Drzwi otworzyła Mandy. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Pomiedzy jej długimi czarnymi włosami pojawiły się nowe pasemka siwizny. Uścisnęła Mitchella.

– Jest w gabinecie – poinformowała.

Nim Mitchell zdążył się poruszyć, Mandy złapała go za rękę.

– Scott, mam już tego dosyć. – Trzęsła się, a w oczach pojawiły się łzy. – Nic nam się nie układa. Mam dwójkę dzieci. Nie wiem, co robić. Odkąd pojechaliście na Filipiny, on ciągle jest duchem nieobecny w domu.

– Wiem.

Puściła go, ocierając oczy.

Mitchell niepewnie ruszył do gabinetu. Rutang siedział w fotelu z książeczką czekową w ręku.

– Cześć, Tang. Jak leci?

– Cześć, Scott. – Rutang nawet nie podniósł wzroku.

– Dlaczego wczoraj nie przyszedłeś?

– Nie wiem.

– Dużo ostatnio chorujesz.

– Tak.

– Martwię się o ciebie, koleś.

Rutang wzruszył ramionami.

– Raz na wozie, raz pod wozem, Scott. Nie mogę dalej się leczyć. Mandy już rozmawiała z prawnikiem.

– Nie możesz pozwolić jej odejść.

– Ja jej nie winię. Jestem tylko kolejnym porypanym żołnierzem, pieprzonym konowalem, który sam siebie nie potrafi wyleczyć.

– Więc już się poddałeś? Zamierzasz tak siedzieć i uzalać się nad sobą?

– Scott, czego ty chcesz? Wkurzasz się, bo nie przyszedłem na twoją imprezkę? Człowieku, dla niektórych takie misje i zaszczyty to nie wszystko, kapujesz? Wciąż nie mogę spać! Nie rozumiesz?

W drzwiach stanęła Mandy.

– Jeśli znów masz zamiar krzyczeć, to wyjdź. Po prostu wyjdź. – Z tymi słowy jak burza wypadła z pokoju.

– Wstawaj – zarządził Mitchell. – Wychodzimy.

Rutang rozłożył ręce i wstał.

Mitchell wyprowadził go na podjazd. Oparli się o hummera Mitchella, delektując się ciepłem porannego słońca.

– Zapowiada się piękny dzień.

Rutang zaśmiał się gorzko.

– To, co się nam przydarzyło, to nie była nasza wina, prawda? – spytał Mitchell.

– Tak.

– Ale ty wciąż czujesz się winny.

– A ty nie? Ludzie ciągle mi mówią: „Daj sobie spokój. Zajmij się swoim życiem, frajerze”. Ale ich tam nie było. Nie mają pojęcia. Błędgo pojęcia!

Mitchell pokiwał głową.

– Kiedyś też uważałem, że nasi koledzy zginęli na darmo. Myślałem, że nie ma na tym świecie sprawiedliwości. A facet, który najbardziej tu zawinił, po prostu sobie odszedł.

– Kapitan Fang – przez zęby wycedził Rutang.

Mitchell obszedł samochód, otworzył drzwi od strony pasażera i wyjął laskę. Przyniósł ją Rutangowi. Ten otworzył oczy szeroko. Zszokowany, a może i nieco przerażony.

– Skąd to masz?

Mitchell wydobył sztylet i podwinął koszulę, odsłaniając bliznę. Przyłożył do niej ostrze, by pokazać, że do siebie pasują.

– To od niego, widzisz?

– Scott... – Wargi Rutanga zadrżały.

Mitchell schował sztylet i wręczył laskę przyjacielowi.

– Chcę, żebyś to wziął. Ten drań już nas nie skrzywdzi. Ale posłuchaj. Zemsta nie pomoże. Trzeba odwagi, by poradzić sobie z tym, co było, stary. To właśnie teraz robimy. Zawieramy pakt. Braterstwo krwi. Wszyscy cię potrzebujemy. Rozumiesz?

Rutang drżącymi rękoma wziął laskę. Odwrócił się i otarł łzę.

– Scott, nie wiem, dlaczego taki jestem.

– Już wszystko w porządku. Mamy tę broń. Dopadliśmy go. Panujemy nad sytuacją. Prawda, nie zmienimy tego, co się stało. Ale od nas zależy, co stanie się z nami.

– Masz rację.

Mitchell położył dłoń na ramieniu Rutanga.

– Tang – przemówił łagodniejszym głosem – teraz możemy spać spokojnie. Jesteśmy w domu. Misja zakończona.

PODZIĘKOWANIA

Autor chciałby podziękować następującym osobom, których porady techniczne i wsparcie umożliwiły napisanie tej książki. Są to:

Tom Clancy

David Shanks

Tom Colgan

Michael Ovitz

Chris George

Sandra Harding

Robert Lang

James Ide, chorąży Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych (w stanie spoczynku)

Major Mark Aitken, Armia Stanów Zjednoczonych

Randy McElwee, starszy sierżant Armii Stanów Zjednoczonych (w stanie spoczynku)

Major William R. Reeves, Armia Stanów Zjednoczonych

Major Craig Walker, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych

*Jean-Louis „Dutch” DeGay, Centrum Badań, Rozwoju i Inżynierii Żołnierzy Armii Stanów Zjednoczonych w Natick**

Carole McDaniel (carole.mcdanieldesign.com)

William i Belinda Telep

Blackhawk Products Group:

Mike Noel, jednostka SEAL Amerykańskiej Marynarki Wojennej (w stanie spoczynku)

Tom O’Sullivan, Armia Stanów Zjednoczonych (w stanie spoczynku)

Michael Janich, Armia Stanów Zjednoczonych (w stanie spoczynku)

Steve Matulewicz, starszy bosman sztabowy, jednostka SEAL Amerykańskiej Marynarki Wojennej (w stanie spoczynku)

Brent Beshara, Kanadyjskie Siły Specjalne (w stanie spoczynku)

Ubisoft:

Yves Guillemot

Gerard Guillemot

Serge Hascoet

* Oficjalna angielska nazwa placówki to United States Army Natick Soldier Research, Development and Engineering Center, w skrócie Natick Soldier RDEC.

Alexis Nolent

Olivier Henriot

Richard Dansky

Oliver Green

Cedrick Delmas

Terence Mosca

Eric Moutardier

Thomas Leroux-Hugon

Joshua Meyer

oraz dział prawny Ubisoft